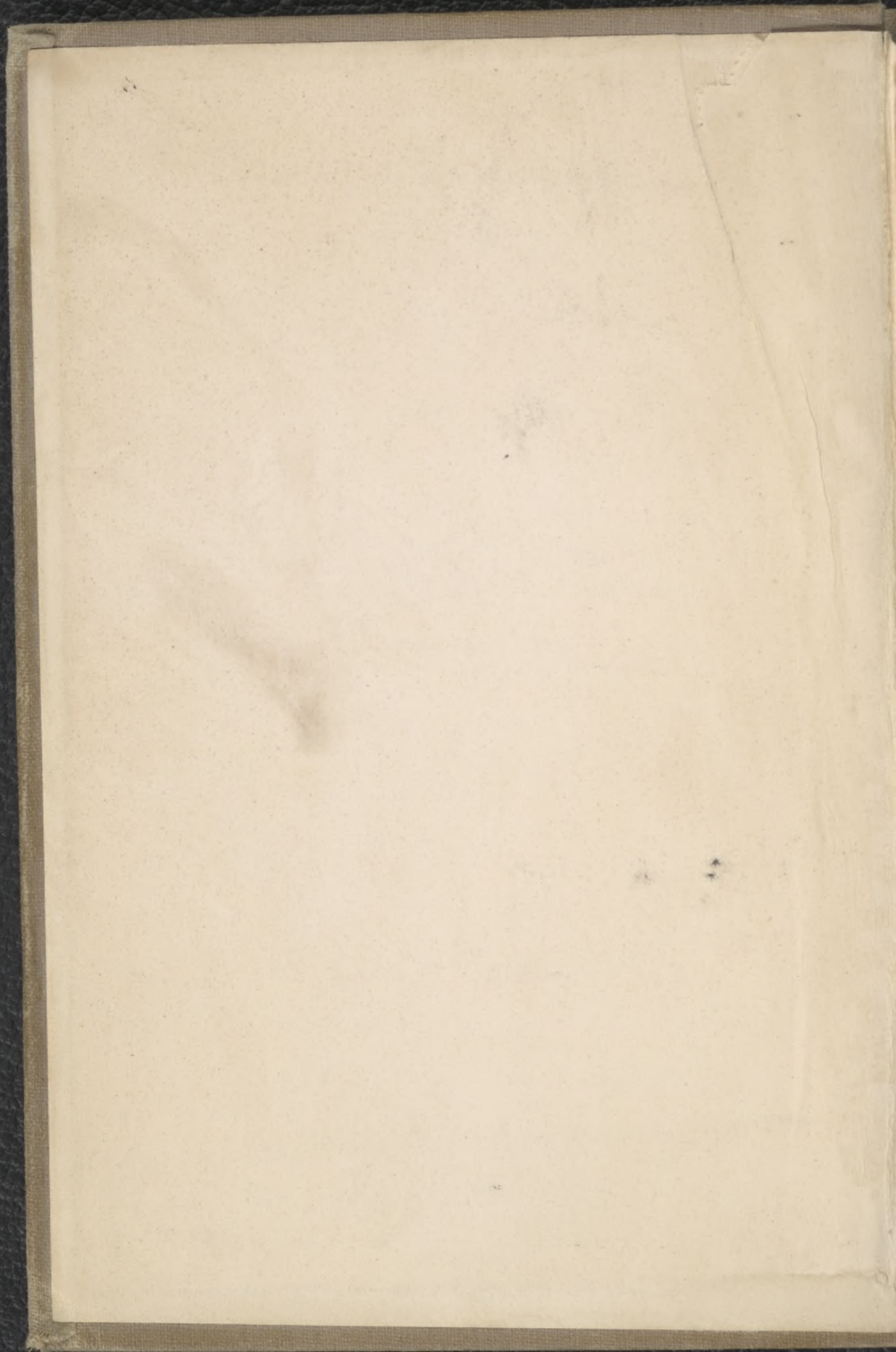




JEAN WEBSTER
—
WŁAŚNIE INKA

WŁAŚNIE
INKA
—
JEAN
WEBSTER

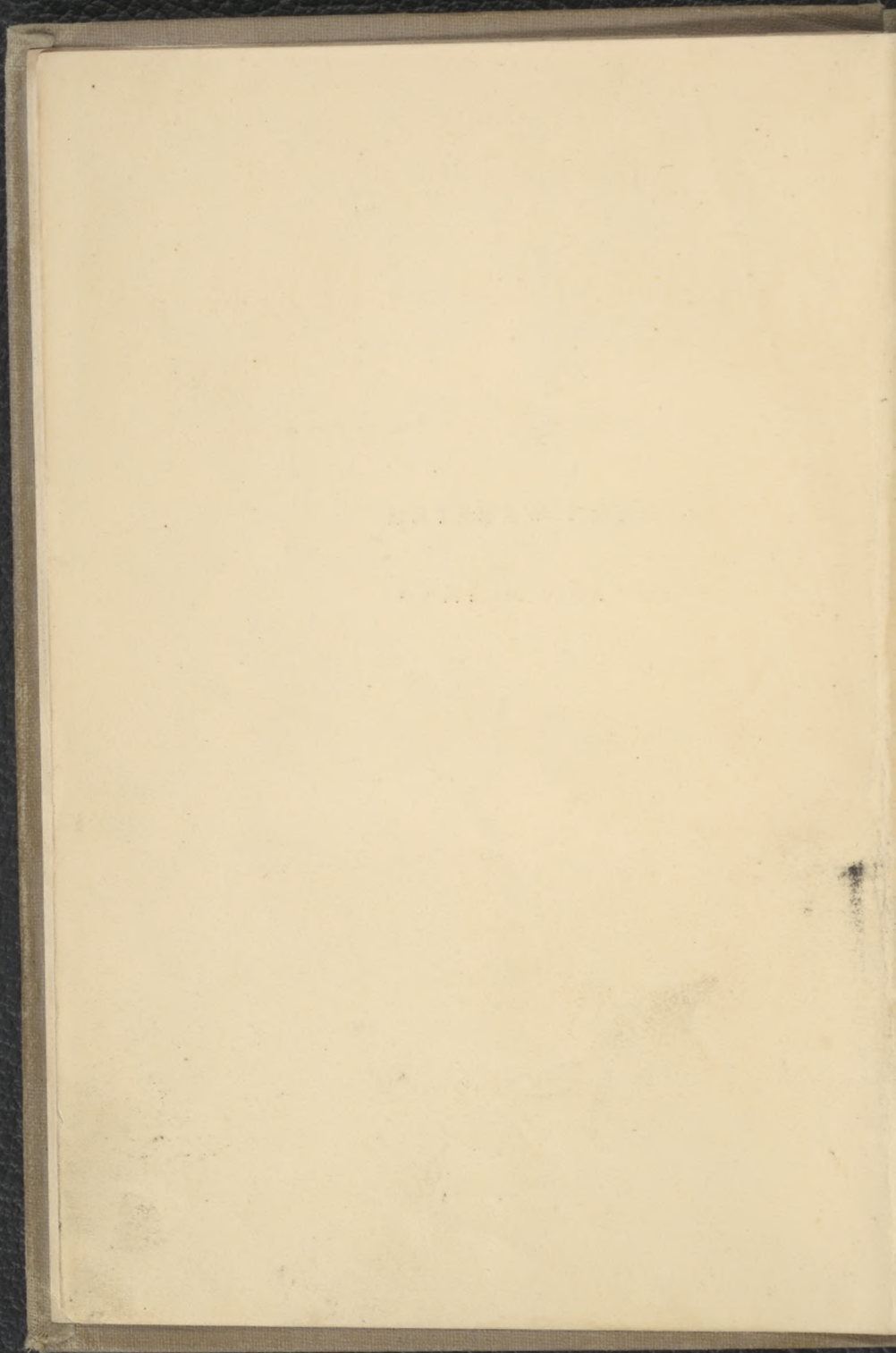


M
—
—

1.467,455

JEAN WEBSTER

—
WŁAŚNIE INKA



480, ✓
Jean Webster

Właśnie Inka

Powieść

z życia amerykańskich pensjonarek



POZNAŃ
WYDAWNICTWO POLSKIE
R. WEGNERA



I 1.467.455



Przekład autoryzowany J. B.

*

Druk: Concordia S.A., Poznań

*

Printed in Poland
1989 K 365/232

ROZDZIAŁ PIERWSZY

R E F O R M A.

— To wstyd! — rzekła Zuzia.

— Obelga! — dorzuciła Ludka.

— Najwyższa obraza! — oświadczyła Inka. —

Rozdzielać nas po trzech latach razem przeżytych.

— Zwłaszcza, że wcale znów nie byliśmy tak strasznie niezdolni w ostatnim roku. Cała masa dziewcząt ma znacznie więcej grzeszków na sumieniu.

— Tylko że nasza niezdolność trochę zanadto rzuciła się w oczy! — przyznała Inka.

— Zato byliśmy bardzo grzeczne przez ostatnie trzy tygodnie — przypomniała Ludka.

— A gdybyście tak zobaczyły moją nową współlokatorkę! — jęknęła Zuzia.

— Chyba nie może być gorsza od Armey Mc Collough.

— Właśnie, że jest! Jej ojciec jest misjonarzem, a ona została wychowana w Chinach. Nazywa się Keren-happuch Hersey, tak jak naj-

młodsza córka Hioba. *) A jej nawet na myśl nigdy nie przyjdzie, że to imię jest śmieszne.

— Irmie — rzekła ponuro Ludka — przybyło dwadzieścia funtów w ciągu lata. Waży —

— Ale żebyście zobaczyły moją współlokatorkę! — wykrzyknęła Inka. — Nazywa się Miranda Mertelle Van Arsdale.

— Keren wciąż siedzi nad książką i myśli, że ja będę chodziła na palcach, aby jej nie przeszkadzać.

— A gdybyście słyszały, co Mira Mertelle wygaduje! Powiedziała mi, że jej ojciec był bankierem i chciała koniecznie wiedzieć, czem był mój. Ja jej powiedziałam, że mój ojciec był sędzią śledczym i całe życie zeszło mu na zamykaniu w więzieniu bankierów. Nazwała mnie za to źle wychowanym dzieckiem.

Tu Inka uśmiechnęła się łagodnie.

— Ile ma lat?

— Dziewiętnaście, a dwa razy już oświadczano się jej.

— Dziękuję! Dlaczego wybrała właśnie Zakład św. Urszuli?

*) O córkach Hioba Pismo Św. nic nie mówi. O ile wogóle wzmianka o nich nie jest zwykłym wymysłem, musi się najprawdopodobniej opierać na jakimś apokryfie, których w St. Zjednoczonych jest mnóstwo.

— Jej ojciec i matka uciekli z domu i pobrali się jak mieli dziewiętnaście lat, a teraz się boją czy przypadkiem ona nie odziedziczyła po nich tych samych skłonności. Dlatego wybrali dla niej dobry, surowy zakład klasztornego typu. Mira nie potrafi się nawet uczesać sama bez służącej. Jest strasznie zabobonna na punkcie kamieni księżycowych. Nosi tylko jedwabne pończochy i nie cierpi siekaniny. Będę ją musiała nauczyć, jak się łożko ściele. Do Europy jeździ tylko parowcami linji „White Star“. *)

Inka rzucała te szczegóły naślepo. Wysłuchawszy jej z współczuciem, koleżanki dorzuciły garstkę własnych narzekań.

— Irma waży sto pięćdziesiąt dziewięć funtów i sześć uncyj bez ubrania — opowiadała Ludka. — Przywiozła ze sobą dwa kufry n a ł a d o w a n e słodyczami. Pochowała je we wszystkich kątach pokoju. Chrupanie czekolady jest ostatnim dźwiękiem, jaki słyszę w pokoju w nocy — i pierwszym rano. Ani się nawet nigdy nie odezwie — i nie tylko żuje. Ma się wrażenie, że się mieszka z krową. A inne sąsiadki! Też miła paczka! Po drugiej stronie mieszka Kid Mc Coy, która sama jedna robi więcej hałasu, niż pół tuzina cow-boyów.

*) White Star — najdroższa linja transportowa statków transoceanicznych.

Tuż obok mieszka znów nowa pensjonarka, Francuzka, — wiecie, to drobne, ładne dziewczątko z dwoma czarnemi warkoczami.

— Wygląda wcale sympatycznie! — zauważyła Inka.

— I byłaby sympatyczna, gdyby umiała mówić, ale cóż, kiedy ona zna zaledwie jakich pięćdziesiąt słów. Henrjetta Gladden, mieszkająca razem z nią, jest rozlazła i ponura jak homar, a na samym końcu korytarza jest pokój Eweliny Smith. Chyba wiecie same, co to za s k o ń c z o n a idjotka z tej Eweliny.

— Och, to okropne! — zgodnie wykrzyknęły dziewczęta.

— To wina panny Lord! — rzekła Ludka.

— Wdowa nigdy nie rozdzieliłaby nas, gdyby się do tego Lordunia nie wmieszała.

— I właśnie ja ją dostałam! — jęknęła Inka.

— Wy dwie macie Mam'selle i Waddams, obie bardzo dobre, słodkie, dobroduszne jagniątko, ale dziewczęta z Wschodniego Skrzydła mają tylko pannę Lord i to po szyję.

— Pst! — ostrzegła ją Ludka. — Idzie!

Nauczycielka łaciny, wchodząc do pokoju, zatrzymała się w progu. Ludka wyzwoliła się z płataniny sukienek, książek i poduszek, któremi za-

rzuczone było łóżko, i wstała grzecznie. Inka zsunęła się nadół po białej poręczy żelaznej, a Zuzia zeskoczyła z kufra.

— Dobrze wychowane panienki nie skaczą po meblach.

— Tak jest, Miss Lord — mruknęły jednocześnie, wpatrując się w nią trzema parami szeroko otwartych, w górę wzniesionych oczu. Z miłego doświadczenia wiedziały, że nie jej tak nie irytowało, jak takie uśmiechające się posłuszeństwo.

Wzrok Miss Lord krytycznie przebiegł pokój. Inka była wciąż jeszcze w kostjumie podróznym.

— Proszę włożyć mundurek, Inko, i skończyć rozpakowywanie. Jutro rano kufry muszą być zniesione nadół.

— Tak jest, Miss Lord.

— Zuziu i Ludko, dlaczego nie wyszłyście z panienkami do ogrodu, aby użyć pięknej pogody jesiennej?

— Ależ nie widziałyśmy się z Inką tak długo, a teraz, kiedy nas rozdzielono — zaczęła Ludka, patetycznie wykrzywiwszy usteczka.

— Jestem przekonana, że wiele na tej zmianie skorzystacie. Wy, Inko i Zuziu, rozumiecie dobrze, że powodzenie w kolegjum, a nawet powodzenie

— w całym waszym życiu, zależy przedewszystkiem od fundamentów tu założonych. Inka jest słaba w matematyce, a Zuzia w łacinie. Ludka mogłaby wydoskonalić się w języku francuskim. Zobaczymy, co potrafcie, kiedy naprawdę zechcecie spróbować.

Obdzieliła trzy panienki krótkim skinieniem głowy i wyszła.

— Pracujemy chętnie i pojętnie i kochamy swych nauczycieli! — zaśpiewała Inka z ironiczną przesadą, wyciągając granatową spódniczkę i bluzkę marynarską z wyszytymi na rękawie złotymi literami „Św. U.“

Podczas kiedy Inka się przebierała, Zuzia i Ludka zabrały się do przenoszenia jej rzeczy z kufków do biurka, tak jak im wpadały w ręce — starannie układając tylko w najwyższej szufladzie. Przepracowana, młoda nauczycielka, której niewdzięcznym zadaniem było przeglądanie w każdą sobotę rano sześćdziesięciu czterech biurków i sześćdziesięciu czterech szaf, nie była na szczęście podejrzliwa i nie szperała po kątach zbyt pilnie.

— A Lordusia niepotrzebnie robi tyle gwałtu o moją naukę — rzekła Zuzia, chmurząc się nad pękiem sukien, przewieszonych przez ramię. — Wyjąwszy łacinę, stoję ze wszystkiego dobrze.

— Uważaj, Zuziu! Depczesz po mojej nowej sukience do tańca! — wykrzyknęła Inka, wystawiając głowę z wycięcia w bluzce.

Zuzia machinalnie zeszła z błękitnego szyfonu i w dalszym ciągu roztaczała swe żale.

— Jeżeli im się zdaje, że obecność najmłodszej córki Hioba wpłynie korzystnie na moje wypracowania domowe...

— Ja poprostu n i e m o g ę się uczyć, dopóki nie zabiorą Army Mc Collough z mego pokoju — zawtórowała jej Ludka. — Ona jest zupełnie jak bryła lepkiego ciasta.

— Zaczekajcie, póki nie poznacie Miry Mertelle!

Inka siedziała na środku pokoju wśród chaosu i patrzyła na swe przyjaciółki uroczyście otwartymi szeroko oczami.

— Przywiozła pięć długich sukni wieczorowych, a wszystkie jej trzewiki mają francuskie obcasy. Ale to jeszcze nienajgorsze.

Tu Inka zniżyła głos do konfidencyjnego szeptu.

— Ona ma coś czerwonego w jednym flakonie. Mówi, że to do paznokci, ale ja w i d z i a ł a m, jak sobie tem różowała twarz.

— O, nie może być! — szepnęła ze zgrozą Ludka wraz z Zuzią.

Inka zacisnęła wargi i pokiwała głową.

— Mówię wam, zbuntujmy się! — wykrzyknęła Zuzia. — Zmusimy Wdowę, żeby nas umieściła zpowrotem w naszych dawnych pokojach w Rajskiej Alei.

— Ale jak? — zapytała Inka z dwiema równoległymi zmarszczkami na czole.

— Powiemy jej, że nie zostaniemy tu, jeżeli tego nie zrobi.

— Toby było nadzwyczaj roztropne! — za-drwiła Inka. — Ona-by poprostu zadzwoniła, ka-załaby Marcinowi zaprząć i zawieźć nas na stację na pociąg o szóstej trzydzieści. Myślę, że wtedy zrozumiałibyście nareszcie, że Wdowy nie po-traficie wywieść w pole.

— Groźby na nic się tu nie przydadzą — przy-znała Ludka. — Musimy się odwołać do jej uczu-cia — uczucia —

— Ludzkości — rzekła Inka.

Ludka wyciągnęła rękę i pomogła jej wstać.

— Wiesz, Inko, mówisz zupełnie rozsądnie. Chodźmy do niej nadół zaraz teraz, póki jeszcze odwaga w nas kipi. Ręce macie czyste?

Wszystkie trzy mężnie podeszły ku drzwiom kancelarji pani Trent.

— Spróbuję dyplomacji — szepnęła Inka, bio-rąc za klamkę na skutek zaproszenia z wewnątrz

pokoju. — Wy dziewczęta, przytakujcie tylko głowami wszystkiemu, co powiem.

Inka użyła całej dyplomacji na jaką ją stać było. Rozwiódłszy się tkliwie nad długą przyjaźnią, jaka trójkę łączyła, oraz nad bólem, wynikłym z rozdzielenia jej, lekko przeszła do innego tematu i zaczęła mówić o nowych koleżankach.

— To są niewątpliwie bardzo miłe panienki — zakończyła grzecznie — tylko, widzi pani, to nie są odpowiednie dla nas towarzyszki. Strasznie trudno skupić całą uwagę przy odrabianiu lekcyj, jeśli się nie mieszka z myślącą tak samo koleżanką.

Pewne, poważne spojrzenie Inki miało oznaczać, że lekcje były jedynym celem jej istnienia. Przelotny uśmiech przemknął przez twarz Wdowy, która jednak już w następnej chwili przyoblekła się znowu w powagę.

— My musimy koniecznie tego roku zabrać się porządnie do nauki — dodała Inka. — Zuzia i ja mamy wstąpić do kolegjum i zdajemy sobie doskonałą sprawę z konieczności odpowiedniego przygotowania. Rozumiemy dobrze, że powodzenie w kolegjum, a nawet powodzenie — w całym naszym życiu, zależy przede wszystkim od fundamentów tu założonych.

Ludka ostrzegawczo trąciła ją w łokieć. To zdanie było zbyt wierną kopją słów Miss Lord.

— A oprócz tego — dodała Inka pośpiesznie — wszystkie moje rzeczy są niebieskie, a Mira ma czerwony parawan i żółtą poduszkę na sofie.

— To istotnie przykre! — przyznała Wdowa.

— Przyzwyczailiśmy się już do mieszkania w Rajskiej Al... — chciałam powiedzieć w Zachodniem Skrzydle — i będzie nam bardzo brakowało — ee — zachodów słońca.

Wdowa pozwoliła zapaść pełnemu oczekiwania milczeniu, podczas którego w zamyśleniu stuknęła w biurko binoklami. Trzy panienki z natężeniem patrzyły jej w twarz, jakby chcąc z niej wyczytać odpowiedź, ale była to maska, której nie mogły przeniknąć.

— Obecny stan rzeczy jest mniej więcej chwilowy — zaczęła pani Trent równym, spokojnym głosem. — Być może, pewne zmiany byłyby, mojem zdaniem, stosowne i pożądane. Tego roku mamy większą niż zwykle ilość nowych uczennic. Otóż zamiast trzymać je osobno, wydało mi się za najstosowniejsze pomieszać je z starszymi panienkami. Wy trzy jesteście już oddawna. Znacicie tradycje szkoły. Dlatego — tu na twarzy

Wdowy pojawił się uśmiech do pewnego stopnia jak gdyby figlarny — mam zamiar розміścić was jak gdyby misjonarjuszy wśród tych nowicjuszek. Pragnęłabym, żebyście wywarły na nie swój wpływ.

Inka wyprostowała się, zdumiona.

— Nasz wpływ?

— Nowa, która z tobą będzie mieszkać — mówiła dalej z niezmaconym spokojem pani Trent — jest na swój wiek zbyt rozwinięta. Mieszkała stale w pierwszorzędnym hotelach, a w takich warunkach pewne zmanierowanie młodego dziewczęcia jest rzeczą nieuniknioną. Spróbuj rozbudzić w niej zainteresowanie się sportami dziewczęcymi. Ty zaś, Ludko, mieszkasz razem z Irmą Mc Collough. Jak wiecie, jest to jedynaczka, obawiam, się że może trochę zepsuta. Byłoby mi miło, gdybyście zdołały wzbudzić w niej większe poszanowanie dla duchowej strony życia, niż dla materialnej.

— Ja — ja spróbuję! — wyjąkała Ludka, olśniona niespodziewaną rolą reformatorki moralności.

— A znów za sąsiadkę masz małą Francuzkę, Aurelję Deraismes. Byłabym bardzo rada, Ludko, gdybyś zechciała czuwać nad jej postępami w

naukach. Dzięki niej mogłabyś nabrać większej biegłości w potocznym języku francuskim, odwzajemniając się jej tem samem na polu znajomości języka angielskiego.

— Z tobą, Zuziu, mieszka —

Tu pani Trent włożyła binokle i przez chwilę szukała czegoś na wielkim arkuszu.

— Ach, tak. Keren Hersey, istotnie niepospolita panienska. Wy dwie znajdziecie niejedno co was wzajemnie zajmie. Córka oficera marynarki z pewnością znajdzie wiele punktów stycznych z córką misjonarza. Są podstawy do przypuszczeń, że Keren poważnie odda się studjom — nawet, o ile coś podobnego byłoby możliwe — zbyt poważnie. Nie ma i nie miała nigdy przyjaciółki, nie zna wesołego, szkolnego życia koleżeńskiego. Ona może nauczyć ciebie, Zuziu, jak pilniej przykładać się do nauki, a czy ty za to nie mogłabyś nauczyć jej być, powiedzmy, bardziej giętką i łatwiejszą do kierowania?

— Tak, proszę pani! — mruknęła Zuzia.

— Tak więc wysyłam was poniekąd w swoim własnem zastępstwie, jako duchowe reformatorki. Chciałabym, aby „stare“ były przykładem dla nowoprzybyłych. Pragnę, aby prawdziwą kierowniczką szkoły była pewna, zdrowa Opinja

Publiczna. Wy trzy macie niemały wpływ. Zastanówcie się, co możecie zrobić w kierunkach przeze mnie wytkniętych — jak i w innych, które mogą się wyłonić w miarę, jak będziecie bliżej obcować z koleżankami. Obserwowałam was bacznie przez trzy lata i pokładam jak największą ufność w waszym z gruntu zdrowym rozumie.

Skinęła głową na znak pożegnania i trzy panienki znowu znalazły się w hallu. Spoglądały po sobie przez chwilę w pełnym zdumienia milczeniu.

— Duchowe reformatorki! — wykrztusiła Ludka.

— Przejrzałam Wdowę nawskroś — odezwała się Inka. — Wyobraża sobie, że wynalazła nowy sposób kierowania nami.

— Ale ja jakoś nie widzę, żebyśmy mogły wrócić do Rajskiej Alei! — skarżyła się Zuzia.

Oczy Inki błysnęły nagle. Chwyliła koleżanki za łokcie i wprowadziła je do pustej klasy.

— Zrobimy to!

— Niby co? — zapytała Ludka.

— Damy się wziąć na lep tej reformie szkolnej i będziemy się jej trzymać — z całej siły — zobaczycie! I po dwóch tygodniach wrócimy do Rajskiej Alei.

— Hm! — mruknęła Zuzia. — Jestem tego zdania, że mogłybyśmy to zrobić.

— Zaczniemy od Irmy — rzekła Ludka, natychmiast przeskakując myślą do szczegółów. — Postaramy się, żeby straciła swych dwadzieścia zbytecznych funtów wagi. To prawdopodobnie miała na myśli Wdowa, mówiąc, że pragnęłaby widzieć ją mniejszą materjalistką.

— Zrobimy ją chudą w mgnieniu oka! — potwierdziła Inka energicznym ruchem głowy. — A Mirze Mertelle damy dozę bujnie pieniącej się dziewczęcości.

— Keren zaś — wtrąciła Zuzia — nauczymy swawoli i zaniedbywania lekcyj.

— Ale nie ograniczymy się bynajmniej do nich trzech — mówiła Ludka. — Wdowa powiedziała przecież wyraźnie, że pragnie, abyśmy wywierały wpływ na całą szkołę.

— O, naturalnie! — zgodziła się Inka i z zapalem zaczęła recytować nazwiska z listy szkolnej. — Kid Mc Coy używa zbyt wielu wyrażen gwarowych. Nauczymy ją dobrych manier. Renia nie lubi się uczyć. Naszpikujemy ją algebrą i łaciną. Henrjetta Gladden jest galaretowatą rybą, Mary Daskam strasznym małym kłamczuchem, Ewelina Smith jest głupią gąską, Nancy Lee plotkarką.

— Kiedy się tak zacznie myśleć o tem wszystkim, widzi się, że każdej możnaby coś zarzucić — rzekła Ludka.

— Wyjąwszy nas! — poprawiła Zuzia.

— Tta—ak! — przyznała Inka, cofając się myślą wstecz. — Nie mogę sobie wprost przypomnieć czegoś, coby nam można było zarzucić — nie dziwię się, że postawiono nas na czele reformy.

Ludka poskoczyła żywo, rzekłby kto — uosobienie energii.

— Chodźcie! Połączymy się z naszymi małemi towarzyszkami zabawy i rozpoczniemy pracę dla dobrej sławy. Niech żyje wielkie Stronnictwo Pracy!

Wyszły przez otwarte okno w sposób obcy wszelkim przepisom czwartkowych wieczorowych lekcji dobrych manier. Tłumy dziewcząt w granatowych bluzkach marynarskich zebrane były na placu rekreacyjnym.

— Widzicie, tam jest Irma! Wciąż żuje!

Ludka wskazała głową wygodną ławkę, ustawioną w cieniu, w pobliżu placu tenisowego.

— Zabawimy się w cyrk! — zaproponowała Inka. — Każemy Irmie i Mirze Mertelle biegać z obręczami dokoła placu rekreacyjnego. W ten

sposób zabijemy dwie muchy naraz. Irma zacznie chudnąć, a Mira stanie się znów dziewczęciem.

Bieganie z obręczą było specjalnością Zakładu św. Urszuli. Nauczycielka gimnastyki była przekonaną, że w ten sposób uczy dziewczęta biegu. Jedenaście biegów dokoła owalnego placu rekreacyjnego równało się mili *), a mila przebiegnięta z obręczą uwalniała na cały dzień od gimnastyki ciężarkami i maczugami. Trzy panienki zniknęły w piwnicy i wyszły stamtąd z obręczami tak wielkimi, jak one same. Inka objęła komendę nad całą wyprawą i natychmiast zaczęła wydawać rozkazy.

— Ludko, ty pobiegniesz z Keren i wytrzęsiesz ją, jak tylko będziesz mogła; musimy złamać jej upór i pedanterję. A ty, Zuziu, zajmij się Mirą Mertelle. Nie pozwalaj jej na przybieranie min dorosłej panny. Jeśli ci powie, że się jej dwa razy oświadczano, powiedz jej, że tobie oświadczano się tyle razy, że już straciłaś rachubę. Trzymaj ją cały czas ostro. Ja się zabawię w trenera słoni i zmuszę do biegu Irnę; pod koniec zrobi się zwinna, jak pełna wdzięku gazela.

Przystąpiły do wykonania poszczególnych zadań. Skończył się spokój w szkole św. Urszuli, nastał dla niej czas reformatorskich męczarni.

*) Mowa tu o mili ang., która ma 1609 m.

W dwa tygodnie później w pracowni Wdowy odbywała się w piątek wieczorem nieoficjalna konferencja. Właśnie przed pięciu minutami zadzwoniono na „zgaszenie świateł“ i trzy zmordowane nauczycielki, wyzwolone wreszcie od swych miłych dziewięciogodzinnych obowiązków, omawiały swe strapienia z dyrektorką, podczas gdy powierzone ich pieczy dziewczęta spały.

— Ale cóż one właściwie zrobiły? — zapytała pani Trent chłodnym tonem sędziego, widząc, że jej wysiłki zatamowania fali okrzyków są daremne.

— Trudno wskazać palcem jakiś konkretny fakt — rzekła swym tremolującym głosem Miss Wadsworth. — O ile mogłam zauważyć, w niczem przeciw przepisom nie wykroczyły, ale — wytworzyły atmosferę.

— Niema w moim korytarzu dziewczynki — odezwała się Miss Lord, z zaciśniętymi wargami — która nie przyszlaby, każda z osobna, do mnie z błaganiem, aby Inkę wraz z Zuzią i Ludką przemieść napowrót do Zachodniego Skrzydła.

— Inka! Mon Dieu! — wykrzyknęła Made-moiselle, wznosząc w niebo parę wymownych oczu. — Co ta dziewczyna ma w głowie! To złośliwy chochlik w całym znaczeniu słowa.

— Przypomina sobie pani — zwróciła się Wdowa do Miss Lord — że kiedy pani proponowała, aby je rozdzielić, ja mówiłam, że to eksperyment bardzo wątpliwy. Kiedy są razem, wyładowują swój temperament wzajemnie na sobie; rozdzielone —

— przewracają do góry nogami całą szkołę! — wykrzyknęła Miss Wadsworth, bliska łez. — Prawdę mówiąc, one bynajmniej nie mają tego zamiaru, ale ich nieszczęsne skłonności —

— To się pani tylko zdaje — oczy Miss Lord błysnęły. — Jak tylko wyjdą z klasy, natychmiast zaczynają obmyślać nowe jakieś psoty.

— Ale co właściwie zrobiły? — nastawała pani Trent.

Miss Wadsworth umikła, zastanawiając się, jakie przykłady wybrać z bogatego materiału, jakim rozporządzała.

— Naprzykład: Pewnego razu zastałam Zuzię pilnie przerzucającą linją zawartość szuflad biurka Keren, a kiedy ją spytałam, co robi, bez cienia zakłopotania odpowiedziała, że stara się nauczyć Keren, aby nie była tak bardzo pedantyczna i że robi to na żądanie pani Trent.

— Hm! Ja sobie wprawdzie to inaczej wyobrażałam, ale mniejsza z tem! — mruknęła Wdowa.

— Najwięcej jednak zakłopotano mnie coś, co znajdowało się jakby na granicy bluźnierstwa — mówiła dalej Miss Wadsworth z wahaniem. — Keren ma bardzo religijny sposób myślenia, z którym jednak łączy nieszczęsny zwyczaj modlenia się głośno. Pewnego wieczoru po dniu, który jej cierpliwość wystawił na próbę większą, niż zwykle, modliła się, aby Bóg przebaczył Zuzi jej dokuczliwość. Wobec tego Zuzia uklękła przed łóżkiem i zaczęła się modlić, aby Keren stała się mniej kategoryczną i upartą, a za to skłonniejszą do zabawy z koleżankami z należytą szczerością i prostotą ducha. Był to — no, istotnie, możnaby to nazwać czemś w rodzaju wyścigów w modlitwie.

— Shocking! — wykrzyknęła Miss Lord.

— A znowu mała Aurelja Deraismes — one zaczęły ją ćwiczyć... w... w... potocznym języku angielskim. Wyrażenie, jakie w mojej obecności powtarzała, nie należało bezwarunkowo do tych, jakich używają panie z towarzystwa.

— Cóż to za wyrażenie? — zapytała Wdowa, z nutką wyczekiwania w głosie.

— *A to morowa awantura!*

Miss Wadsworth stanęła cała w ponsach, do tego stopnia nawet samo powtórzenie tak wątpliwego wyrażenia było sprzeczne z jej naturą.

Wargi Wdowy drgnęły. Było faktem, oplakiwanym zresztą przez jej pomocnice, iż jej poczucie humoru niejednokrotnie brało górę nad poczuciem sprawiedliwości. Bardzo niegrzeczna dziewczynka, o ile udało się jej być śmieszną, mogła mieć nadzieję, że wyjdzie z opresji cało, podczas gdy tak samo niegrzeczna dziewczynka, której nie udało się Wdowy rozśmieszyć, w całej pełni ponosiła za swe przewinienie karę, na jaką zasłużyła. Na szczęście, naogół biorąc, szkoła nie wiedziała o tym słabym punkcie zbroi Wdowy.

— Ich wpływ — zabrała głos Miss Lord — działa deprymująco na szkołę. Mira van Arsdale mówi, że pojedzie do domu, jeśli jej każą dłużej mieszkać w tym samym pokoju z Inką Wyatt. Nie wiem o co tu chodzi, lecz —

— Ja wiem! — przerwała Mademoiselle. — Cała szkoła śmieje się z tego. To ta historia z *postiche*'em.

— Z czem?

Wdowa podniosła głowę. Angielszczyzna Mademoiselle była czasem trudna do zrozumienia. Francuzka bezstronnie mieszała oba języki.

— *Postiche*, to — trochę włosów — żeby zrobić *pompadour*. Zeszłego tygodnia, jak miały być żywe obrazy, Inka pożyczyła *postiche* i zabarwiła

na niebiesko, żeby zrobić brodę dla Sinobrodego. Ale ponieważ *postiche* był z natury żółty, więc zrobił się zielony i ten kolor nie dał się już wyprać. *Postiche* jest ruiną — zupełną ruiną — a Inka jest bardzo zmartwiona. Przepraszała. Myślała, że to się da wyprać, ale skoro nie chce się dać wyprać, powiedziała Mirze, żeby ona sobie pomalowała włosy na kolor *postiche*'u, a Mira straciła cierpliwość i zwymyślała ją. Wtedy Inka zaczęła udawać, że płacze i położyła ten zielony pęk włosów na łóżku Miry, w wieńcu kwiatów, powiesiła na drzwiach pończochę niby krepę i zaprosiła dziewczęta na pogrzeb i wszyscy śmieli się z Miry.

— Zupełnie słusznie! — odezwała się Wdowa. — Nie myślę popierać noszenia sztucznych włosów.

— Ale tu idzie o zasadę — rzekła Miss Lord.

— A ta biedna Irma Mc Collough! — opowiadała dalej Mademoiselle. — Tonie we łzach! Te trzy nastają na nią, żeby koniecznie zrobiła się chuda, a ona wcale nie chce być chuda.

— Zanim siądzie do stołu, zabierają jej masło — potwierdziła Miss Wadsworth. — Nie pozwalają jej zjeść deseru, zabraniają jej słodzić rano owsianą kaszę. Kazały jej bezustannie gimnastykować, a gdy ona mi się skarży, karzą ją za to.

— Zdaje mi się — rzekła Wdowa, nie bez sarkazmu — że Irma jest dość wielka, aby się móc obronić.

— Ma aż trzy przeciw sobie! — zauważyła Miss Lord.

— Zawołałam Inkę do swego pokoju — mówiła Miss Wadsworth — i zażądałam od niej wyjaśnienia. Powiedziała mi, iż zdaniem pani Trent, Irma jest za tłusta i że zażądała pani od niej i od jej przyjaciółek, aby pozbawiły Irmę zbytecznych dwudziestu funtów! Inka dodała, że to bardzo ciężka praca, że one same przy tem chudną, ale zdają sobie sprawę z tego, że są starszemi wychowankami zakładu i powinny wywierać pewien wpływ na szkołę. Jestem przekonana, że mówiła to szczerze. Rozwodziła się też szeroko nad odpowiedzialnością moralną i nad tem, że starsze panienki powinny świecić przykładem.

— To właśnie jej bezwstydną zuchwalstwo wyprowadza człowieka zupełnie z równowagi — rzekła Miss Lord.

— Oto — właśnie Inka! — roześmiała się Wdowa. — Muszę wyznać, że wszystkie trzy są nadzwyczaj zabawne. To dobry, zdrowy figiel i chciałabym, żeby takich figlów było jak najwięcej. One nie przekupują służących, aby im

odnosiły listy na pocztę lub przemyślały słodycze, nie flirtują z przekupniem wody sodowej. Tym trzem przynajmniej można ufać.

— Ufać! — wykrztusiła Miss Lord.

— Rozumie się, drobniejszy jakiś przepis przekrocza z jak największą, pełną radości ochotą — potwierdziła skinieniem głowy Wdowa. — Ale nie dopuszczają się nigdy choćby najmniejszej rzeczy niehonorowej.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i zanim kto miał czas odpowiedzieć, drzwi się otwały i w progu pojawiła się Keren-happuch. Jedną ręką przytrzymała połę jaskrawego japońskiego kimona, drugą zostawiła dla gestykulacji. Kimono usiane było pożerającymi ogień smokami, wielkości kotów, a czerwona z gniewu twarz Keren z rozpuszczonymi włosami wydała się widzom jakby uzupełnieniem dekoratywnego szkicu. Kancelarja Wdowy była miejscem świętem, przeznaczonem na rozmowy urzędowe; nigdy jeszcze żadna uczennica nie zjawiała się tu w stroju tak mało ceremonjalnym.

— Keren! — wykrzyknęła Miss Wadsworth.
— Co się stało?

— Proszę umieścić w mym pokoju inną koleżankę! Z Zuzią dłużej już wytrzymać nie mogę.

Urządziła w mym pokoju przyjęcie z powodu urodzin.

— Jakich urodzin? — zwróciła się pani Trent z pytaniem do Miss Wadsworth.

Miss Wadsworth smutno przytaknęła głową.

— Wczoraj były urodziny Zuzi. Dostała paczkę od ciotki. Ponieważ dziś mamy piątek wieczór —

— Oczywiście.

Wdowa zwróciła się ku tragicznej postaci na środku pokoju.

— To jest twój pokój tak samo jak Zuzi i —

Keren rozgadała się na dobre. Cztery panie aż się pochyliły naprzód, aby móc wyłowić jakiś sens z tej powodzi słów.

— One urządziły sobie stół z mego łóżka, dlatego, że ono stało na środku pokoju, i Inka przewróciła postawiony na środku dzbanuszek z czekoladą. Ona mówi, że to przypadek — ale ona to zrobiła naumyślnie — wiem z całą pewnością. A ponieważ ja zrobiłam jej z tego powodu wymówkę, Zuzia powiedziała, że to niegrzecznie zwracać uwagę, gdy gość coś rozleje i wylała mi szklanekę soku porzeczkowego na poduszkę, aby pocieszyć Inkę. W ten sposób powinna — jej zdaniem — postąpić grzeczna gospodyni; tak je

uczono zeszłego roku na kursie dobrych manier. Wszystko przemokło od czekolady, a wtedy Ludka Wilder powiedziała, że to szczęście, że ja jestem taka chuda, ponieważ będę mogła skulić się dookoła plamy; gdyby się to zdarzyło Irmie Mc Colough, musiałaby spać w czekoladzie, bo jest taka wielka, że zajmuje całe łóżko. A Zuzia powiedziała, że powinnam być wdzięczna Panu Bogu za to, że jutro jest sobota, bo dostaniemy czystą pościel, bo mogło się zdarzyć tak, że musiałabym spać w tej kałuży czekoladowej cały tydzień. A wtedy zadzwoniono na gaszenie świateł i one kazały mi to wszystko doprowadzić do porządku i poszły, a gospodyni poszła już spać i nie dostanę już czystej bielizny, a ja *nie chcę* w takim łóżku spać. Nie przywykłam spać na czekoladowem prześcieradle. Nie lubię Ameryki i *nie cierpię* dziewcząt.

Z policzków Keren kapąły łzy na smoki, pożerające ogień. Nie mówiąc ani słowa, Wdowa wstała i zadzwoniła.

— Kasiu! — rzekła, kiedy dyżurna służąca pojawiła się w drzwiach. — Proszę cię, daj świeżą bieliznę na łóżko panny Keren i prześciel je. To na dziś wystarczy, Keren. Kładź się czem prędzej spać i nie trajkocz już. Nie trzeba niepokoić

innych dziewcząt. Jutro pomyślimy o przeniesieniu innej koleżanki do twego pokoju.

Kasia wyszła wraz z obrażonemi smokami.

Nastąpiło milczenie, podczas którego Miss Wadsworth wymieniała rozpaczliwe spojrzenia z Mademoiselle, zaś Miss Lord ściągnęła silniej rzemień swej zbroi.

— Widzi pani — rzekła triumfująco — gdy posunęły się aż do prześladowania biednej, małej —

— Stosownie do doświadczeń jakie poczyniłam na polu życia szkolnego — oświadczyła pani Trent stanowczo — jeśli dziewczynka jest prześladowana, to zawsze z własnej winy. Keren jest beznadziejnie zarozumiała —

— W każdym razie nie może pani jednak pozwolić, aby znosiła —

— O, naturalnie, zrobię wszystko co będę mogła, aby przywrócić spokój. Jutro rano do pokoju Keren przeniesie się Irma Mc Collough, zaś Inka, Ludka i Zuzia powrócą do swych dawnych pokojów w Skrzydle Zachodniem. Pani, Mademoiselle, zagraża to do pewnego stopnia —

— Kiedy są razem, nic sobie z nich nie robię. Wtenczas są — jakby to powiedzieć — zabawne, wnoszą dużo ożywienia. Trudności powstają do-

piero wówczas, kiedy się je rozdzieli i zmiesza z drugimi.

Miss Lord zdumiała się.

— Czy pani chce przez to powiedzieć, że pani chce je *nagrodzić* za ich brzydkie postępowanie? Przecież one właśnie do tego tylko dążyły!

— Musi pani przyznać — uśmiechnęła się Wdowa — że się napracowały. Wytrwałość zasługuje na uznanie.

Następnego rana Inka, Ludka i Zuzia, dźwigając pełne naręcze sukienek, kapeluszy i poduszek na sofę, wesoło tańczyły two-steppa wzdłuż całego korytarza „Rajskiej Alei“, przeprowadzając się w asystencji całej szkoły, która wreszcie odetchnęła. Ujrzawszy wśród tego tłumu Miss Lord, zaczęły chórem śpiewać popularną szkolną piosenkę:

My chodzimy do kaplicy chętnie,
 Kaznodziei słuchać co niedzieli,
 Pracujemy pilnie i pojętnie
 I kochamy swych nauczycieli!

ROZDZIAŁ DRUGI

ROMANTYCZNA PRZYGODA CUTHBERTA ST. JOHNA.

„Wdowa“ trzymała się bardzo mądrej zasady, że na pensjonarki powinno się przyjmować małe dziewczątka i trzymać je w szkole aż do samego końca, kiedy wreszcie mogłyby opuścić jej mury świeże, pełne energii i zupełnie rozwinięte, aby powitać dorosły świat. Zakład św. Urszuli był klasztorem nie tylko z nazwy, ale naprawdę.

Zdarzało się czasami, iż „nowa“ kręciła noskiem nad dziewczęcemi rozrywkami, którym oddawały się jej koleżanki. Ale wkońcu i ją niewstrzymany prąd porywał. Skakała przez sznurek i biegała z obrożą, brała udział w puszczaniu orła na otwartem polu, uczyła się w zimowe popołudnia ślizgać i grać w hockey, a w sobotnie wieczory — rozkoszować się lodowatym cukrem i pierniczkami dokoła wielkiego kominka, albo też improwizowanemi maskaradami, kiedy cała szkoła przetrząsała strychy w poszukiwaniu czegoś, coby się nadawało na kostjummy. Po tygodniu naj-

bardziej zmanierowana światowa panienska zapominała o wszystkim coby ją ciągnęło tam, za mury szkolne, i poddawała się duchowi młodocianej, siostrzanej miłości.

Ale podlotki najchętniej reagują na wezwania Romantyczności. To też czasami, przy sposobności, szarą godziną w czasie między ostatnią lekcją a dzwonkiem, dającym znak do ubierania się do kolacji, zbierały się przy ławce stojącej pod oknem i zwrócone twarzami ku zachodowi, marzeniami wybiegały w przyszłość — zwłaszcza jeśli wśród nich znajdowała się Renia Patton. Ładna, delikatna, nieobliczalna mała Renia była jakby stworzona dla tego, co nazywamy romantycznością. Ta romantyczność wieszala się jej złotych włosów, patrzyła jej z oczu. Mogła mieć bardzo mgliste wyobrażenia o różnicy, zachodzącej między „*participium*“ a „*supinum*“, mogła się zawahać, gdyby ją zapytano o definicję równoległościanu, ale gdy przedmiotem rozmowy było uczucie, mówiła z całym przekonaniem. I bynajmniej nie na podstawie samej tylko teorii, lecz na podstawie osobistego doświadczenia. Był taki, który się jej już oświadczył.

Z szczegółów tego zdarzenia zwierzyła się swym najbardziej zaufanym przyjaciółkom, te znów

opowiedziały o wszystkim swoim najzaufańszym przyjaciółkom, aż wreszcie cała szkoła dowiedziała się z wszystkimi szczegółami o tej romantycznej przygodzie.

Naczelne stanowisko Reni w sprawach sentymentu, uważano za należne jej najzupełniej słusznie. Zuzia mogła być pierwszą w grze w koszykówkę, Ludka Wilder na scenie, Keren Hersey w geometrii, a Inka Wyatt — no, powiedzmy w bezkarności i zuchwalstwie — za to Renia była powszechnie uznaną powagą w sprawach sercowych i dopóki nie pojawiła się Mira Mertelle van Arsdale, nikt tego jej stanowiska nie kwestjonował.

Pierwszy miesiąc życia szkolnego był dla Miry Mertelle przykry. Mocnym jej punktem, na którym przywykła odznaczać się, były *stroje*, ale kiedy przybyła ze swemi czterema kuframi do Zakładu św. Urszuli, zauważyła ku wielkiemu swemu niezadowoleniu, że toalety tu na nic się nie zdadzą. Na polu mody mundurek szkolny sprowadzał wszystko do martwego punktu. Zato na innem polu mogła mieć widoki osiągnięcia wybitnego stanowiska. W porównaniu z bezbarwnem życiem innych dziewcząt jej własna historia sercowa była żywa, wobec czego Mira postanowiła uzyskać należne sobie miejsce.

Pewnej soboty, wieczorem — było to w październiku — jakie pół tuzina dziewcząt zebrało się w pokoju Reni. Panienki przykręciły płomień gazu i siedziały na stosach poduszek i poduszek. Przez okno szeroką strugą wlewało się światło księżycowe. Z początku śpiewały cicho jakąś pieśń w tonacji molowej, ale pomału śpiew przeszedł w rozmowę. Rozmowa, zgodnie z światłem księżycowem i przelatującymi po niebie obłoczkami, miała zabarwienie uczuciowe i wkońcu naturalnie zeszała na Wielkie Przeżycie Reni. Ociągając się, lecz zachęcana i proszona gorąco przez koleżanki, opowiedziała znowu swą historję — której „nowe“ jeszcze nie słyszały, a która dla „starych“ była zawsze nową.

Dekoracja sceny była wspaniała: Oświetlone księżycem piaszczyste wybrzeże, bijące o brzeg fale i szumiące sosny. Kiedy Renia przypadkiem opuściła jaki szczegół, słuchaczki jej, napamięć umiejące już całą historję, natychmiast ją uzupełniały.

— A on przez cały czas, jak mówił, trzymał cię za rękę! — wtrąciła Zuzia.

— Och, Reniu, naprawdę? — zabrzmiał jakby zawstydzony, chór „nowych“.

— No — tak! Na samym początku wziął mnie za rękę i zapomniał wypuścić, a ja nie chciałam mu zrobić przykrości i nie zwróciłam mu na to uwagi.

— Co on mówił?

— Powiedział mi, że nie może beze mnie żyć.

— A co ty odpowiedziałaś na to?

— Że bardzo mi przykro, ale że będzie musiał.

— A co potem się stało?

— Nic się nie stało — musiała wyznać. — Zdaje mi się, że cośby się może stało, gdybym go była przyjęła, ale, jak widzicie, nie przyjąłam go.

— Ale ty byłaś wówczas jeszcze bardzo młoda! — podsunęła jej Ewelina Smith. — Jesteś pewna, że wiedziałaś co robisz?

Renia potwierdziła ruchem głowy z miną niepozbawioną jakby melancholijnego żalu.

— I owszem. Wiedziałam, że nigdy go nie pokocham, bo — bo — no, niech już będzie, powiem — bo on miał strasznie komiczny nos. Ten nos z początku zwrócony był w jedną stronę, a potem nagle zmienił zdanie i zwrócił się w drugą.

Jej słuchaczki wołałyby, żeby raczej pominęła ten szczegół, ale Renia myślała wszystko do-

słownie i była pozbawiona instynktu, który wytrawnemu opowiadaczowi każe pewne szczegóły opuszczać.

— Pytał mnie, czy nie może mieć nadziei, że ja zmienię zdanie — dodała w zamyśleniu. — Odpowiedziałam mu, że nie mogę go tak kochać, aby wyjść za niego zamąż, ale że zawsze będę miała dla niego szacunek.

— A co on wtedy powiedział?

— Powiedział, że nie popełni samobójstwa.

Zapadła głęboka cisza i podczas gdy Renia wpatrywała się w księżyc, wszystkie panienki wpatrywały się w Renię. Z lśnięciami, złotymi włosami i fiołkowemi oczami była w ich oczach ideałem bohaterki powieściowej. Ani im nawet na myśl nie przyszło zazdrościć jej; dziwiły się tylko i podziwiały ją. Z prawa przyrodzonego była koronowana na Królową Przygody miłosnej.

Mira van Arsdale, która bez słowa przysłuchiwała się opowiadaniu, pierwsza przerwała milczenie. Wstała, poprawiła uczesanie, obciągnęła bluzkę na sobie i grzecznie stłumiła ziewanie.

— Nonsens, Reniu! Tylko taka zwarjowana gąska, jak ty, może robić tyle krzyku o nic. Dobranoc, dzieci. Idę spać.

Skierowała się powoli ku drzwiom, ale w progu przystanęła, aby od niechcienia rzucić niby mimowolne wyznanie:

— Mnie oświadczone się już trzy razy.

Ta „obraza majestatu“ wywołała szmer oburzenia całego kółka.

— Ona jest obrzydliwa mądrała i ja nie wierzę ani słowu z tego co ona mówi! — oświadczyła Zuzia z szczerą stałością, całując na dobranoc biedną, zmiażdżoną Renię.

To drobne starcie rozpoczęło erę naprężonych stosunków. Mira Mertelle zebrała koło siebie swe własne stronnictwo, a osobna koterja przyjaciółek Reni skupiła się pod sztandarem swej królowej. Te starały się wytłumaczyć zwolennikom Miry, że rodzaj romansu w obu wypadkach był całkiem inny. Mira mogła być bohaterką całego mnóstwa zwykłych flirtów, ale Renia była ofiarą uczucia, które nazywa się „*une grande passion*“. Naznaczona była niemożliwą do usunięcia blizną, którą weźmie z sobą do grobu. W żarze swego partyjnego uwielbienia przechodziły do porządku nawet nad niekształtnym nosem bohatera i nad niezaprzeczoną fakt, że Renia zupełnie nie była swym konkurentem zajęta.

Ale Mira nie wyrzuciła jeszcze swych atutów. Naprzód zaczęły obiegać szkołę jakieś szept, pod pieczęcią tajemnicy, rozumie się. Mira była beznadziejnie, nieszczęśliwie zakochana. Nie była to historia ostatnich wakacyj, ale pałaca kwestja dnia. Współlokatorkę Miry nieraz budził w nocy jej płacz. Nie miała apetytu — to musiał przyznać cały stół. W połowie deseru, nawet kiedy były lody, zapominała o jedzeniu i siedziała z łyżką w podniesionej ręce, zapatrzona gdzieś daleko przed siebie. Kiedy jej zwracano uwagę, że siedzi przy stole, drgała, jakby popełniła coś złego i szybko sprzątała resztę z talerza. Opierając się na tem, przeciwniczki jej twierdziły, że mimo wszystko ona kończyła pierwsza i jadła nie mniej od drugih.

Co tydzień jedna godzina angielskiego poświęcona była w Zakładzie św. Urszuli ćwiczeniom w starodawnej sztuce pisania listów. Dziewczeta pisały listy do domu, opisując szczegółowo życie szkolne, dalej pisały do wymyślonych przyjaciółek, babek, braci uczących się w kolegium i do małych siostrzyczek. W ten sposób uczono je wielkiej tajemnicy prawdziwego efektu literackiego — a mianowicie dostosowywania stylu do poziomu czytelników. Wreszcie dochodziły do punktu

kulminacyjnego — a mianowicie do listu, w którym nieistniejącemu młodemu człowiekowi miały podziękować za nadesłanie nieistniejących kwiatów. Mira przysłuchiwała się poniekąd napuszonej stylizacji tych grzecznych i chłodnych listów z uśmiechem wyższości. Spoglądająca w jej stronę klasa znowu zadrżała.

Stopniowo szczegóły romansu zaczęły przedostawać się do powszechnej wiadomości. Ów pan był Anglikiem. — Mira spotkała go na pokładzie parowca — i pewnego dnia, po śmierci brata (brat cierpiał na jakąś nieuleczalną chorobę, która miała go sprzątnąć w przeciągu paru lat) miał odziedziczyć po nim wszystkie tytuły i cały majątek; jakie były te tytuły, Mira szczegółowo nie powiedziała. Bądź co bądź, ojciec jej był zaciekłym Amerykaninem i nie znosił Anglików ani tytułów. Nigdy nie pozwoliłby swojej córce wyjść zamaż za cudzoziemca. Jeśli odważyłaby się na coś podobnego, nie dostałaby od niego ani dolara. Ale ani Mira ani Cuthbert nie dbali o pieniądze. On miał mnóstwo własnych pieniędzy. Nazywał się Cuthbert St. John. Wogóle miał cztery nazwiska, ale Mira tak go najchętniej nazywała. Obecnie bawi w Anglii, gdzie go wezwano kablogramem z powodu krytycznego stanu zdrowia brata, ale

ROMANTYCZNA PRZYGODA

kryzys minął już i Cuthbert wkrótce wróci. A wtedy —

Tu Mira zacisnęła wargi, tak że powstała tylko cienka, prosta kreska i wyzywająco patrzyła w przestrzeń.

— Wtedy jej ojciec zobaczy!

Wobec wstrząsającego realizmu tego romansu, mała, nieciekawa historia Reni rozplynęła się w nicość.

Intryga zaczęła tężeć. Przeglądając listę przybywających statków, Mira oznajmiła swej współlokatorce, że on już przyjechał. Dał swego czasu jej ojcu słowo, że nie będzie do niej pisywał, ale wiedziała, iż w pewien sposób da jej o sobie znać.

A słowa jej sprawdziły się.

Następny ranek przyniósł bezimienny bukiet fiołków. Dotychczas byli tacy, którzy wątpili — lecz wobec tego namacalnego dowodu sceptycyzm zniknął.

W niedzielę Mira, idąc do kaplicy, miała przypięte fiołki. Szkoła odpowiadała podczas nabożeństwa tak niedbale, że aż wstyd było — nikt nie uważał, wszystkie oczy utkwione były we wzniesionej twarzy Miry, po której błakał się jakby nieprzytomny, daleki uśmiech. Inka Wyatt

zwróciła uwagę, że Mira z wielką starannością usadowiła się w świetle kolorowego okna i że od czasu do czasu jej zamysłone oczy badawczo ślizgały się po twarzach koleżanek, aby sprawdzić, czy poza wywarła pożądanę wrażenie. Ale szkoła odrzuciła insynuację Inki z oburzeniem.

Nareszcie Mira zatriumfowała i zdołała sobie zapewnić stanowisko głównej bohaterki, gdy mała, skromna Renia nie odgrywała już żadnej roli.

Tak sprawy szły przez kilka tygodni, porastając po drodze w różne momenty. W wieczory poniedziałkowe urządzano „Podróże po Europie“. Z powodu wykładu o „Angielskich siedzibach wiejskich“, ilustrowanych przezrociami, znów powstał w szkole rumor. Kiedy wyświetlono okazałą siedzibę wiejską, z terasami i z jeleniami skubiącymi trawę na pierwszym planie, Mira Mertelle nagle zemdląła. Gospodyni, która pośpieszyła do niej z butelkami wrzątku i z kolońską wodą, nie podała żadnej przyczyny zemdlenia, ale później szepnęła do ucha swojej współlokatorki, że to był dom, w którym „on“ przybył na świat.

Fiołki w dalszym ciągu przychodziły co sobotę, a Mira stawała się coraz bardziej roztargniona. Nadchodził czas meczu piłki koszykowej z High-

land-Hall, sąsiednią pensją dla dziewcząt. Przeszłego roku Urszulanki zostały pobite; byłoby wieczystą hańbą, gdyby je miała spotkać klęska jeszcze raz, bo uczennice Highland-Hallu były w jednej trzeciej ich ilości. Przewodniczka zagrzewała i gromiła opieszalą drużynę.

— Wszystkiemu winna Mira Mertelle i jej wściekle fiołki! — skarżyła się zniechęcona Inka.
— Pozbawiła je bojowego ducha.

Z drugiej strony nauczycielki nie bez przykrości zauważyły, że atmosfera jest przeładowana. Dziewczęta zbierały się w grupki, wyraźnie drząc, kiedy je Mira Mertelle mijała. Panowała rozmazana atmosfera księżycowa, która zgoła nieszczególne wyniki dawała w wypracowaniach łacińskich. Sprawa stała się wkońcu przedmiotem obrad zaniepokojonego ciała nauczycielskiego. Nie było pod ręką żadnych konkretnych faktów, wszystko opierało się na przypuszczeniu, ale źródło podniecenia było jawne. Całą szkołę porwała fala sentymentu, który stał się zaraźliwy, jak ospa. Wdowa skłaniała się do zdania, że najprostszym sposobem oczyszczenia atmosfery było odesłanie Miry Mertelle i jej czterech kufrów do rodzinnego ogniska i pozostawienie sprawy jej narwanej matce. Miss Lord — to było dla niej

charakterystyczne — nastawała na wypowiedzenie walki aż do końca. Chciała siłą położyć kres głupstwu. Mademoiselle, która była wrażliwa na sentymenty, wyraziła obawę, że może to biedne dziecko istotnie cierpi. Mówiła o współczuciu i sympatji — ale ostatecznie wygrał dobroduszny, zdrowy rozum Miss Sallie. O ile zdrowie Zakładu św. Urszuli tego wymaga, Mira Mertelle musi go opuścić; ona jednak — Miss Sallie — jest zdania, że przy pomocy odrobiny dyplomacji tak zdrowie Zakładu jak i Mira Mertelle mogą być zachowane. Jeśli się tę sprawę pozostawi jej, postara się użyć swych własnych sposobów.

Miss Sallie była córką Wdowy. Powierzono jej praktyczną stronę Zakładu — zajmowała się kuchnią, kierowała służbą i przebiegała z końca w koniec dwieście akrów należącego do Zakładu folwarku. Poza takimi sprawami, jak kucie koni, sianokos i robienie masła, starała się być użyteczną, gdzie tylko mogła. Nigdy nie uczyła, ale umiała trzymać uczennice w ryzach. Szkoła znana była z kar nigdzie indziej niestosowanych, a większość ich wylęła się w głowie Miss Sallie. Jej przydomek „Dragonka“ miał swe źródło w pełnym szacunku podziwie dla jej umysłowych zdolności.

Następny dzień był wtorek, którego to dnia Miss Sallie jeździła regularnie na inspekcję. Kiedy po śniadaniu, wciągając rękawice do powożenia, schodziła nadół, omal nie nastąpiła na Ludkę Wilder i Inkę Wyatt, które, wyciągnięte jak długie na podłodze, usiłowały wypędzić z pod wieszadła piłkę od golfu.

— Hallo, dziewczęta! — zabrzmiało wesole pozdrowienie. — Możebyście się przejechały ze mną na folwark? Lećcie i powiedzcie Miss Wadsworth, że jesteście uwolnione od lekcyj popołudniowych.

Uradowane dziewczęta z gorączkowym pośpiechem włożyły płaszczyki i kapelusze. Przejazdźka do folwarku Round Hill była w Zakładzie św. Urszuli największą dostępną przyjemnością. Albowiem Miss Sallie — poza murami szkoły — była najweselszą i najbardziej towarzyską osobą w świecie. Po wesołej pięciomilowej przejażdżce przez brązowo-żółty pejzaż październikowy, dziewczęta spędziły parę godzin na włóczeniu się po polach, dostały mleka z imbirowemi ciasteczkami w kuchni pani Spencer, poczem, wtłoczone między główki kapusty, kosze z jajami i masło, pojechały zpowrotem. Rozmawiały wesoło na mnóstwo najrozmaitszych tematów — o maskaradzie

w Dniu Dziękczynienia *), o tem, jakaby sztukę grać, o nadchodzącym meczu z Highland-Hall i o opłakanym nowym przepisie, nakazującym im czytać artykuły wstępne w dziennikach. Wkońcu, kiedy rozmowa na chwilę się urwała, Miss Sallie zapytała jakby od niechcienia:

— *A propos*, dziewczęta, cóż to znów *opętało* Mirę van Arsdale? Wysiaduje wciąż po kątach a wygląda jak zmokła kura.

Inka i Ludka spojrzały po sobie.

— Prawdę mówiąc — mówiła dalej Miss Sallie wesoło — widać doskonale, w czem rzecz. Nie napróżno od dziesięciu lat pracuję w szkole. Ten głuptasek udaje nieszczęśliwą miłość. Wiecie dobrze, że nie bawię się plotkami, ale ciekawi mnie, kto to taki — czy ten pan, który chodzi w kościele z tacą, czy też subjekt, który u Marsha i Elkinsa sprzedaje wstążki?

— Ani jeden, ani drugi! — odpowiedziała Inka śmiejąc się. — To jakiś arystokrata angielski.

— Co takiego? — zdziwiła się Miss Sallie.

— A ojciec Miry nienawidzi arystokratów angielskich — tłumaczyła dalej Ludka — i zabronił mu nawet widywać się z nią.

*) Dzień Dziękczynienia za żniwa, uroczystość odbywająca się zwykle w ostatni czwartek listopadowy — coś w rodzaju naszych dożynek.

— Jej serce jest złamane! — rzekła Inka ze smutkiem. — Ona z tego ginie.

— A fiołki? — dopytywała się Miss Sallie.

— Obiecał, że nie będzie do niej pisywał, ale o fiołkach nie było mowy.

— Uhum, rozumiem teraz! — rzekła Miss Sallie.

I pomyślawszy chwilę, odezwała się:

— Dziewczęta, ja tę sprawę powierzam wam! Trzeba z tem skończyć.

— Nam?

— Niemożliwa rzecz, żeby cała szkoła mogła dalej być w takim podnieceniu. Ale sprawa jest zbyt głupkowata, aby nauczycielki się nią mogły zajmować. Nie wypada nawet. Ta sprawa musi być uregulowana przez opinię publiczną. Dajmy na to, że wy spróbujecie zrobić wszystko, co będzie w waszych siłach. Zatwierdzę was jako komitet mający za zadanie przywrócenie szkole solidnej podstawy zdrowego rozumu. Wiem, że wam mogę zaufać; nie wygadacie się.

— Nie widzę dobrze, co my możemy zrobić! — rzekła Inka z pewnem powątpiewaniem.

— Zwykle nie brak wam pomysłów — schlebiała Miss Sallie z uśmiechem. — Dam wam *carte blanche* co do obrania odpowiedniego sposobu postępowania.

— A czy możemy powiedzieć Zuzi? — zapytała Ludka. — Musimy jej powiedzieć, bo my trzy —

— Polujemy razem? — Miss Sallie skinęła potakująco głową. — Powiedzcie Zuzi, ale nikomu więcej.

Na drugi dzień, Marcin, jadąc do miasta, aby załatwić codzienne sprawunki, wysadził przed kwiaciarnią Inkę i Zuzię, upoważnione przez szkołę do kupienia kwiatów dla żony rektora. Panienki weszły do sklepu z główkami zupełnie zaprzątniętymi współzawodniczącymi z sobą wdziękami czerwonych i białych róż. Zamówiwszy kwiaty i napisawszy bilecik, bezczynnie czekały na Marcina, który, wracając, miał je zabrać ze sobą. Przechadzając się koło lady, spostrzegły na samym wierzchu notatkę: — „Co soboty fiołki dla Miss Mirandy van Arsdale, Zakład św. Urszuli“.

Przystanęły i przez dłuższy czas stały pogrążone w milczeniu. Właściciel sklepu zauważył ich zdziwienie.

— Czy panie znają może młodą damę, która zamówiła te fiołki? — zapytał. — Nie podała swego nazwiska, a ja radbym wiedzieć, czy ona życzy sobie, żebym je posyłał w dalszym ciągu.

— Nie, nie wiem, ktoby to mógł być — odpowiedziała Inka, z doskonale udaną obojętnością.

— Nie pamięta pan jak wyglądała?

— Była — była w granatowym płaszczyku — odpowiedział po namyśle właściciel sklepu.

Ponieważ wszystkie sześćdziesiąt cztery uczennice z Zakładu św. Urszuli nosiły granatowe płaszcze, ten opis nie na wiele się zdał.

— O! — poddała śpiesznie Inka. — Była prawdopodobnie wysoka z bujnemi, złotemi włosami —

— To ona! — odpowiedział właściciel z przekonaniem.

— To sama Mira! — szepnęła Zuzia.

Inka nakazała jej skinieniem głowy milczenie.

— Powiemy jej — obiecała. — Ale, ale! — zwróciła się do Zuzi. — Sądzę, że byłoby ładnie z naszej strony, gdybyśmy posłały Mirze trochę kwiatów od — od — naszego tajnego Związku. Obawiam się tylko, że w skarbcu mamy w tej chwili pustki. Muszą być jakieś kwiaty tańsze niż fiołki. Jakie pan ma najtańsze kwiaty? —
— zapytała właściciela sklepu.

— Mamy pewien gatunek małych słoneczników, używanych czasem chętnie dla dekoracji. Nazywamy je „Utnij i przyjdź znowu“. Mogę

paniom odstąpić sporą wiązanekę za pięćdziesiąt centów. Wcale dobrze wyglądają.

— O to nam właśnie chodzi! Proszę, niech pan pośle wiązanekę tych kwiatów Miss van Arsdale z tą oto kartką.

Inka wzięła niezapisaną kartkę i zmieniawszy pismo, napisała: — Pani niepokieszony C. St. J.

Wsunęła kartkę w kopertę, a potem ostro spojrziała w oczy właścicielowi.

— Czy pan jest masonem? *) — zapytała z wzrokiem utkwionym w półksiężycu widocznym w klapie jego marynarki.

— Tak! — przyznał.

— Wobec tego rozumie pan, co znaczy przysięga dotrzymania tajemnicy? Nie wolno panu nikomu powiedzieć, kto posłał te kwiaty. Wysoka młoda dama z złotymi włosami z pewnością tu przyjdzie i będzie się chciała dowiedzieć, kto je posłał. Pan nie będzie mógł przypomnieć sobie. Być może, że to był nawet jakiś pan. Pan nie wie. Ten Związek tajny w Zakładzie św. Urszuli jest o tyle większą tajemnicą od masonerji, że nawet o samem istnieniu jego nikt nie wie. Rozumie pan?

*) Tajne Związki wolnomularskie są w Ameryce bardzo rozpowszechnione.

Właściciel wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ja — tak, proszę pani.

— Gdyby tajemnica się wydała — dodała niejasno — nie byłabym pewna pańskiego życia.

Wraz z Zuzią złożyły się po dwadzieścia pięć centów.

— To będzie kosztowne — westchnęła Inka.

— Zdaje mi się, że będziemy musiały poprosić Miss Sallie o jakieś osobne subsydjum na czas trwania tego komitetu.

Kiedy kwiaty przyniesiono, Mira znajdowała się w swoim pokoju, otoczona całym dworem swych wielbicieli. Przyjęła pakunek z zakłopotaniem.

— Przysłała kwiaty w środę jak i w sobotę! — wykrzyknęła jej współlokatorka. — Musi być zagrożony w rozpacz.

Mira otworzyła paczkę wśród podnieconego pomruku.

— Jakie piękne kwiaty! — wykrzyknęły dziewczęta chórem, choć nie bez lekkiego rozczarowania. Woląłyby, żeby to były czerwone róże.

Mira przyglądała się prezentowi przez chwilę z pełnym zdumieniem osłupieniem. Tak długo grała komedję, że wreszcie sama uwierzyła w istnienie Cuthberta. Kółko przyjaciółek stało w oczeki-

waniu i Mira zebrała wszystkie siły, aby odpowiednio przyjąć nieoczekiwany kryzys.

— Ciekawa jestem, co mogą oznaczać słoneczniki? — zapytała tklwym głosem. — Muszą przynosić jakieś posłanie. Czy która z was zna mowę kwiatów?

Ani jedna panienka nie знаła mowy kwiatów; ale wystarczyło im już samo przypuszczenie.

— Tu jest jakaś kartka!

To Ewelina Smith znalazła ją wśród gęstych liści.

Mira zrobiła ruch, jak gdyby chciała przeczytać kartkę sama na osobności, ponieważ jednak dotychczas co się tyczy zwierzeń była bardzo hojna, nie wypadało jej cofać się w punkcie tak zajmującym. Zaglądając przez ramię, przeczytały głośno:

— „Pani niepokieszony C. St. J.“ — O, Miro, pomyśl, jak on musi cierpieć!

— Biedak!

— Poprostu nie mógł już dłużej milczeć.

— On jest uosobieniem honoru — odpowiedziała Mira. — Nie chciał napisać prawdziwego listu, ponieważ przyrzekł, że pisać nie będzie, przypuszczam jednak — że tych parę słów...

R O M A N T Y C Z N A P R Z Y G O D A

Do pokoju wpadła Inka Wyatt, która właśnie przechodziła koło drzwi. Pokazano jej kartkę, mimo słabego oporu Miry.

— Pismo świadczy o bardzo silnym charakterze — zauważyła Inka.

Uznano to za ustępstwo z jej strony, bo ona jedna od początku uchyliła się od kultu Cuthberta St. John'a. Była przyjaciółką Reni.

Następne dni przyniosły Mirze cały szereg zdumiewających niespodzianek. Przyjąwszy pierwszą przesyłkę słoneczników, nie mogła nie przyjąć drugiej. Zagalopowawszy się raz, musiała brnąć dalej. Po kwiatach posypały się słodycze i książki w przerażającej obfitości. Słodycze nie były zbyt drogiego gatunku. — Inka znalazła w mieście dziesięciocentowy magazyn *) — zato pudełka, w jakich się mieściły, wynagradzały swą dekoratywnością to, czego cukierkom brakowało; aż się pstrzyły od róż i amorków. Do każdego prezentu dołączona była stale karteczka, czasem z inicjałami, a czasem z krótkim podpisem „Bertie“. Nigdy jeszcze nie doręczano przesyłek pocztowych z tak niezawodną szybkością; rozumie się, wszystkie przechodziły przez ręce Miss Sallie. Sprawdziła ona szybko adres, pisała na pakunku „do-

*) Sklep, w którym każda rzecz kosztuje dziesięć centów.

ręczyć“, a służąca czekała tylko na chwilę, w której jego doręczenie mogłoby adresatce sprawić jak najwięcej ambarasu — to znaczy, kiedy Mira Mertelle otoczona była swym dworem.

W przeciągu kilku dni stał się Anglik Miry z przedmiotu westchnień przedmiotem żarcików i śmiechu. Jego literacki smak był tak samo niemożliwy, jak zły gust, jaki okazał przy przysyłaniu cukierków. Na załączonych karteczkach wypisywał tytuły, które w dobrem towarzystwie uchodziłyby za specjalność służby kuchennej. „Ukochana Utracona!“ „Urodzona Kokietko!“ „Cierniu w kwiecie pomarańczowem!“ itd. Biedna Mira broniła się przed niemi, ale bezskutecznie — szkoła przyjęła Cuthberta i teraz za nic w świecie nie chciała się wyrzec zabawy kosztem jego brytyjskich nietaktów. Na widok służącej, pojawiającej się z pakunkiem, Mira truchlała. Ostatnim ciosem była dla niej przesyłka pełnego wydania w papierowej okładce — dzieł Marji Corelli.*)

— To nieprawda! On nigdy nie przysłałby tych książek! — łkała. — To ktoś pozwala sobie na niemądre żarty.

— Nie trzeba się zaraz tak gniewać — pocieszała ją Inka — że książki te nie należą do tych,

*) Banalna autorka angielska.

jakie wybrałaby Amerykanka. Wiesz przecie, że Anglicy mają gust dziwaczny, zwłaszcza już co się tyczy książek. — Tam *wszyscy* czytają Marję Corelli.

Następnej soboty część wychowanek udała się do miasta dla załatwienia sprawunków i na poranek artystyczno-muzykalny. Między innymi były też panienki i w pewnym sklepie z artystycznymi reprodukcjami fotograficznymi, gdzie zamierzały nabyć reprodukcje starych mistrzów włoskich. Zainteresowanie się Inki Giottem nie było zbyt wielkie, skutkiem czego panienka zrobiła mały przegląd sklepu. Przerzucała podobizny aktorów i aktorek i w pewnej chwili aż jej oczy błysnęły, gdy natrafiła na wielką fotografię, przedstawiającą jakiś niepospolicie zdobywcy, zarozumiały typ, z podkreśconymi wąsami, z dołeczkiem w brodzie i z wielkimi, pełnymi wyrazu, oczami. Był w stroju myśliwskim i dumnie demonstrował obnażoną szyję. Podobizna ta była ostatnim słowem Romansu Dwudziestego Wieku, a, co było wprost bezcenne, miała na sobie firmę londyńską!

Inka nieznacznie odciągnęła dwie członkinie komitetu, stojące w podziwie przed Fra Angelico i trzy zachwycone główki pochyliły się nad podobizną.

— Znakomita! — zawyrokowała Ludka. —
Niestety, kosztuje półtora dolara.

— Wyrzekniemy się wody sodowej *na zawsze!*
— westchnęła Zuzia.

— Drogo! — przyznała Inka — ale —

Tu popatrzyła się znowu w jasne, pełne wy-
razu oczy.

— Doprawdy, mojem zdaniem ta fotografia
warta tego.

Złożyły po pięćdziesiąt centów i fotografia stała
się ich własnością.

Inka przez czoło przepisała tym śmiałym, zmie-
nionym charakterem pisma, który Mira już znie-
nawidziła, czułą dedykację w języku francuskim
i podpisała pełnem nazwiskiem „Cuthbert St.
John“. Następnie włożyła ją do koperty i po-
prosiła poniekąd zdziwionego pomocnika handlo-
wego, aby ją wysłał następnej środy rano, po-
nieważ to miał być prezent imiennowy i nie po-
winien przyjść przed oznaczoną datą.

Pakunek przyszedł pocztą o piątej popo-
łudniu i został doręczony Mirze, kiedy dziewczęta
gromadkami wychodziły z lekcyj popołudniowych.
Mira przyjęła go w ponurem milczeniu i usunęła
się do swego pokoju. Z jakie pół tuzina najczul-
szych przyjaciółek szło tuż za nią. Tyle się Mira

namęczyła, aby zdobyć sobie swój własny orszak, a teraz nie mogła się go pozbyć.

— Otwórz to, Mirko, prędko!

— Jak myślicie, co to może być?

— To nie mogą być ani kwiaty, ani cukierki.

On z pewnością wymyślił coś nowego.

— Wszystko mi jedno, co to jest!

Mira z irytacją wrzuciła pakunek do kosza na papiery.

Irma Mc Collough wyłowiła go i rozcięła sznurek.

— O, Miro, to jego fotografia! — pisnęła. — Jest do—praw—dy prze—pię—kny!

— Widziałyście kiedy takie oczy?

— Czy on wasy fryzuje czy też naturalnie tak mu rosną?

— Czemu nie powiedziałaś nam, że on ma dołek w brodzie?

— Czy zawsze chodzi tak ubrany?

Mira wahała się między ciekawością a złością. Porwała fotografię, spojrzała tylko na tkliwe, pełne wyrazu oczy, i wrzuciła ją, wierzchem do góry, do szuflady biurka.

— Nie wspominajcie przede mną jego nazwiska!

— rzuciła, kiedy, z zaciśniętymi ustami, zaczęła się czesać do obiadu.

Następnego piątku popołudniu — dzień sprawunków w miasteczku — Inka, Ludka i Zuzia wstąpiły do kwaciarni wyrównać rachunek.

— Dwie wiązanki słoneczników, dolara — zaczął właśnie z głębi sklepu wyliczać właściciel, gdy wtem za panienkami dały się słyszeć kroki i nagle znalazły się twarzą w twarz z Mirą Mertelle van Arsdale, pochyloną również nad rachunkiem.

— O! — wykrzyknęła gwałtownie. — Mogłam się była domyślić, że to wy trzy to zrobiłyście!

Przez chwilę patrzyła na nie w milczeniu, potem osunęła się na plecione, trzcinowe krzesło i oparła głowę o ladę. W ostatnich czasach wylała tyle łez, że płynęły już automatycznie.

— Rozumie się — łkała — że rozgadacie to teraz wszystkim i wszyscy będą się ze mnie śmiali.

Trzy przyjaciółki spojrzały po sobie z nieprzejednanymi minami. Tych parę łez nie wzruszyło ich.

— Powiedziałaś o Reni, że jest zwarzowaną gąską, ponieważ robi tyle krzyku o nic — przypomniała jej Zuzia.

— A tymczasem on był przynajmniej prawdziwym, żywym człowiekiem — rzekła Inka — choćby nawet miał krzywy nos.

— Czy wciąż jeszcze myślisz, że ona była zwa-
rjowaną gąską? — pytała Ludka.

— N—n—nie!

— Czy nie zdaje ci się, że byłaś o wiele sza-
leńsza od niej?

— T—tak.

— A przeprosisz Renię?

— Nie!

— Ależ to będzie zabawa — rzekła po namyśle
Inka — jak opowiemy tę historję.

— Jesteście skończenie okrutne!

— Przeprosisz Renię czy nie? — zapytała Zu-
zia znowu.

— Tak — o ile przyrzekniecie mi nic nie mó-
wić.

— Przyrzekniemy, ale pod jednym warunkiem
— mianowicie, że zerwiesz z Cuthbertem St. Joh-
nem i nigdy już o nim nie wspomnisz.

Następnego wtorku Cuthbert wyjechał do Anglii
na *Oceanic*'u. Wychowanki Zakładu św. Urszuli
ogarnęła gorączka gry w piłkę koszykową i atmo-
sfera została oczyszczona od wszelkiej Roman-
tyczności.

ROZDZIAŁ TRZECI

STRAJK WERGILEGO.

— Dość mam już tych Praw Kobiety w piątkowe popołudnia — mówiła Inka z niechęcią. — Wolę wodę sodową.

— Trzeci raz już zabierają nam wolne dla tych głupich odczytów! — mruzczała Zuzia, zaglądając Ince przez ramię, aby przeczytać obwieszczenie, napisane pionowym, kaligraficznym charakterem pisma Miss Lord.

Obwieszczenie to podawało pensjonarkom do wiadomości, że zamiast zwykłego czynienia sprawunków w miasteczku, będą miały przyjemność wysłuchać tego popołudnia wykładu profesora Mc Vey'a z uniwersytetu kolumbijskiego. Tematem miał być strajk praczek. Po odczycie miano podać w salonie herbatę z Mirą van Arsdale, Henrjetą Gladden i Inką Wyatt jako gospodyniami.

— To nie moja kolej! — zaprotestowała Inka, spostrzegłszy swe nazwisko wśród gospodyń. — Byłam gospodynią dwa tygodnie temu.

— To skutek tego, żeś napisała pracę o „Ośmiogodzinnym Dniu Roboczym“. Lordunia spodziewa się, że zadasz temu profesorowi jakieś inteligentne pytanie i pokażesz mu w ten sposób, że Zakład św. Urszuli nie jest zwykłą pensją, na której uczy się rzeczy zupełnie niepotrzebnych, lecz w której zagdnienia aktualne —

— A ja tak chciałam zrobić kilka sprawunków! — skarżyła się Inka. — Potrzebuję koniecznie sznurowadeł do bucików. Od tygodnia muszę swoje sznurowadła zawiązywać na węzeł, tak się porwały.

— Idzie Lordunia! — szepnęła Zuzia. — Udajcie bardzo uszczęśliwione, inaczej każe wam przetłumaczyć cały — dzień dobry, Miss Lord! Mówiliśmy właśnie o odczycie. Zapowiada się bardzo interesująco.

Uśmiechnęły się niezbyt szczerze i poszły za swą nauczycielką na poranną lekcję łaciny.

Miss Lord była w Zakładzie jedyną nauczycielką, skłaniającą się do modernizmu. Wierzyła w bojujące sufrażystki, w związki, bojkoty i strajki i pracowała wytrwale nad wpojeniem w swe małe wychowanki własnych, postępowych poglądów. Musiała jednak walczyć z prawdziwie

ciężką bezwładnością. Jej małym wychowankom nic a nic nie zależało na zdobyciu praw w mglistym czasie przyszłości, kiedy skończą dwadzieścia jeden lat, natomiast niemało zależało im na tem, aby nie stracić wolnego popołudnia w czasie teraźniejszym. W piątki popołudniu wolno im było wystawiać czeki na bank szkolny na swoje potrzeby i maszerować parami, z jedną nauczycielką na czele a drugą w tylnej straży, do sklepów w miasteczku, gdzie uzupełniały co tydzień swe zapasy wstążek do włosów, wody sodowej i filmów do aparatów fotograficznych. Nawet te, których sumki, przeznaczone na tygodniowe wydatki, zupełnie zostały pożarte przez gryzwy, mimo wszystko maszerowały do miasteczka i tam czekały, podczas gdy szczęśliwsze ich koleżanki wydawały pieniądze. Było to pewnem urozmaiceniem sześciodniowego zamknięcia w murach szkolnych.

— Ale — „trafił swój na swego!“

Miss Lord poprzedziła recytację Wergilego tego poranku dyskusją na temat zapowiedzianej prelekcji. Strajk praczek, mówiła, rozpoczyna epokę w historii przemysłu. Dowodziła mianowicie, że kobiety, podobnie jak i mężczyźni, zdolne są stanąć w szeregu jedna przy drugiej.

Solidarność pracy była hasłem, które usiłowała dziewczętom zaszcześcić. A dziewczęta słuchały pilnie i uważnie i zadawały chciwie pytania, mające wykazać jak na dłoni, że temat je porywa, skutkiem czego skróciły godzinę recytacji łacińskiej o trzy kwadransy.

Profesor, dobroduszny pan z brodą à la Van Dyck, przyszedł i wygłosił wyczerpujący wykład o stosunku pracodawcy do pracobiorcy. Słuchaczki przysłuchiwały się prelekcji, uśmiechając się uprzejmie i inteligentnie, ale z umysłami pogodnie zaprzątniętymi różnemi innemi sprawami. Wielkie zagadnienia Kapitału i Pracy nawet w połowie nie miały dla nich tego znaczenia, co utrata wolnego popołudnia, smutna konieczność pisania na temat prelekcji wypracowań na jutrzejszą lekcję angielskiego lub myśl, że wieczorem będą lody a potem lekcja tańców. Ale Inka, siedząca w pierwszej ławce, utkwiała w twarzy prelegenta poważne spojrzenie swych szeroko otwartych oczu, widocznie porwana jego wywodami i skrzętnie notująca je dla siebie w umyśle.

Stosownie do zwyczaju nastąpiła herbata. Trzy wybranki przyjmowały swych gości z łatwością oddawna już wyrobionych gospodyń. Fakt, iż

poruszały się pod czujnymi oczami wychowawczyń, które w razie potrzeby udzielały im wskazówek, w nieznacznym tylko stopniu krępował swobodę ich ruchów. W sposób niesłychanie drobiazgowy uczono je zachowywać się stosownie do rang społecznych, co później mogło im być potrzebne w szerokim świecie. Henrjetta i Mira siedziały na pierwszym miejscu, nalewając herbatę, podczas gdy Inka bawiła uczonego rozmową. Pan profesor wyraził się później bardzo pochlebnie o rzadko gdzieindziej spotykanym zrozumieniu zagadnień ekonomicznych.

Miss Lord nie bez pewnej dumy odpowiedziała, że stara się, aby jej wychowanki myślały same za siebie. Socjologja nie jest przedmiotem, któregoby można uczyć mechanicznie. Każdy musi wyrobić sobie swój własny pogląd na rzecz i postępować stosownie do niego.

Lody i tańce przywróciły równowagę Zakładu św. Urszuli po umysłowych trudach popołudnia. O wpół do dziesiątej — w dni w których odbywały się tańce, szkoła kładła się spać dopiero o dziesiątej — Inka i Zuzia złożyły swój ukłon pożegnalny na dobranoc, powiedziały grzecznie „Bon soir Mam’selle“ i poszły na górę wcale jeszcze nie śpiące. Zamiast, jak wypadało grzecznym

uczennicom, czem prędeż się przygotować do snu, zaczęły ćwiczyć „pas“ nowego tańca hiszpańskiego wzdłuż całej długości Korytarza Południowego. Z ostatnim piruetem dotarły do drzwi Reni Patton.

Renia, wciąż jeszcze w powiewnej, blado-błękitnej sukni do tańca, siedziała ze skrzyżowanymi nogami na kanapce, ze złotymi lokami opadającymi na otwarte kartki Wergilego, z beznadziejną regularnością skrapiając łzami wiersze, które kuła napamięć.

O historii postępów Reni w łacinie wyższych klas — lepiej zamilczeć. Renia bardzo często marzyła — zamiast uważać i skoncentrować się nad gramatyką łacińską — o tej przyszłej szczęśliwości, w której miejsce „gerundium“ i „gerundivum“ zajmą uśmiechy i pocałunki. Była to ładna, niezaradna pieśczołka, niesłuchanie dziecinna, jak na wyższe gimnazjum, ale zarazem niezmiernie ujmująca. Wszyscy przekomarzali się z nią, bronili jej i kochali.

— Ty głuptasku zwarjowany! — wykrzyknęła Inka. — Któż ci kazał kuć łacinę w piątek wieczór!

Znalazłszy się jednym skokiem na kanapce u boku Reni wydarła jej książkę.

— Muszę! — łkała Renia. — Jeśli nie zacznę, nigdy nie skończę. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Nie mogę się nauczyć napamięć osiemdziesięciu wierszy przez dwie godziny. Miss Lord wrywa mnie zawsze na końcu, bo wie, że końca nigdy nie umiem.

— Czemuż nie zaczynasz od końca? — podała jej zawsze praktyczna Inka.

— Ależ to byłoby nieładnie, a ja nie mogę się nauczyć tak prędko jak inne. Pracuję przeszło dwie godziny dziennie i nic nie pomaga. Wiem, że nie przejdę.

— Osiemdziesiąt wierszy to sporo! — przyznała Inka.

— Dla was to nic, bo wy znacie słówka, ale —

— Ja wczoraj kułam też przeszło dwie godziny — rzekła Zuzia — i także nie mogłam się nauczyć. Musiałam mieć trochę czasu na geometrię.

— *Ja poprostu nie mogę się nauczyć!* — jęknęła Renia. — A ona myśli, że ja jestem głupia, dlatego, że nie mogę dorównać Ince.

Wpadła Ludka Wilder.

— Co się stało? — zapytała na widok twarzy Reni, mokrej od łez. — Wypłacz się w poduszkę, dziecinko, nie niszczone sukni.

Wytłumaczono jej sprawę łaciny.

— Istotnie, Lordunia strasznie nas męczy! Onaby chciała, żebyśmy cały dzień ślęczały nad łaciną lub socjologją. Ona —

— Nie myśli ani o tańcach, ani o francuskim, ani choćby o tem, że dobre maniery też są coś warte — łkając wyliczyła Renia trzy przedmioty, w których celowała — a mnie się zdaje, że one mają o wiele więcej sensu niż „conjunctivy“. To jest przynajmniej do czegoś przydatne, a cóż komu przyjdzie z socjologii lub łaciny.

Inka zbudziła się nagle ze swego zamyślenia.

— Łacina istotnie nie na wiele się przyda — przyznała — ale, zdaje mi się, z socjologii można mieć jakiś pożytek. Miss Lord sama mówiła nam, że powinniśmy stosować ją wobec naszych aktualnych problemów.

Renia odsunęła od siebie tę myśl pogardliwym ruchem.

— Słuchajcie! — wykrzyknęła Inka, skoczywszy na równe nogi i przemierzając pokój szerokimi krokami. — Mam myśl! To zupełna prawda. Osiemdziesiąt wierszy Wergilego to naprawdę za dużo, aby każda mogła się ich nauczyć — a już zwłaszcza Renia. A wy słyszałyście przecie, co powiedział ten uczoney: Nie

jest uczciwie opierać zarobek dzienny na wydajności pracy najsilniejszego robotnika. Najślabszy musi móc dotrzymać mu kroku, inaczej pozostaje w tyle. To a nie co innego ma na myśli Lordunia, mówiąc o solidarności pracy. W każdej gałęzi pracy robotnicy powinni twardo stać w jednym szeregu. Silniejszy powinien osłaniać słabszego. Obowiązkiem całej klasy jest stanąć po stronie Reni.

— Dobrze, ale jak? — zapytała Zuzia, przerywając tyradę.

— Utworzymy „Związek Wergilego“ i zrobimy strajk, którego celem będzie domaganie się sześćdziesięciu wierszy dziennie.

— O! — wykrzyknęła Renia, przerażona śmiałością tego pomysłu.

— Zastrajkujmy! — zawołała Ludka, stając do apelu.

— Myślicie, że potrafimy? — zapytała Zuzia, z wahaniem.

— Co na to powie Miss Lord? — na samą myśl Renia zadrżała.

— Może sobie mówić, co chce! Czyż nie kazała nam słuchać pilnie odczytów i uciekać się do pomocy wskazówek, z nich wynikających?

— Będzie niewątpliwie zachwycona, jak zobaczy, że z nich istotnie korzystamy — oświadczyła Ludka.

— A co zrobimy jeśli nie ustąpi?

— Wezwiemy klasy Cicera i Cezara do strajku na znak solidarności.

— Hurra! — krzyknęła Ludka.

— Lordunia wierzy w związki — zgodziła się Zuzia. — Będzie musiała uznać słuszność ich sprawy.

— Naturalnie, że będzie musiała uznać słuszność ich sprawy! — nastawała Inka. — Jesteśmy przecie w tem samem położeniu co praczki — w położeniu zależnem, i jedynym sposobem zmierzenia swych sił z siłami pracodawcy, jest trzymanie się razem. Gdyby sama Renia domagała się sześćdziesięciu wierszy, dostałaby po nosie, ale jeśli to zrobi cała klasa, Lordunia *będzie musiała ustąpić!*

— Kto wie, czy cała klasa będzie chciała przyłączyć się do związku! — odezwała się Zuzia.

— Zmusimy je! — odpowiedziała Inka, która, zgodnie z pragnieniem Miss Lord, uświadomiła sobie już kilka podstawowych zasad.

— Musimy się spieszyć! — dodała, patrząc na zegarek. — Zuziu, leć co sił w nogach i wy-

szukaj Irnę, Florę Hissop i Henrjetę, a ty, Ludko, przyprowadź tu Nancy Lee — siedzi z pewnością w pokoju Eweliny Smith i opowiada jej historie o duchach. Ty, Reniu, przestań beczeć i sprzątnij szmatki z tych krzeseł, tak żeby można na nich siąść.

Zuzia zerwała się posłusznie, ale naraz zatrzymała się w proggu.

— A cóż ty będziesz robić? — zapytała, może trochę podejrzliwie.

— Ja? — rzekła Inka. — Ja będę leaderem stronnictwa.

Zwołano miting i Inka, sama siebie obrawszy przewodniczącą, określiła podstawy Związku Wergilego. Sześćdziesiąt wierszy miało stanowić dziennie zadanie. Klasa miała przedstawić sprawę na zwykłej lekcji w poniedziałek rano, przyczem odrzuconoby grzecznie, ale stanowczo dwadzieścia ostatnich wierszy z zadanego ustępu. Gdyby Miss Lord upierała się przy swoim, dziewczęta miały zamknąć książki i wyjść na znak, że rozpoczynają strajk.

Większość klasy, zahipnotyzowana wymową Inki, bez namysłu program przyjęła; jedną tylko Renię, dla ulżenia której Związek specjalnie został założony, trzeba było namawiać, aby akt

założenia podpisała. Wreszcie, po wyczerpaniu całego mnóstwa argumentów, niepewną ręką położyła swój podpis, przypieczętowawszy go łzami. Z natury Renia nie miała duszy bojowej; wolała zdobywać swe prawa bardziej kobiecemi metodami.

Drugą, którą trzeba było prawie zmusić do przystąpienia, była Irma Mc Collough. Była to dusza ostrożna, myśląca zawsze o możliwych następstwach. Jedną z najczęściej stosowanych w Zakładzie św. Urszuli kar, było pozbawienie winowajcy deseru. Ten rodzaj kary Irma znosiła z wielką przykrością, skutkiem czego starannie omijała wszystko, co mogłoby ją spowodować. Ale Ludka znalazła argument, któremu Irma nie mogła się oprzeć. Zagroziła jej mianowicie, że powie, iż służąca przemyca dla niej czekoladki — skutkiem czego biedna, steroryzowana Irma, zagrożona podwójną stratą i czekoladek i deseru, z grobową miną położyła swój podpis.

Zadzwoniono na gaszenie światel. Związek Wergilego zamknął swe pierwsze zgromadzenie i poszedł spać.

Przedpołudniowe lekcje łaciny odbywały się w wyższych klasach na samym ostatku, kiedy wszyscy byli już zmęczeni i głodni. W ponie-

działek, po założeniu Związku, klasa Wergilego czekała na korytarzu przed drzwiami z coraz bardziej wzrastającą treścią, jako, że zbliżał się czas bitwy. Inka zagrzała koleżanki krótkim przemówieniem:

— Głowa do góry, Reniu! Nie bądź płaksą! Pomożemy ci, kiedy na ciebie przyjdzie kolej ostatnich wierszy. I na miłość boską, dziewczęta, nie róbcie tak przerażonych min. Pamiętajcie, że cierpicie nie tylko dla siebie, lecz dla wszystkich pokoleń klas Wergilego, jakie przyjdą po was. Kto się teraz cofnie, będzie *tchórzem!*

Inka ulokowała się w pierwszej ławce naprzeciw katedry, wprost na linii ognia i już na początku przyszło do lekkiej utarczki. Jej ciężkie trzewiki sportowe zasnurowane były blado-niebieskimi wstążeczkami, co oko przeciwnika natychmiast dostrzegło.

— Nie zdaje mi się, aby dama z towarzystwa mogła używać tego rodzaju sznurowadeł. Czy mogłabym zapytać, Inko —

— Tamte sznurowadła mi się podarły — tłumaczyła Inka uprzejmie — a ponieważ nie mogłyśmy w piątek załatwić w mieście sprawunków, musiałam wziąć takie, jakie miałam. Mnie samej one się nie podobają! — uznała, wycią-

gając przed siebie nogę i przyglądając się jej krytycznie.

— Postaraj się o czarne sznurowadła natychmiast po lekcji — rzekła Miss Lord ostro. — Zuziu, przeczytaj pierwszych dziesięć wierszy.

Lekcja odbywała się jak zwykle, z tą tylko różnicą, że w miarę jak każdych dziesięć wierszy się skończyło, dziewczęta uczuwały pewne zaniepokojenie i z naprężeniem czekały, kto dalej zostanie wywołany. Sześćdziesiąt wierszy skończyło się na Ludce. Dalej ani jedna uczennica lekcji nie robiła; od tego miejsca zaczynała się dziewicza puszcza. W tym miejscu miał się Związek zdeklarować i całe brzemie, stosownie do przewidywania, zważyło się na biedną, drżącą, małą Renię.

Renia rzuciła błagalne spojrzenie w stronę Inki, z miną oczekującą, jak ona się zachowa, zaczęła się jąkać, umilkła i wreszcie zaczęła nieudolnie tłumaczyć bez przygotowania. Wogóle pod tym względem nigdy nie miała szczęścia i nawet po dwóch godzinach cierpliwego morderstwa się ze słownikiem, nigdy nie była pewną, co które słowo znaczy. Teraz naślepo brnęła przed siebie wśród powszechnego szmeru — przypisując pobożnemu Eneaszowi mnóstwo za-

bawnych czynów. Skończyła — i wówczas zaczęły się tortury. Miss Lord przez całe trzy minuty znęcała się nad Renią, poczem te same wiersze kazała przetłumaczyć Irmie Mc Collough.

Irma zaczerpnęła głęboko powietrza — czuła, jak Ludka, dodając jej odwagi, klepie ją po plecach, zaś Inka i Zuzia po obu stronach uparcie trącają ją łokciami. Już otwarła usta, aby wygłosić hasła, któremi nabito jej głowę wieczorem, gdy naraz ujrzała zimny błysk w oczach Miss Lord. Łkania Reni napelniały salę. I Irma — padła. W łacinie była mocna — jej przekład bez przygotowania miał przynajmniej sens i był zrozumiały. Miss Lord poprzestała w tym wypadku tylko na sarkastycznym komentarzu, poczem przeszła do Flory Hissop. W tej chwili panika ogarnęła szeregi. Flora chciała być wierna zaufaniu w niej położonemu, ale instynkt samozachowawczy jest silny. Poszła za przykładem Irmy.

— Proszę przeczytać dziesięć ostatnich wierszy, Inko, i proszę zadać sobie wysiłek wyszukania w nich choćby odrobiny sensu. Nie zapominaj też, że czytamy poemat.

Inka podniosła głowę i spojrzała na swą przełożoną z miną męczennicy z pierwszych wieków Chrześcijaństwa.

— Ja zrobiłam preparację tylko z pierwszych sześćdziesięciu wierszy, Miss Lord.

— Czemu nie zrobiłaś do końca lekcji, którą zadałam? — zapytała Miss Lord ostro.

— Przyszliśmy do przekonania, że osiemdziesiąt wierszy to więcej, niż jesteśmy w stanie zrobić w jednym dniu. Zabiera nam to zbyt wiele czasu, niezbędnego na inne przedmioty. Sześćdziesiąt wierszy zrobimy z miłą chęcią i to jak najstaranniej, ale więcej brać nie będziemy.

Miss Lord w pierwszej chwili poprostu osłupiała. — Nigdy jeszcze dotychczas nie spotkała się z tak jaskrawym wypadkiem niesubordynacji. A była to tylko niesubordynacja, ponieważ Inka należała do najzdolniejszych uczennic w klasie.

— Co ty mówisz? — wykrztusiła wreszcie.

— Utworzyliśmy Związek Wergilego — tłumaczyła Inka poważnie. — Pani, Miss Lord, niezawodnie oceni słuszność naszych żądań lepiej, niż którakolwiek inna nauczycielka. Otóż panienki z tej klasy czują, że są przepracowane i pod — co to ja chciałam powiedzieć — to znaczy, sądzą, że zadawane nam przez panią lekcje są za długie.

Inka zaczerpnęła powietrza i znów zaczęła mówić.

— Osiemdziesiąt wierszy dziennie zabiera nam czas rekreacyjny, wobec czego postanowiliśmy zjednoczyć się i zażądać uznania naszych praw. Stanowisko nasze jest stanowiskiem wykwalifikowanych robotników. Może pani dostać, ile pani tylko zechce dziewcząt do klasy Cezara, lub też do początkujących klas, ale prócz nas nie znajdzie pani tu nikogo, kto by czytał Wergilego. Jest to zupełnie ta sama historia, co z praczkami. Nie jesteśmy zwykłymi robotnicami od gotowania bielizny i krochmalenia, jesteśmy zawodowymi prasowaczkami bielizny luksusowej. Jeśli pani chce mieć klasę Wergilego, musi pani mieć nas. Nie może pani zmuszać nas do pracy. Ale my nie mamy bynajmniej zamiaru wykorzystywać sytuacji, co byłoby możliwe dzięki naszej przeważającej sile. Mamy jak najlepszą wolę uczciwie wykonać pracę dzienną. Jednakże nie mamy bynajmniej zamiaru pozwalać się — no, jakże to —

Przez chwilę Inka sama ze sobą walczyła o odpowiednie słowo, aż wreszcie zdobyła je i rzucała triumfalnie:

— Nie możemy pozwolić na to, aby nas eksploatowano. Wzięta z osobna każda z nas pani nie sprosta, jednakże zjednoczone możemy dyk-

tować pani swoje warunki. Dlatego, że dwie lub trzy z nas mogą zrobić postępy, jakich pani od nas wymaga, to jeszcze nie racja, byśmy mogły pozwalać na to, ażeby reszta była przepracowana. Obowiązkiem naszym jest stawiać czoło pracodawcom, ograniczającym nas w naszych prawach. My, kobiety, nie doszłyśmy jeszcze do tego, do czego doszli mężczyźni. Od solidarności robotnic zależy życie Reni. Jeżeli pani odrzuci nasze żądania, klasa Wergilego będzie zmuszona chwycić się strajku.

Inka wygłosiła swe ultimatum i założywszy ręce na piersiach, oparła się o poręcz ławki.

Nastąpiła chwila ciszy. A potem zaczęła mówić Miss Lord. Klasa ugięła się w beznadziejnym, okropnym strachu przed burzą. Lodo-waty sarkazm Miss Lord w chwilach gniewu świecił błyskami ognia. Nie napróżno miała w sobie irlandzką krew i czerwone włosy. Jedyna Inka słuchała z podniesioną głową i stalowemi oczami. Czerwona krew męczeńska zabarwiła jej policzki. Walczyła o Sprawę. Słaba, bezsilna mała Renia, becząca obok niej, powinna być uratowana — tchórzostwo koleżanek napiętnowane. Ona, sama jedna, postanowiła walczyć i wygrać. Nareszcie Miss Lord zabrakło już tchu.

— Klasa zostaje rozpuszczona. Inka zostanie w klasie, dopóki nie przetłumaczy bez błędu ostatnich dwudziestu wierszy. Wypytam ją po obiedzie.

Dziewczęta wstały i zbitą gromadką wysypały się do hallu, podczas gdy Inka zawróciła do pustej klasy. W progu stanęła i rzuciła przez ramię jedno jedyne pogardliwe słowo:

— Tchórze!

Gong, wzywający na obiad, zadzwonił i Inka, siedząca w swej ławce w pustej sali szkolnej, słyszała, jak dziewczęta, śmiejąc się i rozmawiając, zbiegają nadół do jadalni po schodach obitych blachą. Była bardzo zmęczona i bardzo głodna. Od śniadania miała pięć godzin lekcyj z jedną szklanką mleka o jedenastej godzinie. Nawet schlebiające uczucie, że jest prześladowana, niezupełnie uwalniało od męczarni głodu. Obojętnie zaczęła się uczyć lekcji historii Francji na jutro. Było tam drugie męczeństwo. Ludwik IX. złożył swe kości na równinach pod Antjochją. Sprawa była wprawdzie trochę inna, ale zasada ta sama. Jeśli nie dadzą jej jeść póki się nie nauczy tych łacińskich wierszy — bardzo dobrze — pozostawi swe kości, bielejące w sali szkolnej Zakładu św. Urszuli.

Uporczywe pukanie odezwało się w oknie. Inka spojrzała z pod oka i zobaczyła Osaki'ego, japońskiego kuchcika, wychyłego daleko z okna swej spiżarni i wyciągającego ku niej półmisek z tłustą nogą indyczą.

— Niech panienska zostawi półmisek w koszu na papier — szepnął zachrypłym głosem.

Inka walczyła przez chwilę z poczuciem godności i męczeństwa, ale głód i zamięrowanie do spisków wzięły górę. Podeszła na palcach do okna i przyjęła ofiarowany posiłek. Nie było noża ani widelca, ale w wypadkach prawdziwego głodu prymitywne metody wystarczają.

Zjadła indyka i ukryła półmisek pod stosem papierów, zapisanych zadaniami algebraicznymi, a ponieważ do Osaki'ego należało wyrzucanie śmieci z koszów, była pewna, że półmisek trafi na odpowiednią półkę.

W chwilę później pod drzwiami rozległy się szybkie kroki i mała wstępniaczka pędem przybiegła do Inki. Konspiracyjnie rzuciwszy przez ramię okiem w stronę drzwi wyciągnęła z swej marynarskiej bluzki dwa rogalki z masłem.

— Bierz prędko! — mówiła zadyszana. — Muszę uciekać, bo inaczej powstanie jakieś podejrzenie. Wysłałam pod pozorem, że idę po chu-

steczkę do nosa. Nic się nie bój. Nie damy ci umrzeć z głodu. To wspaniale!

Rzuciła Ince rogalki na kolana i zniknęła.

Świadomość, iż szkoła stoi po jej stronie, dała Ince ducha. Ponęty męczeństwa stają się silniejsze z świadomością, że mamy widzów swej męki. Prócz tego rogalki były wcale pożądanym dodatkiem do indyka. Jej pięciogodzinny głód nie był jeszcze nasycony. Zjadła jeden rogalek i właśnie rozpoczynała drugi, gdy rozległy się za nią skradające kroki i jedna ze służących wsunęła jej przez ramię papierowe zawiniątko.

— Tu jest kawałek świeżego piernika, Miss Inko. Kucharka mówi —

Tu usłyszawszy trzask zamykanych drzwi drgnęła i uciekła nakształt spłoszonego złodzieja.

Inka włożyła swój drugi rogalek do kosza i właśnie chciała napocząć piernik, gdy naraz z okna dał się słyszeć jakiś szelest. Granatowy kapelusz na mgnienie oka wysunął się nad parapet, właścicielka jego wychyliła się zdołu i czyjaś niepoznana ręka wrzuciła przez okno pomarańczę, która potoczyła się po podłodze. Inka pospiesznie powstrzymała jej bieg i wrzuciła ją też do kosza na papiery. Obiad musiał się lada chwila skończyć, skutkiem czego zagrażała wi-

zyta Miss Lord. Ten dopływ środków żywności stawał się ambarasujący.

Inka usłyszała przybierający strumień rozmów, kiedy dziewczęta wysypały się z jadalni. Wiedziała, że współczujące z nią gromadki obserwują ją przez otwarte drzwi. Sądząc po nieustającym odgłosie kroków, wszystkie uczennice Zakładu św. Urszuli miały jakiś interes, który je prowadził koło drzwi tej sali. Inka ani nawet okiem nie rzuciła za siebie, lecz patrzyła nieruchomo w przestrzeń. Nagle odezwał się szmer nad jej głową. Podniosła zdziwione oczy ku wentylowi, zrobionemu w suficie i ujrzała w nim przestraszoną twarz Army Mc Collough, patrzącą przez otwór nadół.

— Całe dnie możesz żyć samemi czekoladkami — odezwał się szept zgóry. — Bardzo mi przykro, że tu jest tylko pół funta. Resztę zjadłam wczoraj w nocy.

Przez podniesioną klapę szybko opuszczało się nadół pudełko na sznurku. Irma była wodzem tchórzów.

— Dziękuję ci, Irmo! — odpowiedziała Inka, wyniosłym scenicznym szeptem. — Nie myślę przyjmować cokolwiek od —

W hallu dał się słyszeć głos Miss Lord.

— Zdaje mi się, panienki, że czas popołudniowej rekreacji powinno się spędzać na powietrzu?

Inka miała jeszcze tyle czasu, że mogła złapać pudełko i położywszy je na kolanach, przykryć otwartą książką. Gdy Miss Lord weszła do sali, twarz Inki miała wyraz cierpiącego stoicyzmu, gdy tak patrzyła przed siebie z głęboką wiarą, iż Irma będzie miała dość rozumu, aby wciągnąć na górę dwa metry dyndającego sznura. Za Miss Lord szedł Osaki z tacą, na której leżały dwie kromki chleba obok szklanki wody.

— Skończyłaś tłumaczenie wierszy, Inko?

— Nie, Miss Lord.

— Dlaczego?

— W godzinach popołudniowych uczę się stale lekcji na dzień następny.

Ton Inki był pełen szacunku, ale znaczenie jej słów było jasne. Słowa „na dzień następny“ wymówiła z pewnym naciskiem.

— Zrobisz mi tych dwadzieścia wierszy natychmiast.

Wymowne milczenie Inki.

— Słyszysz?

— Tak, Miss Lord.

— Dobrze?

Monosylaba była tak ostra, że mogła zaciąć.

— Obstaję przy swych zasadach — odpowiedziała Inka. — Nie jestem tchórzem.

— Będiesz tu siedziała, dopóki nie skończysz tych dwudziestu wierszy.

— Bardzo dobrze, Miss Lord.

— Nie chcę, abyś cierpiała głód. Oto chleb i woda.

Ruchem ręki wskazała Osaki'emu, aby postawił tacę.

Inka odsunęła ją.

— Nie jestem więźniem! — rzekła z godnością. — Odmawiam wszelkiego jedzenia, póki mi go nie podadzą, jak należy, na stole w jadalni.

Ledwo dostrzegalny uśmiech ożywił na chwilę orientalną, chłodną obojętność Osaki'ego. Miss Lord postawiła tacę na sąsiedniej ławce i wyszła z kuchcikiem.

Przez cały czas rekreacji i nauki popołudniowej Inka siedziała w swej ławce, z tacą wyraźnie nietkniętego chleba pod ręką. Wreszcie o piątej popołudniu zadzwonił dzwonek, dziewczęta wybiegły z klas i rozbiegły się na wszystkie strony, spiesząc do różnych swych zajęć. Godzina między nauką popołudniową, a dzwon-

kiem na przebieranie się do kolacji była jedyną godziną w dniu, należąca zupełnie do nich. Inka mogła słyszeć, jak biegały po tylnych schodach i goniły się w korytarzach. Kid Mc Coy toczyła walkę na poduszki w Rajskiej Alei tuż nad jej głową. Gromadki dziewcząt przechodziły koło okna sali z wesołemi okrzykami i śmiechem. Osiodłano i wyprowadzono ze stajni Paprykę i Tobaska, dwa konie wierzchowe. Inka widziała dziewczęta, okrążające galopem owalny plac rekreacyjny, podczas gdy Marcin, nauczyciel jazdy konnej, wymachiwał biczem i popędzał je. Marcin był teraz pogięty i połamany przez reumatyzm, ale w swej dawno zamierchłej i nieustraszonej młodości był „cowboyem“, a kiedy uczył dziewczęta jazdy konnej, tak mało liczył się z możliwością połamania kości, że nawet zuchwalsze i śmielsze nauczycielki nie mogły na to patrzeć bez strachu. Inka była jego ulubioną uczennicą; prosta jak świeczka siedziała na grzbiecie Papryki bez siodła nawet, tylko na derce. Tylko od czasu do czasu, kiedy Marcin był w dobrym humorze, zdarzało się, że konie siodłano wyłącznie tylko dla zabawy publiczności. Inkę bolało serce na widok Zuzi i Ludki, dwóch najdroższych przyjaciółek, bawiących się

w najlepsze bez względu na to, że towarzyszka ich siedzi smutna w karcerze.

Robił się zmierzch. Nikt nie przychodził zapalić światła i Inka siedziała znużona w zapadających ciemnościach, z głową opartą na rękach. Wreszcie usłyszała w hallu kroki i do sali weszła Miss Sallie; wszedłszy, zamknęła drzwi za sobą. Inka zebrała się w sobie. Aby sprostać „Dragonce“, trzeba się było ostro trzymać.

Miss Sallie mówiła z Miss Lord i było skłonna myśleć, że Inka zasłużyła na wielką, surową karę; zwyczajem jej jednak było wysłuchać obie strony. Przystawiła sobie do ławki Inki krzesło i zaczęła wprost:

— Słuchaj, Inko, co znaczy ta cała głupia historja?

Inka z wyrzutem podniosła na nią oczy.

— Głupia historja, Miss Sallie?

— Tak, głupia! Miss Lord mówi, że odmówiłaś wyuczenia się zadanej lekcji i zbuntowałaś dziewczęta. Jesteś jedną z najzdolniejszych uczennic w klasie i twoja odmowa skończenia lekcji nie jest niczem innym, jak tylko uporem. Gdyby to była Renia Patton, no, to mogłoby mieć jeszcze jakiś sens.

— Zdaje mi się, że pani nie rozumie — rzekła Inka uprzejmie.

— Wyszłoby ci niewątpliwie na dobre, gdybyś mi wytłumaczyła — poddała jej Miss Sallie.

— Nie mogę wyrzec się swych zasad.

— Rozumie się! — wykrzyknęła serdecznie Miss Sallie. — Ale jakież są te twoje zasady?

— Obstawać przy sześćdziesięciu wierszach Wergilego. Bynajmniej nie dlatego, abym ja musiała lub *potrzebowała* strajkować, Miss Sallie. Byłoby znacznie łatwiej dla mnie zrobić tych osiemdziesiąt wierszy, ale to byłoby nieładnie ze względu na Renię. O dniu pracy nie powinny stanowić siły i zdolności najmocniejszego. Miss Lord będzie wciąż prześladować Renię, jeśli my jej nie pomożemy. Od solidarności robotników zależy indywidualny dobrobyt robotnika. Jest to walka uciśnionego z ograniczeniami, jakie chce mu narzucić — e—e—e— zorganizowana zwierzchność.

— Hm! Patrzcie! Zaczynam naprawdę wierzyć, żeś ty uważnie słuchała tego odczytu.

— Tak jest! Słuchałam — potwierdziła Inka skinieniem głowy. — I muszę powiedzieć, że się strasznie na Miss Lord zawiodłam. Ona *kazała* nam stosować naszą znajomość socjologii do za-

gadnień dnia, a kiedy to czynimy, cofa się. W każdym razie zamierzamy strajkować w dalszym ciągu, dopóki nie okaże gotowości uczynić zadość naszym słusznym żądaniom. Ja nie działam z egoistycznych pobudek osobistych, Miss Sallie. Proszę mi wierzyć, że z pewnością wolałabym zjeść coś i pojeździć konno. Walczę za sprawę swych cierpiących sióstr.

Sufit aż się zatrzęsł od skoków jej czterech cierpiących sióstr, które przeskakiwały sobie przez głowy, a ściany rozbrzmiewały ich okrzykami i śmiechem.

Wargi Miss Sallie drgnęły, ale opanowała się i zaczęła mówić z uroczystą powagą:

— Bardzo dobrze, Inko! Miło mi słyszeć, że to bezprzykładne zachowanie się spowodowane jest motywami miłości bliźniego. Jestem pewna, że Miss Lord, zrozumiałwszy w zupełności, o co właściwie chodzi, będzie bardzo uradowana. Przypuśćmy zatem, że ja podejmę się pośrednictwa i wyluszcze jej całą tę rzecz? Mogłybyśmy dojść . . . hm . . . mogłybyśmy może dojść do jakiegoś kompromisu.

Pół godziny po obiedzie było zwykle poświęcone tańcom w wielkim, kwadratowym hallu, ale tego wieczoru dziewczęta wolały zbierać się w

gromadki i rozmawiać szeptem, śląc ukradkowe spojrzenia w stronę sali szkolnej. Odbywała się w niej konferencja. Wdowa, Miss Lord i Miss Sallie zamknęły się w niej wraz z Inką. Kid Mc Coy wróciwszy z Rajskiej Alei, gdzie podsluchiwała, leżąc wyciągnięta jak długa na podłodze, z twarzą na wentylu, opowiadała, że Inka zemdląła z głodu, że Wdowa doprowadziła ją dopiero do przytomności zapomocą wódki i że jak tylko przyszła do siebie, wzniosła okrzyk na cześć Związku. W opowiadaniu Kid Mc Coy niewątpliwie pewną rolę odgrywała wyobraźnia. Opinia szkoły była, co się tyczy zachowania Inki, podzielona. Tchórze starały się lekceważyć i wyśmiewać jej bohaterski postępek, ale Ludka i Zuzia gorzały entuzjazmem.

Wreszcie drzwi klasy otwarły się i gdy „gromno“ wyszło i zamknęło się w kancelarji Wdowy, tańce rozpoczęły się z nowym zapalem. Dziś nikt za żadną cenę nie chciałby być złapany przez Miss Lord na jakichś szeptach w kącie.

Inka wyszła sama. Twarz miała bladą, obwódki ze zmęczenia dokoła oczu, ale w samych oczach blask zwycięstwa.

— Inko!

— Żyjesz jeszcze?

— Jak się to skończyło?

— To było wspaniałe!

— Była zła?

— Co mówiła?

— Poddaliśmy sprawę pod arbitraż i rozstrzygnęliśmy ją na podstawie kompromisu — odpowiedziała Inka z pełnym godności spokojem. — Od dziś będziemy miały zadane tylko siedemdziesiąt wierszy dziennie. Ogłasza się strajk Wergilego za skończony.

Skupiły się dokoła niej w zbitą gromadkę, ciekawie szczegółów, i odprowadziły ją tak aż do drzwi jadalni. Biła od niej pewna wzniosłość; Inka miała minę kogoś, kto sam wzbił się na wyżyny. Nie była jeszcze usposobiona do poufania się z przeciętnymi zjadaczami chleba.

Szkoła zasiadła do wypracowań wieczornych, a Inka do obiadu. Dziewczęta widziały ją po drugiej stronie podwórza przez otwarte okno, jak siedziała uroczyście na pierwszym miejscu przy długim stole. Osaki z jednej strony podawał jej poziomki, a z drugiej strony Małgosia lukrowane ciasteczka. Nagroda za męczeństwo w wypadku Inki, była, co się nazywa, namacalna.

ROZDZIAŁ CZWARTY

TRZECI PAN OD KOŃCA.

— O, Inko! Przywiozłaś nam trochę placka weselnego?

— Miałaś jakie przygody?

Ludka i Zuzia zręcznie i z wprawą wskoczyły na stopień karawanu, wjeżdżającego w bramę podwórza szkolnego, aby, zatoczywszy koło, stanąć przed bramą Zakładu. „Karawan“ był popularną nazwą omnibusu, którym wożono pensjonarki do kościoła i na stację. Mógł pomieścić dwadzieścia osób. Inka i jej walizka, jedyne w obszernem wnętrzu omnibusu, latały w nim, jak dwa małe ziarenka groszku w bardzo wielkim strączku.

— Przygody! — zawołała w podnieceniu. — *Poczekajcie, aż wam opowiem!*

Kiedy karawan stanął, trzy przyjaciółki zostały natychmiast otoczone przez tłum dziewcząt w granatowych mundurkach. Był to czas rekreacji popołudniowej i cała pensja była na powietrzu. Powitanie, jakie Ince zgotowano,

kazałoby bezstronnemu, nie poinformowanemu świadkowi myśleć, że panienka wyjeżdżała nie na trzy dni, jak w istocie było, lecz na trzy miesiące. Wysiadła wraz ze swemi poczytljonkami, zaś Marcin zebrał lejce.

— No, siadajcie, panienki! Wszystkie, które chcą się przejechać do stajni! — zabrzmiało jego uprzejme zaproszenie.

Natychmiast karawan zalany został przez pasażerów. Dziewczęta tłoczyły się wewnątrz — dwa razy więcej, niż karawan mógł pomieścić — roilo się od nich na koźle i na stopniach, a dwie, umiejące jeździć konno, znalazły się na grzbietach końskich.

— Cóż to za przygoda? — jednym tchem pytała Ludka z Zuzią, gdy kawalkada się oddaliła.

Inka skinęła ręką w stronę walizy z sukniami.

— Oto ona. Zanieście ją na górę. Przyjdę do was, jak tylko zgłoszę swój przyjazd.

— Ależ to nie twoja walizka.

Inka potrząsnęła głową tajemniczo.

— I gdybyście tysiąc lat zgadywały, nie zgadłybyście do kogo ona należy.

— Do kogo?

— Wygląda na męską — rzekła Ludka.

Inka roześmiała się.

— Bo też to męska walizka.

— O, Inko! Nie bądź-że taka niemożliwa! Skąd ją masz?

— Taki sobie mały „souvenir“, który znalazłam po drodze. Opowiem wam zaraz, jak tylko zobaczę się z Wdową. Spieszcie się i zmykajcie, dopóki Jellunia w tę stronę nie patrzy.

Ukradkiem spojrzały przez ramię w stronę nauczycielki gimnastyki, która zachęcała ociężałą Irmę Mc Collough do szybszych ruchów na placu tenisowym. Miss Jellings uporczywie przestrzegała, aby czas „rekreacyj“ spędzano w ruchu na świeżem powietrzu. Przyjaciółki Inki bez trudu otrzymałyby pozwolenie na odprowadzenie jej do jej pokoju, ale do polityki trójki należało, nigdy nie pytać o pozwolenie w sprawach mniejszej wagi. To psuło tylko niepotrzebnie kredyt.

Zuzia i Ludka poniosły we dwie walizkę na górę, podczas gdy Inka skierowała się w stronę kancelarji przełożonej. W dziesięć minut później połączyła się ze swemi przyjaciółkami w Rajskiej Alei. Siedziały na łóżku z brodami opartymi na rękach i przyglądały się walizce, leżącej przed niemi na krześle.

— No? — zapytały znowu.

— Powiedziała, że miło jej widzieć mnie znowu i że przypuszcza, że się nie objadłam zanadto plackiem weselnym.

— Czyja jest ta walizka?

— Mężczyzny z czarnymi brwiami i z dołeczkiem w brodzie, tego samego, który śpiewał tę śmieszłą piosenkę — trzeci od końca, od prawej ręki.

— Jermyn Hilliard młodszy? — zapytała Zuzia prawie bez tchu.

— Nie może być! — Ludka z przesadnym westchnieniem położyła rękę na sercu.

— Słowo daję!

Inka odwróciła walizkę i wskazała znajdujące się na niej inicjały „J. H. Jr.“

— Istotnie — *jego!* — wykrzyknęła Zuzia.

— Na miłość boską, gdzieś ją znalazła, Inko?

— Czy zamknięta?

— Tak — skinęła Inka potwierdzająco głową.

— Ale mój klucz ją otwiera.

— Co w niej jest?

— O, frak, kołnierzyki i różne rzeczy.

— Skąd ją masz?

— Ba! — rzekła Inka, jakby ociągając się.

— To długa historia. Nie wiem, czy będzie dość czasu przed nauką —

— Proszę cię, powiedz nam! Jesteś wprost nieznośna!

— No, więc dobrze! Ostatniego czwartku był popis klubu śpiewaczego —

Kiwnęły niecierpliwie głowami na znak, że ta informacja jest zbyteczna.

— A ja wyjeżdżałam w piątek rano. Kiedy słuchałam nauk, jakie mi Wdowa dawała na drogę co do zachowania się i abym podtrzymywała honor Zakładu pięknymi manierami, Marcin przysłał wiadomość, że Księżniczka okulała i nie może chodzić w zaprzęgu. Wobec tego zamiast pojechać na stację karawanem, pojechałam z Mademoiselle kolejką. Kiedyśmy wsiadły, wszystko było *nabite*, tak pełno było mężczyzn. Cały Yale Klub Śpiewaczy jechał na stację. Było ich tylu, że siedzieli sobie na kolanach. Cały przedział wstał i rzekł bardzo poważnie i grzecznie: — proszę pani, proszę usiąść na mojem miejscu.

Mam'selle wzięła to za kpiny i była oburzona. Powiedziała po francusku, co zresztą wszyscy zrozumieli, że wyobrażała sobie, iż amerykańscy studenci mają lepsze maniery; ale ja śmiałam się troszkę — nie mogłam wytrzymać, tacy byli śmieszni, a potem dwóch z nich, siedzących da-

lej, ustąpiło nam miejsca i myśmy usiadły. Doprawdy nie uwierzyłybyście, ale trzeci pan od końca siedział tuż przy mnie.

— Czy być może?

— O, Inko!

— Czy zbliska wygląda tak dobrze, jak na scenie?

— Lepiej.

— A czy te jego brwi są prawdziwe, czy też były uczernione?

— Wyglądały na zupełnie prawdziwe, ale nie mogłam się im zbliska przyjrzeć.

— Ależ z pewnością były prawdziwe! — wykrzyknęła Ludka z oburzeniem.

— I pomyślcie tylko! — rzekła Inka — jechali tym samym pociągiem co ja. Czyście słyssały kiedy o podobnym zbiegu okoliczności?

— Co Mam'selle na to powiedziała?

— Mam'selle była podrażniona jak stara kura z pisklęciem. Poleciała mnie opiece konduktora z tyłu rozmaitemi uwagami, że musiał mieć wrażenie, jak gdyby był nowo najętą do dziecka piastunką. Członkowie klubu przeszli tymczasem do wagonu dla palących, wyjąwszy Jermyna Hilliarda, który udał się za mną do salonki i usiadł w fotelu wprost naprzeciw mnie.

— Inko! — wykrzyknęły obie przyjaciółki z oburzeniem. — Chyba nie rozmawiałaś z nim!

— Oczywiście, że nie. Patrzyłam przez okno i udawałam, że go nie widzę.

— O! — mruknęła Ludka z pewnym zawodem.

— A co się potem stało? — zapytała Zuzia.

— Wogóle nic. Wsiadłam w Coomsdale, gdzie już czekał na mnie wuj Tom z autem. Szofer odebrał mą walizkę od tragarza i umieścił w aucie, tak, że jej wogóle nie widziałam. Przyjechaliśmy prawie na podwieczorek, ja poszłam na herbatę, nie zachodząc do swego pokoju. Moją walizkę z rzeczami zaniesiono na górę, a potem przyszła służąca i poprosiła o klucz, aby mi rozpakować rzeczy. Ten dom roi się wprost od służby i ja zawsze jestem tam w okropnym strachu, abym nie zrobiła czegoś, o czym służba mogłaby źle pomyśleć.

Wszystkie drużki i drużbowie byli zebrani, i wszyscy byli bardzo weseli, tylko ja niezawsze wiedziałam, o czym mówili, ponieważ oni wszyscy byli ze sobą życzliwi i mieli swoje własne dowcipy, których ja nie mogłam zrozumieć.

Ludka pokiwała głową na znak, że to rozumie.

— To samo zauważyłam w lecie nad morzem. Wogóle, mojem zdaniem, dorośli mają straszne maniery.

— Ja zauważyłam to odnośnie do młodego człowieka — opowiadała Inka. — Pewien pan przyniósł mi herbatę i zaczął mnie wypytywać, czego ja się uczę w szkole. Starał się uczynić zadość prośbie Luizy i zabawiać młode kuzynki, ale cały czas myślał, że rozmawiać z taką panienką z włosami zaplecionymi w warkocze, to strasznie nudna rzecz.

— Mówiłam ci, żebyś je związała w węzeł — rzekła Zuzia.

— Zaczekajcie tylko! — mówiła Inka tajemniczo. — Kiedy szłam na górę, aby się przebrać do obiadu, służąca złapała mnie w hallu, z oczami wyłazającymi z głowy.

— Przepraszam, Miss Inko — mówi. — Czy to pani walizka?

— Moja! — odpowiadam. — Rozumie się, że moja. A co się stało?

Służąca wyciągnęła rękę w stronę stołu — a było to już w moim pokoju — nie mówiąc ani słowa. Waliza leżała na stole, otwarta!

Inka wyjęła klucz z kieszeni, otworzyła walizkę i podniosła wieko. Na wierzchu leżał sta-

rannie ułożony frak, na nim fajka, paczka papierosów i kilka kołnierzyków, różne drobiazgi, należące do męskiej toalety, wypełniały przedziały.

— Oh! — jęknęły dziewczęta przerażone.

— To jego rzeczy! — mruknęła Ludka z przejęciem.

Inka potwierdziła skinieniem głowy.

— Kiedy pokazałam walizę wujowi Tomowi, omal nie umarł ze śmiechu. Natychmiast zatelefonował na stację, ale tam nic o tem nie wiadano, ani ja też nie wiedziałam, dokąd klub śpiewaczy pojechał na występ, wobec czego nie mogliśmy telegrafować do pana Hilliarda. Wuj Tom mieszka w odległości pięciu mil od miasta i poprostu nic nie mogliśmy tego wieczoru zrobić.

— Ale wyobraźcie sobie, co on pomyślał, kiedy chciał się ubrać do występu i znalazł zamiast fraka nową różową suknię wieczorową Inki — rzekła Zuzia.

— O, Inko! Czy myślisz, że on walizkę otworzył?! — zapytała Ludka.

— Obawiam, się, że tak. Walizki są bliźniaczo do siebie podobne, a klucze nadają się prawdopodobnie do obu.

— Mam nadzieję, że w twojej walizce wszystko było w porządku?

— O, naturalnie, jak najpiękniej. Wszystko było przewiązane różowemi wstążeczkami. Jak mam jechać do wuja Toma, układam rzeczy zawsze bardzo starannie ze względu na służące.

— Ale cóż było z obiadem i ślubem? Cóżś ty poczęła bez sukni? — pytała Zuzia, wspominając nie bez żalu liczne, a w ostatecznym rezultacie daremne wyprawy do krawcowej.

— To udało się najlepiej! — odpowiedziała Inka. — Miss Lord poprostu nie chciała mi pozwolić, by mi krawcowa uszyła prawdziwie reprezentacyjną suknię wieczorową. Sama ze mną zawsze chodziła i mówiła Miss Pringle, jak ma tę suknię uszyć — zupełnie jak zwykle moje sukienki do tańca, dziewięć cali od podłogi, z rękawami po łokcie i ze zwarjowaną szarfą. Nie nawidzę tego!

— Nie zapominaj, że jesteś pensjonarką — odezwała się Ludka — a dopóki —

— Czekajże, póki ci nie opowiem! — mówiła Inka z triumfującą miną. — Luiza przyniosła mi jeden ze swoich strojów — jedną z najpiękniejszych sukni balowych, których nie mogła

już nosić, ponieważ w wyprawie dostała wszystkie suknie nowe. Ta suknia była z białej krepy, haftowanej w złote gwiazdki i miała tren. Z przodu była też długa. Musiałam chodzić, nie podnosząc nóg. Służąca mnie ubrała, uczesała i przewiązała mi włosy złotą przepaską, a ciotka Emma pożyczyła mi naszyjnik z pereł i parę długich rękawiczek, tak, że wyglądałam poprostu wspólnie — jak Boga kocham! — nie byłybyście mnie poznały. Wyglądałam *co najmniej* na dwadzieścia lat.

Pan, który mnie prowadził do stołu, ani nawet nie przypuszczał, żebym ja mogła być jeszcze podlotkiem. I wiecie co? Próbował nawet ze mną flirtować, naprawdę. A już był strasznie stary. Musiał mieć co najmniej czterdzieści lat. Miałam wrażenie, jak gdybym flirtowała z własnym dziadkiem. Wiecie co? — dodała Inka — to wcale przyjemnie być dorosłą! Można się naprawdę do pewnego stopnia rozerwać — zwłaszcza, jeśli się jest ładną.

Sześć oczu przez chwilę w zamyśleniu i jakby pytająco patrzyło w lustro, aż wreszcie Inka zaczęła znów opowiadać.

— A wuj Tom kazał mi przy obiedzie opowiedzieć o wypadku z walizką. Wszyscy się

śmiali. Była to istotnie zabawna historja. Opowiedziałam, jak cała szkoła poszła na wieczór klubu śpiewaczego i zakochała się „in corpore“ w trzecim panu od końca, i jak wszystkie wycięłyśmy jego podobiznę z programu i nosiłyśmy ją w zegarkach. A potem o tem, jak siedziałam naprzeciw niego w pociągu i o zamianie walizek. Pan Harper — mój sąsiad przy stole — powiedział, że to była najbardziej romantyczna historja, jaką kiedykolwiek w życiu udało mu się słyszeć; że w porównaniu z tem małżeństwo Luizy było niczem.

— Ale cóż było z walizą? — przypomniały jej. — Czy w tej sprawie nie zrobiliście już nic więcej?

— Wuj Tom telefonował znowu na drugi dzień rano, i naczelnik stacji powiedział mu, że złapał telegraficznie klub, który zabrał walizkę lady. Klub miał za dwa dni przejeżdżać przez tę samą stację zpowrotem i ja miałam walizkę z bagażem tego pana zostawić na stacji, gdzie on znów miał zostawić moją.

— Ale ty walizki nie zostawiłaś!

— Bo przyjechałam inną linją. Muszę ją odesłać do miasta.

— A cóżeś miała na sobie w dzień ślubu?

— Suknię Luizy. To nic a nic nie szkodziło, że nie byłam ubrana tak samo, jak inne družki, bo ja byłam starszą družką i mogłam się ubrać, jak chciałam. Przez te trzy dni byłam dorosłą damą — i bardzobym chciała, żeby Miss Lord widziała mnie, jak z wysoko uczesaną fryzurą rozmawiam z panami.

— Powiedziałaś o tem wszystkiem Wdowie?

— Naturalnie, opowiedziałam, ale tylko o zamianie walizek; ani słówka nie pisnęłam o tem, że to była własność trzeciego pana od końca.

— Cóż ona powiedziała?

— Powiedziała, że to było bardzo lekko-myślnie i nieuważnie z mej strony uciekać z walizką obcego człowieka; że ona spodziewa się, że on okaże się gentlemanem i nie weźmie mi tego za złe. Zatelefonowała na stację i powiedziała, że walizka jest tu, ale że nie może z nią wysłać dziś popołudniu Marcina, ponieważ on musi jechać na folwark po jaja.

Czas rekreacji minął i dziewczęta zaczęły wracać gromadkami, aby przygotować książki i ołówki potrzebne na lekcje. Każda uczenica, przechodząc koło Siódemki, wpadała do niej, aby się dowiedzieć, co nowego. Każda otrzymywała

wzamian historję zamienionej walizki i każda słupiała na widok jej zawartości.

— Czy nie czuć tego tytoniem i wodą na włosy? — pytała Renia Patton, wachając walizkę z zachwytem.

— O, tu guzik odlatuje! — wykrzyknęła Flora Hissop, urodzona żona. — Inko, gdzie czarny jedwab?

Nawlokła nitką igłę i przyszyła guzik. Potem śmiało sięgnęła po frak i przymierzyła go. Za jej przykładem poszło jeszcze osiem dziewcząt. Ubranie zrobione było na miarę osoby znacznie tęższej, niż którakolwiek z dziewcząt. Nawet Irma Mc Collough uznała frak za workowaty.

— On jest strasznie szeroki w ramionach — rzekła Renia, gładząc jedwabną podszewkę.

Nieśmiało zaczęły przeglądać inne części ubrania.

— O! — pisnęła Mira Mertelle. — On nosi niebieskie, jedwabne szelki.

— I jeszcze coś niebieskiego! — ćwierkała Edna Hartwell, zaglądając jej przez ramię. — To pyjama!

— I pomyśleć, że taka historja musiała się przytrafić właśnie Ince! — westchnęła Mira Mertelle.

— Czemu nie? — parsknęła Inka.

— Jesteś taka młoda i taka ... e ... e ...

— Młoda! Zaczekaj, aż mnie zobaczysz z upiętymi włosami.

— Ciekawa jestem, jak się to skończy! — zapytała Renia.

— Jak to się skończy? — rzekła Mira szorstko. — Skończy się tak, że tragarz odniesie walizkę, a Jermyn Hilliard jun. nigdy się nie dowie —

W tej chwili w drzwiach ukazała się służąca.

— Proszę panienek — mówiła, rozbawionym wzrokiem przyglądając się Irmie, która wciąż jeszcze miała na sobie frak. — Pani Trent prosi, aby panna Inka Wyatt zeszła do salonu, a ja mam znieść nadół walizkę. Ten pan czeka.

— O, Inko! — rozległ się w pokoju pełen zachwyty szmer.

— Włosy w górę — prędko!

Zuzia złapała oba warkocze Inki i owinęła je dokoła jej głowy, podczas gdy reszta dziewcząt nagwałt, w pośpiechu i podnieceniu ułożyła rzeczy i zamknęła walizkę.

Szły za Inką tłumnie i przegięte przez balustradę zwisały z niej pod niebezpiecznym kątem, strzygąc uszami w kierunku salonu. Nie słyhać

stamtąd było nic, prócz odgłosów rozmowy, przerywanej czasem głębokim, basowym śmiechem. Kiedy usłyszały trzask zamykanych drzwi wchodowych, wiedzione jedną i tą samą myślą wtargnęły hurmem do pokoju Henrjetty Gladden, skąd widać było drogę prowadzącą do bramy, i rozpląszczyły swe noski na szybie. Ku bramie szedł krępy, tęgi mężczyzna z budowy przypominający Niemca. Patrzyły szeroko otwartemi, przerażonemi oczami, i bez słowa wróciły naprzeciw Inki, która szła na górę po schodach, dźwigając swą walizkę. Jeden rzut oka wystarczył jej, aby zrozumieć, że dziewczęta widziały wszystko, wobec czego przystanęła na schodach, oparła głowę o poręcz i wybuchnęła śmiechem.

— On się nazywa — mówiła krztusząc się od śmiechu — John Hochstetter jun. Jest kupcem kolonialnym na wielką skalę i właśnie jechał na zjazd kupców kolonialnych, gdzie miał wygłosić mowę o wyższości serów amerykańskich nad serami importowanemi. Wcale nie ucierpiał przez to, że nie miał ze sobą fraka, bo, jak mówi, nigdy się we fraku dobrze nie czuje. Na zjeździe wytłumaczył, dlaczego nie ma fraka i to jego przemówienie było najweselszą mową całego wieczoru. Ale otóż dzwonek!

Inka wstała i zwróciła się ku Rajskiej Alei, zatrzymawszy się jednak na chwilę, dodała:

— Ma ukochaną, małą córeczkę, prawie w moim wieku!

ROZDZIAŁ PIĄTY

MIODOWY MIESIĄC FLANNINGAN'ÓW.

Rodzina Murphy'ch, mająca dobre oko na to, co może przynieść korzyść, obrała św. Urszulę za swą patronkę. Rodzina — składająca się z pana Patryka Murphy, jedenastu małych Murphy'ch i „babci“ Flannigan — zajmowała dom, składający się z pięciu pokoi, niedaleko wrót Zakładu św. Urszuli. Utrzymywała się z zastępczego miłosierdzia sześćdziesięciu czterech dziewcząt i niestalej pracy Murphy'ego-ojca, który w swych trzeźwych chwilach był weale dzielnym kamieniarzem i murarzem.

On-to zbudował wielką bramę wjazdową i długi mur kamienny, okalający dziesięć akrów zakładowych. On założył fundamenty pod nowe skrzydło zachodnie — znane jako Rajska Aleja — i zbudował wszystkie kominki i place tenisowe w Zakładzie. Szkoła była pomnikiem jego długiej i mozolnej kariery.

Państwo Murphy, z niezwykle trafnem wyrachowaniem na przyszłość, ochrztili swe pierwsze

dziecko imieniem patronki szkoły. Urszula Murphy brzmiało nietylko ozdobnie, ale za samo noszenie tego imienia nagradzano *dziecko mnóstwem sukienek, znoszonych przez całe pokolenia wychowanek Zakładu św. Urszuli. Przez jakiś czas groziło nawet niebezpieczeństwo, że dziecko zostanie zasypane całą górą ubrań i sukienek, ale na szczęście rodzice wyszukali handlarza, który kupował ubrania z drugiej ręki i ten uwolnił ich od części brzemia.

Po Urszuli zaczęły przychodzić inne dzieci w regularnych odstępach i w szkole wszedł w zwyczaj legendarny przywilej obdarzania dzieci imionami i prezentami chrzestnymi. W pierwszych latach pani Murphy pod tym względem nie kierowała się bynajmniej wyłącznie względami na ewentualne korzyści. Umiała należycie ocenić artystyczną wartość imion, nadawanych przez dziewczęta. Cechowała je dystynkcja, do której ona, pozbawiona wykształcenia literackiego, nie była zdolna. Wybór imienia stał się sprawą ze względów wewnętrznej polityki tak skomplikowaną, jak elekcja prezydenta. Różne stronnictwa wysuwały różne imiona; w obiegu było pół tuzina kartek z imionami, a głosowaniu towarzyszyły gwałtowne mowy.

Było jednak pewne, poniekąd krępujące zastrzeżenie: Każde dziecko musiało mieć koniecznie imię jakiegoś świętego.*) Co do tego punktu rodzina Murphy miała zasady niezłomne. Mimo to, dzięki starannemu studjum imion z pierwszych czasów Chrześcijaństwa, dziewczętom udało się ułożyć listę świętych z niesłychanie pięknymi i efektownymi imionami.

Tak więc lista imion młodej generacji Murphy'ch brzmiała:

Urszula Marja, Geraldyna Sabina, Muriel Weronika i Lionel Ambroży (bliźnięta), Alicja Klotylda, Jan Drew Dominik, Delfina Oliwja, Patryk (ten urodził się w czasie wakacyj i długo cierpliwie znoszący różne wymysły proboszcz przeprowadził wreszcie, że chłopiec będzie nosił imię ojca), Sidnej Orlando Bonifacy, Ryszard Harding Gabryjel, Jolanta Genowefa. To na jakiś czas zamknęło listę, póki naraz pewnego wczesnego poranku grudniowego Patryk senj. nie pojawił się w kuchni z nowiną, iż przydałoby się jakieś nowe imię — dla chłopca.

*) W Anglii i Ameryce nie jest to wszędzie i zawsze przestrzegane, przeciwnie, imiona można brać skąd się chce, a nawet tworzyć. Może być np. imię „Stilness“ — Cisza, lub „Autho-
rity“ — Zwierzchność, jak się chce.

Szkoła natychmiast wybrała odpowiedni komitet. Wysunięto kandydaturę kilku imion i dyskusja stawiała się coraz gorętsza, gdy nagle Inka Wyatt zerwała się na równe nogi, proponując imię „Cuthbert St. John“. Radosny okrzyk powitał tę propozycję, która też została przyjęta jednogłośnie, mimo iż Mira Arsdale na znak protestu z oburzeniem wyszła z sali.

Cuthbert St. John został ochrzczony następnego niedzieli i otrzymał na chrzcie srebrną, pozłacaną łyżkę w zielonem, pluszowem puzderku.

Szkoła była tak ucieszona pomysłem Inki, iż z wdzięczności obrała ją przewodniczącą Karnawałowego Komitetu Świąt Bożego Narodzenia. Karnawał Świąt Bożego Narodzenia był zwyczajem o celach humanitarnych, datującym od czasu założenia szkoły. Wychowawczy system Zakładu św. Urszuli był bardzo szeroki; rozwijał szeroką skalę rozmaitych cnót kobiecych, wśród których na pierwszym miejscu stała cnota miłosierdzia, nie tego nowoczesnego naukowego, sfabrykowanego na zamówienie, lecz miłosierdzia dobrodusznego, staromodnego, tego, które w sercu człowieka, wyświadczonego dobrodziejstwo, pozostawia miłe ciepło szlachetności. Co roku w wigilję Bożego Narodzenia ubierano choinkę,

zastawiano wieczerzę i zapraszano na nią ubogą dziatwę z sąsiedztwa. Te dzieci wybierały i zapraszały same pensjonarki, które jeździły od domu do domu na furach lub saniami, jeśli był śnieg. Dziewczęta uważały ten dzień za najmiłą uroczystość w roku i nawet biedne dzieci, przewyciężywszy zakłopotanie pierwszej chwili, bawiły się doskonale.

W pierwotnym planie leżało, aby każda panienka miała swego protegowanego czy swą protegowaną, tak, żeby mogła daną rodzinę odwiedzać i utrzymywać stosunki z niższą klasą. Miała uczyć się w ten sposób poznawać specjalne potrzeby dziecka, któremby się opiekowała, aby mu dać coś, coby mu mogło być naprawdę, użyteczne, jak naprzykład pończochy lub flanelowe kaftaniki.

Na papierze plan ten przedstawiał się cudownie, ale w praktyce utrzymać się nie mógł. Zakład św. Urszuli znajdował się w okolicy bogatej, w okręgu należącym do bogatych próżniaków, tak że proletarjat, trzymający się ich fałdów, miał dużo sposobności do zarobków. Dawniej, kiedy szkoła była jeszcze mała, nie brakowało biednych dzieci, które można było odwiedzać, w miarę jednak, gdy Zakład św. Urszuli

wzrastał, biednych stawało się coraz mniej, aż wreszcie szkoła znalazła się wobec niemal zupełnego ich braku. Została im przynajmniej rodzina Murphy'ch, którzy też za to, jak rok długi, dziękowali Bogu.

Przyjąwszy godność przewodniczącej, Inka wyznaczyła podkomitety do załatwiania spraw aktualnych. Dla siebie, Ludki i Zuzi zachowała przywilej wybierania tych, którzy mieli korzystać z dobroci św. Urszuli. To pociągnęło za sobą kilka wesołych wycieczek popołudniowych poza granice Zakładu. Wycieczka poza obręb murów działa na mieszkańców więzienia tak ożywczo, jak podróż do Europy dla tych, którzy przebywają na wolności. Większą część tygodnia spędziły na wędrowkach po sąsiedztwie, poto tylko, aby stwierdzić ambarasujący fakt, iż było wszystkiego dziewięćcioro dzieci możliwych — oczywiście wyjąwszy rodzinę Murphy'ch — i że ani jednego z tych dziewięciorga dzieci nie można było z czystym sumieniem uważać za biedne. Pracowici i trzeźwi ich rodzice z łatwością mogli uczynić zadość ich umiarkowanym marzeniom, dotyczącym świąt Bożego Narodzenia.

— A tylko sześćcioro Murphy'ch jest w odpowiednim wieku! — mruzczała Ludka, kiedy wra-

cały do Zakładu o chłodnym zmierzchu wie-
trznego dnia po dwóch godzinach bezowocnej
włóczęgi.

— To czyni jedno dziecko mniej więcej na
pięć panienek — pokiwała Zuzia smutno głową.

— Och, cała ta humanitarna historia nudzi
mnie! — wybuchnęła Inka. — To tylko zabawa
dla dziewcząt, więcej nic. Sposób w jaki bujamy
tych zupełnie przyzwoitych ludzi, jest wprost
obrażający. Gdyby ktokolwiek śmiał ofiarować
mi pełną cukierków, czerwoną, muślinową poń-
czochę i powiedział mi, że to za to, że bylam
grzeczna, rzuciłabym mu ją w twarz.

W chwilach irytacji angielszczyzna Inki nie
była zbyt wytworna.

— Słuchaj, Inko! — mówiła Zuzia, głaszcząc
ją łagodnie po ramieniu. — Zatrzymamy się na
chwilę przed domem Murphy'ch i jeszcze raz po-
liczymy dzieci. Może być, żeśmy które prze-
oczyły.

— Bliźniaki mają zaledwie piętnaście lat —
rzekła Ludka, pocieszając Inkę. — Zdaje mi się,
że jeszcze mogą uchodzić za dzieci.

— A Ryszard Harding ma około czterech lat.
Dość, żeby już mógł cieszyć się choinką. Im

więcej Murphy'ch potrafimy zebrać, tem lepiej. Im się zawsze podoba wszystko, co im dajemy.

— O tem nie wątpię! — mruknęła Inka. — Same uczymy tę całą gromadę, jak należy zebrać! Doprawdy, szkoda używać wyrażen gwarowych, jeśli nie możemy zebranych z kar pieniędzy użyć na inny cel.

Fundusze na karnawał czerpano z grzywn, nakładanych za używanie wyrażen gwarowych. Św. Urszula żądała centa za każde wyrażenie gwarowe lub niegramatyczne użyte publicznie. Oczywiście, rygor ten znikał w czterech ścianach własnego pokoju lub na łonie ukochanej rodziny. Najbliżsi nie denuncjowali winowajców, chyba, że się z niemi poróżnili. Ale wasi znajomi, wrogowie i nauczyciele denuncjowali was, a nawet czasem w przychyliwie szalonej uczciwości denuncjowaliście się wy sami. Bądź co bądź, z gwary czerpało się fundusze. Tegoroczny komitet, otwarłszy puszkę, znalazł w niej trzydzieści siedem dolarów i osiemdziesiąt cztery centy.

Po lekkim oporze Inka pozwoliła się zaciągnąć do drzwi domu Murphy'ch. Nie była zbyt dobrze usposobiona, a wizyta u Murphy'ch wymagała ożywionej konwersacji. Zstały rodzinę zebraną w przepelnionej kuchni. Cały tuzin

dzieci gadał naraz coraz głośniej i głośniej, jako że każde dziecko napróżno starało się przekrzy-
 czać wszystkie inne. Stosownie do postępów,
 jakie robił piec, duszona kapusta napełniała izbę
 swą wonną parą. Skulona w kącie koło pieca
 siedziała stara babcia Flannigan, otoczona przez
 hałaśliwą, kręcącą się niespokojnie dziatwę, nie-
 wielkie poszanowanie okazującą dla siwych wło-
 sów. Dziewczęta zachwycały się nowonarodzo-
 nem dzieckiem, podczas gdy Jolanta i Ryszard
 Harding smarowali pieluszki brudnymi rącz-
 kami. Tymczasem pani Murphy rozpyływała się
 w zachwytach nad zaletami imienia „Cuthbert
 St. John“. Oświadczyła, że spodobało się jej
 niemniej od innych imion całej listy. Przyniesie
 z pewnością szczęście dziecku, ponieważ zawiera
 dwóch patronów. Bardzo uprzejmie dziękowała
 za to imię paniąkom.

Inka pozostawiła Ludce i Zuzi ostateczne za-
 łatwienie sprawy zaproszenia, a sama usiadła na
 drewnianej skrzynce przy krześle babci Flanni-
 gan. Matka pani Murphy była bardzo sympatyczną
 staruszką z ujmującym sposobem mówie-
 nia i manierami Irlandji z czasów przeszłej ge-
 neracji. Inka chętnie słuchała jej opowiadań
 z młodych lat, kiedy jako dziewczę służyła

w zamku Lorda Stirlinga w hrabstwie Clare, póki nie zjawił się młody Tomasz Flannigan, który zawlókł ją do Ameryki, aby mu tam pomogła robić majątek. Tomasz był teraz pochylonym ku ziemi, zreumatyzmowanym starcem, ale w jego śmiałych, błękitnych oczach i irlandzkim uśmiechu babcia widziała zawsze chłopca, który się swego czasu o nią ubiegał.

— Jak się ma pani mąż tej zimy? — zapytała Inka, wiedząc, że tem pytaniem może się najłatwiej dostać na najbliższą drogę, wiodącą do serca staruszki.

Babcia potrząsnęła głową z niewyraźnym uśmiechem.

— Od czterech dni nic o nim nie słyszałam. Tomasz nie mieszka już u nas.

— Musi wam być przykro w tym wieku żyć daleko od siebie! — rzekła Inka, w porywie współczucia nie zdając sobie sprawy z tego, jak bolesnej rany dotknęła.

Tu rozwarły się wrzeciądze gadatliwości staruszki.

— Jak Urszula i Geraldyna dorosły i chłopcy zaczęli się koło nich kręcić, trzeba było zamienić jeden pokój na salonik i ja z Tomaszem nie mogłam już zajmować jednego pokoju. Wobec

tego umieszczono mnie z czterema dziewczętami na poddaszu, a Tomasz pojechał do mego syna, Tomasza. Żona Tomasza powiedziała, że Tomasz może sypiać w kuchni za noszenie drzewa i wody, ale obojga nas wziąć do siebie nie może, ponieważ ma lokatorów.

Inka z zadartą głową siedziała przez chwilę w milczeniu, starając się wyciągnąć jakiś sens z tej mieszaniny Tomaszów.

— To naprawdę bardzo smutne! — próbowała pocieszyć kobiecinę, kładąc ze współczuciem rękę na kolanach staruszki.

Oczy babci Flannigan napęłniły się łzami starości, zawsze gotowej do płaczu.

— Nie skarżę się, bo taki już jest zwyczaj tego świata. Starzy ludzie muszą młodym schodzić z drogi i robić im miejsce. Ale to osamotnienie, a on jest daleko! Żyliśmy razem czterdzieści siedem lat i poznaliśmy się dokładnie.

— Ale pani syn nie mieszka bynajmniej tak daleko — pocieszała Inka, jak umiała. — Widuje pani Tomasza bardzo często.

— Właśnie, że nie. Mąż chory na reumatyzm, a mieszkając o półtora mili, jest jak umarły.

Wskazówka na zegarze wskazywała kwadrans na szóstą, wobec czego panienki wstały. Miały

jeszcze przed sobą pół mili, a musiały się jeszcze przebrać przed kolacją.

Przy rozstaniu staruszka uchwyciła się mocno ręki Inki. Zdawało się, że ta odrobina przelotnego współczucia jest dla niej większą pociechą, niż całe aż nazbyt liczne pokolenie wnuków.

— Czyż to nie straszna rzecz być starym i siedzieć tak, czekając na śmierć? — zadrżała Inka, kiedy spojrzały w ciemność na polu.

— Straszne! — potwierdziła Ludka całem sercem. — Spieszmy się, bo inaczej spóźnimy się na kolację, a dziś są kurczęta.

Szły szybkim krokiem, który nie pozwalał im mówić; ale myśl Inki pracowała równie szybko, jak jej nogi.

— Przyszła mi do głowy wspaniała myśl — wyrzuciła z siebie, kiedy już wchodziły we wrota i szły drogą wjazdową ku wielkiemu, jasno oświetlonemu domowi, wyciągającemu na ich powitanie wielkie skrzydła.

— Jaka myśl? — zapytały.

Na spotkanie ich wybiegł szybki, uporczywy dźwięk gongu i natychmiast za oknami zaczęły mijać pospiesznie sylwetki — wołanie na kolację miało widać większy posłuch, niż zwywanie do nauki.

— Powiem wam po kolacji. Teraz niema czasu — odpowiedziała Inka, zdejmując płaszczyk.

Biegnać na górę po schodach, rozpinając bluzki i zdejmowały je przez głowy w górnym hallu.

— Idźcie powoli — prosimy was! — błagały schodzącą nadół parami procesję, przeciw prądowi której biegły.

Na kolację szło się do jadalni schodami frontowemi, które były wyścielone dywanami, a nie obite blachą. Ich wieczorowe suknie nie składały się na szczęście z dwóch części, lecz zrobione były tak, iż można było włożyć je odrazu bez żadnych ceromonij. Pojawiły się wszystkie trzy pod koniec modlitwy, nieco zarumienione z włosami trochę nie w porządku, ale ubrane jak należy i z wdziękiem przepraszając za spóźnienie. Spóźnienie się na kolację miało tylko jedno przykre następstwo, a mianowicie, że tak pierwsze, jak i drugie danie omijało tego, kto późno przyszedł — kara, rosnąca geometrycznie.

Podczas półgodzinnej pauzy przed wieczornem odrabianiem lekcyj, trzy przyjaciółki odsunęły się od par tańczących w hallu i ukryły się w kącie jednej z pustych sal szkolnych.

Inka wskoczyła na ławkę i głośno dała upust swym uczuciom.

— Znudziło mi się już to zagrzewanie nas przez Wdowę modlitwami i wygłaszaniem mów na temat pięknego ducha Świąt Bożego Narodzenia i jak to słodko uszczęśliwiać takie mnóstwo małych dzieci, kiedy przecież sama doskonale wie, że to jest dla nas tylko zabawą. Tego roku jestem przewodniczącą i mogę postąpić, jak uważam za stosowne. Mam już dość tego fałszywego miłosierdzia i ani mi w głowie robić na święta choinkę.

— Jakto, nie będzie choinki? — wykrzyknęła Ludka z przerażeniem.

— Więc cóż myślisz zrobić z trzydziestoma siedmioma dolarami i osiemdziesięcioma czterema centami? — zapytała zawsze praktyczna Zuzia.

— Słuchajcie! — zaczęła Inka swe przemówienie. — Tu w okolicy niema dzieci, któreby potrzebowały choinki i podarunków, ale potrzebuje ich dziadek i babcia Flannigan. Ta biedna staruszczyca, taka miła i dobra jak tylko być może, gnieździ się wśród całej kupy tych okropnych, wrzeszczących, brudnych, małych Murphy; a dziadek Flannigan mieszka kątem u żony Tomasza młodszego, latając na posyłki i wysługując się tej babie, która jest naprawdę straszną kobietą. Jak wpadnie w wściekłość, rzuca garn-

kami. Babcia martwi się wciąż, bo jej mąż ma reumatyzm, a nie ma nikogo, ktoby mu zrobił nacierania, albo też uważał, żeby nosił odpowiednią bieliznę. Oni się naprawdę kochają jak każde inne małżeństwo, a rozdzielać ich dlatego tylko, że Urszula chce przyjmować kawalerów, to mojem zdaniem — podłość!

— Istotnie, to bardzo nieładnie! — przyznała bezstronnie Ludka. — Ale ja nie widzę, jakbyśmy im mogły pomóc.

— Właśnie, że możemy! Zamiast wydawać pieniądze na choinkę, wynajmiemy ten mały, pusty domek tam na końcu alei laurowej, napravimy w nim kominek — Patryk robi to bezpłatnie — wstawimy szyby, umebujemy go i sprowadzimy staruszków na gospodarstwo.

— Czy myślisz, że to można zrobić za trzydzieści siedem dolarów i osiemdziesiąt cztery centy? — zapytała Zuzia.

— Tu właśnie potrzebna jest miłosierna dobroczynność! Wszystkie dziewczęta w szkole wyrzekną się na ten cel swej dwutygodniowej pensji. W ten sposób uzyskamy więcej niż sto dolarów, a za te pieniądze można dom urządzać przepięknie. A to właśnie wyrzeczenie się pensji będzie prawdziwie miłosiernym uczynkiem, bo

właśnie w czasie Bożego Narodzenia pieniądze są specjalnie potrzebne.

— Ale czy dziewczęta zechcą wyrzec się swej pensji?

— Zrobimy tak, że zechcą! — rzekła Inka.
— Zwołamy walne zgromadzenie i wygłosimy mowę. Potem każda osobiście i jawnie będzie musiała oddać swój głos. Wobec całej szkoły żadna nie będzie śmiała odmówić.

Od żaru, z jakim Inka mówiła, stanęły w płomieniach obie jej przyjaciółki.

— To dobry pomysł! — rzekła Ludka.

— Już samo urządzenie domu byłoby wyborną zabawą — rzekła Zuzia — prawie tak dobrą, jak własne wesele.

— Właśnie — potwierdziła Inka skinieniem głowy — ci staruszkowie całe lata nie mają sposobności zobaczenia się. Przywrócimy im ich miesiąc miodowy.

Przez całą następną godzinę Inka zajęta była pozornie geometrią, ale w duszy pilnie szyla poszewki, prześcieradła i obrusy. Jako, że to był wtorek, godzina od ósmej do dziewiątej przeznaczona była „dobrym manierom“. Panienci z wdziękiem schodziły po schodach, wchodziły do salonu, anonsowane przez Klarę Dubois, która

odgrywała rolę kamerdynera, i witały się podaniem ręki z paniami, które przyjmowały, a mianowicie z Ludką Wilder, w roli Mamy Wdowy, i sterczącą nad nią, jako wchodzącą w świat córką, Irmą Mc Collough, najwyższą uczennicą w szkole. Nauczycielka gimnastyki, która rozdawała role, miała pewne poczucie humoru. Każdy gość miał rozpocząć rozmowę od jakiejś uwagi, przyczem pogoda była wykluczona.

— Pani Wilder! — mówiła Zuzia, podchodząc ku niej z wyciągniętą ręką — i droga, mało Irmo, niktby nawet nie myślał, że to dziecię mogło tak wyrósć. Wszakże jeszcze wczoraj było maleństwem, ledwie przebierającym nóżkami.

Inka odsunęła Zuzię.

— Moja kochana pani Wilder! — zaczęła w dialekcie, który mógłby zawstydzić Murphy'ch. — Słyszała pani, co ludziska bajdurzą? Podobno państwo Tomaszowie Flannigan wynajęli na sezon Willę Laurową. Mają zamiar założyć tam restaurację. Będzie ich można zawsze zastać popołudniu w czasie rekreacji — będą sprzedawali lemonjadę i pierniki w lecie, a zupę i paszteciki w zimie. Musi ich pani z Irmą odwiedzić.

Jak tylko skończyły się „dobre maniery“, trzy przyjaciółki zniknęły i ukryły się w pokoju

Inki i Ludki w Rajskiej Alei, zamknąwszy się przed gośćmi. Czas między dziewiątą a wpół do dziesiątej był w Zakładzie św. Urszuli modną porą składania wizyt. Właściwie był on przeznaczony na robienie toalety nocnej, ale jeśli się umiało rozebrać w ciemnościach, mogło się tych trzydzieści minut poświęcić na cele towarzyskie.

— Już śpimy! Prosimy nie budzić nas! — głosiła kartka wywieszona na drzwiach, ale klepanie językami wewnątrz zadawało jej kłam.

— Czy mój pomysł z lemoniadą i zupą nie jest dobry? — pytała Inka.

— W dobroczynności najważniejszą rzeczą jest, aby ona nie była dobroczynnością. Trzeba tak robić, żeby ludzie sobie sami pomagali! — zacytowała Zuzia ze swej ostatniej lekcji socjologii.

— Damy ustawić stoliki pod jabłonią w lecie, a w saloniku w zimie — układała Inka plany na przyszłość — i wszystkie dziewczęta i auta będą się tam zatrzymywały na lemoniadę. Ustanowimy cenę dla dziewcząt pięć centów, a dla automobilistów dziesięć.

— A ja wam powiem jeszcze coś innego! Patrykowi i Tomaszowi każemy płacić po dola-

rze tygodniowo na ich utrzymanie! — zaproponowała Ludka. — I tak teraz z pewnością staruszkowie zjadają przynajmniej za dolara ziemniaków tygodniowo.

Długo jeszcze po dzwonku na zgaszenie świateł rozmawiały szeptem o swych planach, tak, że Zuzia, nie chcąc być spostrzeżoną, musiała na czworakach przekraść się koło otwartych drzwi Mademoiselle, zanim się dostała do swego pokoju na końcu korytarza.

Następnego popołudnia, jak tylko zadzwoniono na rekreację, trzy przyjaciółki otrzymały pozwolenie na wyjście poza mury Zakładu i wyszły szybkim krokiem. Zamiarem ich było doprowadzić do porządku cały interes, zanim mogłyby przedłożyć sprawę walnemu zgromadzeniu całej szkoły.

— Pójdziemy naprzód do Patryka i do Tomasza skłonić ich, aby obiecali po dolarze tygodniowo.

Patryk przyrzekł od siebie dolara z całą gotowością — obiecywał zawsze chętnie i łatwo — wobec czego panienki wesoło poszły dalej do Tomasza młodszego. Zastały dziadunia na tylnych schodach, starannie wycierającego o słomiankę nogi. Była to wąż trzcina, gnąca się

pod najmniejszym powiewem złośliwego języka synowej. Wzięty nabok Tomasz młodszy i poinformowany o całym planie oświadczył, że może ofiarować dwa dolary tygodniowo. Niepewny, jakby niespokojny wyraz jego oczu natychmiast ustąpił wyrazowi ulgi. Był wyraźnie rad, że może wybawić ojca z pod despotycznego panowania żony.

Dziewczęta wyszły od niego z otuchą. Pozostawało jeszcze zapewnić sobie domek, zdobyć udział szkoły i uszyć wyprawę.

— Idźcie wy spytać się o cenę mebli i obejrzyjcie tapety — wydawała Inka rozkazy — a ja tymczasem zapytam, ile będzie kosztować wynajęcie domu. Spotkamy się w kiosku z wodą sodową.

Znalazła właściciela gruntu, do którego należał domek, w biurze nad brzegiem rzeki i wymogła na nim opuszczenie czynszu z dziewięciu dolarów miesięcznie na siedem, co uważała za dowód swej wielkiej obrotności w interesach. Załatwiwszy tę sprawę, oświadczyła, że chciałaby podpisać umowę.

— Umowa jest zbyt cenna — odpowiedział właściciel gruntu. — Wystarczy umowa ustna z miesiąca na miesiąc.

— Ja muszę mieć umowę — oświadczyła Inka stanowczo. — Pan może domek sprzedać, albo też stanie się co innego, a wtedy my będziemy się musiały wyprowadzić.

Gentleman, widocznie ubawiony tem wszystkim, jako pierwsza „strona“ położył naprzód swój podpis. Następnie podał pióro Ince i wskazał jej miejsce, w którem miała się podpisać, jako druga „strona“.

— Muszę się naprzód rozmówić ze swemi współpracownikami — wyjaśniła mu Inka.

— Proszę bardzo. Niech się podpiszą w tem miejscu, a pani potem przyniesie mi umowę.

— Czy wszystkie mają się podpisać? — zapytała z pewną wątpliwością patrząc na rubrykę, poniekąd ciasną. — Obawiam się, że nie będzie na to dość miejsca.

— Ileż pani ma współpracowników?

— Sześćdziesiąt trzy.

Właściciel w pierwszej chwili zdumiał się, ale gdy ujrzał wyszyte na rękawie Inki litery, „Św. U.“, przechylił wtył głowę i roześmiał się.

— Przepraszam panią! — usprawiedliwiał się — ale na chwilę straciłem głowę. Nie przywykłem do robienia interesów na taką wielką skalę. Otóż jeśli ta umowa ma być legalna —

tłumaczył poważnie — musi być podpisana przez wszystkie współpracowniczki. Jeśli miejsca okaże się za mało, można —

— Dokleić arkusz? — poddała Inka.

— Właśnie! — potwierdził i skłonił się jej z pełną powagi uprzejmością.

Kiedy tego wieczoru dzwonek zadzwonił na znak, że nauka jest skończona, Inka, Ludka i Zuzia poskoczyły i zwołały powszechny wiec całej szkoły. Po wyjściu Miss Jellings drzwi zamknięto i trzy przyjaciółki przez pół godziny przemawiały razem i z osobna. Mówiły przekonująco i wygrały. Wyrzeczenie się pensji na dwa tygodnie zostało uchwalone prawie jednogłośnie, poczem szkoła przedfilowała przed prezydjum i podpisała umowę.

Przez dwa tygodnie wrzała robota tak w Zakładzie św. Urszuli, jak i w Laurowej Chałupce. Dziewczęta na zmianę pracowały w niej podczas godzin rekreacyjnych. Piwnica została wybielona przez komitet czterech pańienek, które weszły do niej niebieskie, a wyszły pstrokate jak jaja czajcze. Tomasz młodszy sam zgłosił się do tej roboty, ale dziewczęta nie chciały jej się wyrzec. Pozwoliły mu nakleić tapety i gazonem wapnem wybielić strych, ale same wymalowały

sufity i dolne części drewnianego oszalowania. Również godzin rekreacyj wieczornych nie spędzały na tańcach, lecz zwartą falangą obsiadły stoły, szyjąc poszewki i obrębiając obrusy. Dom miał być urządzony i zaopatrzony tak, jak tego babunia Flannigan przez cały czas swego małżeńskiego pożycia nigdy nie miała.

Kiedy wszystko zostało już skończone, w dzień wilji cała szkoła wytarła dobrze trzewiki o słomiankę w drzwiach i na końcach palców po raz ostatni odbyła inspekcję całego domu. Chałupka mieściła trzy pokoje prócz strychu i piwnicy. Tapety i firanki w salonie były w w płomieniste piwonje z bujnemi liśćmi — trochę może za jaskrawe, ale dziadunio i babcia mieli już słabe oczy i lubili żywe kolory. Prócz tego przy pomocy sprytnego badania dowiedziano się, iż ulubionemi kwiatami babuni są piwonje. W kuchni wisiały ciemno-czerwone firanki, na podłodze leżał dywanik w wesołych kolorach, a przy piecu stały dwa głębokie i wygodne fotele. Piwnica była szczerze z zapasów folwarcznych wyposażona — za pozwoleniem Miss Sallie oczywiście — w ziemniaki, kapustę, marchew i cebulę w ilości wystarczającej na gotowanie przez trzy miesiące duszonej wołowiny po irlandzku. Dre-

wutnia była pełna, a nie brakło też i zapasu nafty. Sześćdziesiąt cztery pary oczu z drobiazgową dokładnością przeglądały wszystkie kąty, aby się upewnić, że niczego nie brakuje.

Tak rodzina Murphy, jak i rodzina Flannigan od dłuższego czasu była pod wrażeniem zapowiedzianej instalacji staruszków. Pani Tomaszowa ofiarowała się nawet pomyć okna w pokojach i przez jaki tydzień rzadko kiedy wpadała w złość. Kiedy nadszedł czas, pani Murphy w sekrecie spakowała rzeczy babuni i ubrała ją w najlepsze suknie pod pozorem, że zawiezie ją do pewnego domu, gdzie będzie na wieczerzy wigilijnej razem z mężem. Staruszkę uszczęśliwiła sama nadzieja. Dziadunia przygotowano do podróży przy pomocy tego samego niewyszukanego podstępu.

Inka, Ludka i Zuzia, jako te, od których wyszedł pomysł całej sprawy, miały parę staruszków zainstalować, jednakże z taktowną delikatnością odstąpiły swe prawa synowi i córce. Widziały palące się ognie, płonące lampy, i kota — bo był także i kot! — śpiącego koło kominka, a gdy skrzyp kół oznajmił im, że Marcin przywiózł już swych pasażerów, spokojnie cofnęły

się i pobiegły do domu na obiad przez śnieżny zmierzch.

Przy stole zasypano je gradem pytań.

— Czy babuni podobał się zegar w saloniku?

— Czy wie, naco jest naczynie do ogrzewania?

— Czy była może niezadowolona, że niema pierzyny?

— Czy się jej podoba kot, czy też może wolałaby papugę? — (Co do tego ważnego punktu szkoła była podzielona na dwa obozy.)

Tego wieczoru przy stole — wszystkie uczennice, ile ich jeszcze zostało w zakładzie — mówiły tylko o Laurowej Chałupce. Były tak uradowane szczęściem babuni i dziadunia, jak myślały o czekających je świętach, iż postanowiły, że pierwszego dnia po powrocie z domu wszystkie sześćdziesiąt cztery napiją się herbaty z sześciu filiżanek babuni.

Około godziny dziewiątej Inka i Zuzia otrzymawszy na to specjalne pozwolenie, do którego zresztą uprawniał je czas świąteczny, pojechały odwiedzić Ludkę i dziesięć jeszcze koleżanek na stację do ekspresu, zdążającego na zachód. Wracając same w „karawanie“, jeszcze pełne wesołości świątecznych okrzyków pożegnalnych, przejeżdżały koło Laurowej Chałupki.

— Zdaje mi się, że jeszcze nie śpią! — odezwała się Zuzia. — Stańmy na chwilę i złożmy im życzenia wesołych świąt, ażebyśmy się przekonały, że im tu dobrze.

Bez trudności namówiono Marcina, żeby stanął. On też uznawał swobodę świątecznych feryj. Panienki podeszły ku drzwiom, ale zawały się na widok oświetlonego okna. Przerywać teraz banalnemi życzeniami świątecznemi wydało się im czemś niedelikatnem, jak wtargnięcie w zacisze kochanków. Wystarczyło jedno spojrzenie dla przekonania się, iż wszystko było jak najlepiej. Babunia i dziadunio siedzieli przy ogniu w swych wygodnych fotelach, a lampa rzucała blask na ich twarze. Trzymali się za ręce i uśmiechali się do przyszłości.

Inka i Zuzia odeszły na palcach i wsiadły znowu do „karawanu“, trochę jakby otrzeźwiawszy i zamysłone.

— Wiecie! — opowiadała Inka. — Byli tak zadowoleni oboje, jak gdyby mieszkali w pałacu i mieli milion dolarów i auto. To śmieszne, nieprawda?, jak mało niektórym ludziom potrzeba do szczęścia!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

SREBRNE KLAMERKI.

— Być skutą przez trzy tygodnie z dwiema najgłupszemi dziewczynami w szkole —

— Kid Mc Coy nie jest wcale taka głupia — rzekła Ludka pocieszająco.

— To straszny, mały urwis.

— Ale sama wiesz, że ona jest wcale zabawna, Inko.

— Nie mówi nigdy inaczej, jak tyłką gwarą uliczną i ja myślę, że jest niemożliwa!

— W każdym razie Henrjetta Gladden —

— Jest straszna i wy same doskonale wiecie o tem. Wolałabym spędzić Boże Narodzenie raczej z aniołem płaczącym na grobie, niż z nią.

— Tak, ona jest dość nudna! — przyznała Zuzia. — Trzy święta Bożego Narodzenia z nią spędziłam. Ale w każdym razie nie będziesz się nudzić. Możesz się spóźnić na jedzenie, ile ci się będzie podobało, a Nora pozwoli ci smażyć w kuchni cukierki.

Inka parskała pogardliwie, kiedy zaczęła przeprowadzkę po radosnem podnieceniu pakowania się przed świętami. Dwie przyjaciółki pomagały jej z milczącym współczuciem. Prawdę mówiąc, nie było tu nic, czemby ją mogły pocieszyć. W czasie świąt Zakład był tylko nikłą namiastką domu. Zuzia, której ojciec był oficerem marynarki i która właściwie nie miała żadnego stałego miejsca zamieszkania, niezbyt przejmowała się świętami, ale tego roku jak na złość miała je wesoło spędzić u krewnych w Nowym Yorku — zabierając ze sobą trzy nowe suknie i dwa nowe kapelusze! Zato Inka, która jechała do domu wszystkiego dwie godziny pospiesznym pociągiem, musiała zostać w Zakładzie dlatego, że sześćcioletni pan Tomasz Wyatt właśnie ten czas obrał sobie na przebywanie szkarlatyny. Choroba nie była ciężka; pan Tomasz siedział sobie w łóżeczku, otoczony całymi pudłami ołowianych żołnierzy, ale reszcie rodziny nie wiodło się bynajmniej tak dobrze. Niektórych izolowano w domu, innych do domu nie wpuszczano. Pan sędzia Wyatt zamieszkał w hotelu i telefonował do Wdowy, aby na czas świąt zatrzymała Inkę w Zakładzie św. Urszuli. Biedna Inka właśnie z radością pakowała się, kiedy ta wiadomość

nadeszła; wyjmując znowu rzeczy z kufra, popłakiwała trochę — nie bez racji zresztą — nad szufladami biurka.

Zwykle pewna ilość pensjonarek zostawała w Zakładzie na czas świąt — panienki, których domy były na Zachodzie lub na Południu, albo też, których rodzice znajdowali się gdzieś w podróży lub rozwodzili się — ale tego roku ta ilość była bardzo mała. Inka została sama w Rajskiej Alei. Małgorzata Mc Coy, z Texas, przebywała na końcu Korytarza Południowego, zaś Henrjetta Gladden z Nikąd miała do swej dyspozycji osiemnaście pokoi w „Szpalerze Skowronkowym“. Te trzy panienki i nauczycielki pozostały jako jedyne, prócz części służby, mieszkanki Zakładu podczas świąt.

Henrjetta Gladden mieszkała w Zakładzie św. Urszuli siedem lat — w czasie nauki i w czasie wakacyj, bez przerwy. Przybyła tu jako niezgrabna, dwunastoletnia dziewczynka, nigdy nie wiedząca co zrobić z rękami i nogami, i była teraz siedemnastoletnią, niezgrabną panią, również nie umiejącą ruszać rękami i nogami. Nigdy niewidzialny ojciec, czasami tylko wspomniany w katalogu, przysyłał pani Trent czeki, a pozatem nie dawał nigdy znaku życia. Biedna

Henrjetta była smutnem, cichem, zaniedbanem dzieckiem, zupełnie nie na miejscu wśród otaczającego ją bujnego życia.

Nigdy nie przychodziły do niej paczki z domu na urodziny, nigdy na Boże Narodzenie nie dostawała prezentów, wyjąwszy prezenty, jakie rozdelała szkoła. Gdy inne dziewczęta hałaśliwie dopominały się swych przesyłek, Henrjetta stała w tyle milcząca i niespodziewająca się niczego. Miss Sallie wybierała dla niej suknie, a pogład Miss Sallie na ubranie hołdował raczej użyteczności niż estetyce. Henrjetta była bezwarunkowo najgorzej ubraną panienką w Zakładzie. Nawet jej mundurki szkolne, wierne kopje sześćdziesięciu trzech innych mundurków, wisiały na niej z wdziękiem worka na mąkę. Przezorna i przewidująca Miss Sallie kazała je zawsze szyc na wyrost i Henrjetta stale je znosiła, zanim mogły dobrze na niej leżeć.

— Co na miłość boską, robi Henrjetta Glanden podczas wakacyj? — zapytała pewnego razu Zuzia.

— Trzymają ją w lecie w lodowni! — brzmiała odpowiedź Inki. — Dlatego nigdy nie może roztajać.

I w istocie Inka była do pewnego stopnia bardzo bliska prawdy. Miss Sallie obierała jakąś spokojną, wygodną, zdrową farmę i umieszczała tam Henrjetę pod dozorem żony farmera. Pod koniec trzymiesięcznego siedzenia na wsi czuła się tak samotną, że z przyjemnem podnieceniem myślała o dłuższem wyzwoleniu z życia wiejskiego.

Pewnego dnia Inka podsłuchiwała rozmowę dwóch nauczycielek o Henrjecie, i to, co potem z niej powtórzyła, było bardzo ciekawe.

— Jej ojciec przez długie lata jej nie odwiedzał. Wsadził ją tu, płaci za nią i koniec.

— Nie dziwię się, że nie chce trzymać jej w domu.

— On nie ma żadnego domu. Matka jej rozwiodła się i wyszła drugi raz za mąż i mieszka w Paryżu. Oto przyczyna, dla której Henrjetta nie mogła zeszłego roku pojechać do Paryża z wycieczką szkolną. Ojciec jej obawiał się, że jak przyjedzie do Paryża, matka ją tam porwie, ponieważ oni lubią sobie wzajemnie dokuczać, ale nie dlatego, żeby ją naprawdę chciała mieć.

Zuzia i Ludka siadły zaintrygowane. Tu, przed nosem, miały tragiczną intrygę, taką, jakiej się zwykle szuka tylko w powieści.

— Wy, dziewczęta, któreście pędziły szczęśliwe życie w domu, nie możecie sobie wyobrazić tak osamotnionego dzieciństwa, jak dzieciństwo Henrjetty — mówiła Inka z uczuciem.

— To okropne! — wykrzyknęła Ludka. — Jej ojciec musi być chyba skończonem *Bydłem*, żeby tak o niej zapomnieć!

— Henrjetta ma oczy swej matki — tłumaczyła Inka. — Ojciec nie może na nią patrzeć, ponieważ ona przypomina mu czas szczęścia, który umarł na zawsze.

— Czy Miss Wadsworth to powiedziała? — zapytały jednym głosem.

— Nie dosłownie — wyznała Inka — ale ja wyciągnęłam z jej słów ten wniosek.

Ta historja, ozdobiona różnemi ciekawemi dodatkami, obiegła natychmiast całą szkołę. Gdyby Henrjetta chciała wtedy odgrywać romantyczną i pełną melancholji rolę, jaką los jej narzucił, mogłaby uzyskać pewną popularność; ale Henrjetta nie miała w sobie najmniejszej żyłki aktorskiej, więc tylko chodziła smutna i w dalszym ciągu była nudna i nieinteresująca. Inne, bardziej zajmujące rzeczy zwróciły na siebie uwagę i Henrjetta, wraz ze swem nieszczęśliwym dzieciństwem poszła w zapomnienie.

Inka stała na werandzie, wymachując chusteczką na pożegnanie „karawanowi“, pełnemu ostatnich dziewcząt, wyjeżdżających na święta, poczem wróciła, mając przed sobą perspektywę trzech długich tygodni. Kiedy obojętnie zbierała się wejść na schody, przystąpiła do niej Małgosia, oświadczając:

— Pani Trent pragnęłaby mówić z panią w swej kancelarji, Miss Inko.

Inka zawróciła, rozmyślając, za jaką to znowu najnowszą sprawkę zamierzają ją pociągnąć do odpowiedzialności. Wizyta w kancelarji Wdowy oznaczała zwykle nadciągającą burzę. Zastała cztery pozostałe nauczycielki wygodnie usadowione dokoła stołu i ku wielkiemu zdziwieniu została przyjęta z uśmiechem:

— Siadaj, Inko, i napij się z nami herbaty.

Wdowa skierowała ją ku krzesłu, a podczas gdy nalewała herbatę, Miss Sallie podała jej serwetkę z frendlami, Miss Jellings podsunęła grzanki z masłem, a Miss Wadsworth solone migdały. Inka była trochę zakłopotana, ale przyjęła, co jej dawano. Być obsługiwaną przez cztery nauczycielki, to było czemś zupełnie nowem. Kiedy w duchu zaczęła sobie układać, jak to opowie Zuzi i Ludce ku ich zabawie i radości,

poczuła się dumną. Kiedy przestała się już dziwić, dlaczego ją tu tak honorowano, wyszło szydło z worka.

— Przykro mi bardzo — zaczęła Wdowa — że tego roku niema tu żadnej z twoich bliższych przyjaciółek, jestem jednak pewna, że z Małgosią i Henrjetą będziesz zupełnie szczęśliwa. Śniadanie będzie o pół godziny później niż zwykle, a co się tyczy zakazu niewychodzenia poza Zakład, to będą pewne ulgi — tylko swoją drogą będziesz musiała nam zawsze powiedzieć, gdzie będziemy cię mogły znaleźć. Ja wybiorę może jakiś poranek artystyczno-wokalny w mieście, a Miss Sallie zabierze was z sobą na jeden dzień na folwark. Lód jest już dość gruby, tak że będziecie się mogły ślizgać, a także powiem Marcinowi, żeby wam wyszukał saneczki. Musisz przebywać jak najwięcej na świeżem powietrzu i będę bardzo zadowolona, jeśli ty, wraz z Małgosią, potrafisz nakłonić Henrjetę do sportów na świeżem powietrzu. Jeśli już mówimy o Henrjecie —

Tu Wdowa zrobiła pauzę, a sprytna Inka zrozumiała w mgnieniu oka, że teraz dopiero Wdowa dochodzi do jądra sprawy. Herbata i grzanki to była tylko przynęta. Słuchała tedy podejrzli-

wie, gdy Wdowa mówiła ciszej, z miną nieledwie konfidencjonalną:

— Jeśli już mówimy o Henrjecie, to chciałabym pozyskać dla niej tve współczucie, Inko. Ona jest bardzo łagodna i dobra. Jest to dziewczynka, której przyjaźń mogłaby stanowić dumę każdej z was. Jednakowoż przypadkiem, jak to czasem zdarza się na tym świecie, w społeczeństwie rojnym, wiecznie zapracowanem i krzątającym się a samolubnem, została zapomniana i pominięta. Henrjetta nie umiała się nigdy dostosować do swego otoczenia tak jak inne dziewczęta i obawiam się, że to biedne dziecko jest często bardzo samotne. Cieszyłabym się bardzo, gdybyś postarała się zaprzyjaźnić się z nią. Jestem pewna, że zbliżyłaby się do ciebie za pierwszym skinieniem.

Inka wyjąkała kilka grzecznych frazesów i wyszła, aby się przebrać do obiadu, z niezłomnem postanowieniem trzymania się od Henrjety zdaleka, jak tylko to będzie możliwe. Jej przyjaźń nie była towarem, który można było kupić za herbatę i grzanki z masłem.

Trzem paniąkom podano obiad przy małym stoliku w rogu jadalni, podczas gdy nauczycielki

zajął stół w przyzwoitem oddaleniu w przeciwnym kącie.

Inka była z początku tak małowówna, jak tylko mogła, ale to nie leżało w jej naturze, i kiedy podano cielęcinę (było to w środę wieczór) z całego serca śmiała się z pomysłów Kid. Słownik Miss Mc Coy zawierał ogromne bogactwo dialektycznych wyrażen z równin i podczas feryj nie podlegał karom. W zwykłym czasie, ze względu na kary, jakie nakładano na wyrażenia gwarowe, musiała starać się mówić jak najmniej, inaczej cała jej pensja powędrowałaby do kasy publicznej.

Było prawdziwą przyjemnością pozwolić płynąć rozmowie, w którym kierunku chciała. Zwykle w towarzystwie nauczycielki, zwracającej na wszystko uwagę i kierującej konwersacją, skutkiem krępujących formalności nastrój był sztuczny. Przez pięć wieczorów tygodniowo podczas trzech pierwszych dań obowiązkowa była konwersacja francuska i każda panienka musiała wziąć w niej udział zapomocą co najmniej dwóch zdań. Nie można powiedzieć, aby podczas wieczorów, w których obowiązywał język francuski w jadalni było bardzo rozmownie. Sobotni wieczór poświęcony był dyskusji angielskiej o wypadkach

aktualnych, o których czerpano wiadomości z gazet porannych. Nikt w Zakładzie św. Urszuli nie miał dużo czasu na czytanie dzienników, nie tedy dziwnego, że nawet w „angielską sobotę“ konwersacja toczyła się leniwo. Szkoła wynagradzała sobie to w niedzielę. Tego dnia, jako w dzień świąteczny, wolno było mówić, o czem się tylko chciało. To też najgłośniejsze skrzeczenie sześćdziesięciu czterech srok byłoby milczeniem w porównaniu z jadalnią Zakładu św. Urszuli w niedzielę.

Cztery dni poprzedzające święta Bożego Narodzenia przeleciały z niespodziewaną szybkością. Pierwszego dnia była wielka zawierucha śnieżna, po której nastąpiły trzy dni cudownie słoneczne. Marcin wyciągnął z szopy saneczki bobslayowe i dziewczęta używały na nich do sytości i jeździły do lasu po barwinek. Miały też do załatwienia wiele interesów w mieście, a już samo to, że im nauczycielki nie deptały po piętach, było zabawne i przyjemne.

Inka znalazła w obu koleżankach narzuconych przez zbieg okoliczności bardzo miłe towarzyszki. Ślizgały się razem, jeździły na saneczkach i obrzucały śnieżkami, a ku wielkiemu zdumieniu Inki

Henrjetta okazywała w zabawach niemałe ożywienie. W wigilję wyjechały wraz z Marcinem, aby wręczyć koszyki z podarunkami dawnym protegowanym szkoły. Wracając do domu rozbawione i trochę rozhukane przywiązały saneczki bobslayowe do sań i tak jechały przeszło milę, póki wreszcie nie wleciały głową naprzód w kupę śniegu. Otrząsnąwszy śnieg z sukien, śmiejąc się i pokrzykując, pobiegły ku wrotom. Policzki Henrjetty były zaczerwienione, włosy, zwykle gładko zaczesane, teraz niesfornie spadały na twarz, a jej wielkie, ciemne oczy straciły swój żaloszny wyraz. Były to znowu wesołe, przekorne oczy dziewczęce. Była nietylko ładna, ale wprost piękna w jakiś dziki, niezwykły, cygański sposób, zwracający uwagę.

— Słuchaj! — szepnęła Inka do Kid, kiedy w hallu na parterze zdejmowały kalosze i kamusze. — Popatrz na Henrjetę! Może nieładna!

— Bycza! — mruknęła Kid. — Gdyby umiała jak się patrzy zawracać ślepiami, byłaby najmórowszą pięknością w szkole.

— Zrobimy ją z niej! — rzekła Inka.

Na górze spotkały Osaki'ego z młotkiem i dłótem.

— Ja otwierać duże paczki — oznajmił. — Jedną dla Miss Małgorzaty Mc Coy, jedną dla Miss Inki Wyatt.

— Hurra! — wrzasnęła Kid i popędziła galopem w stronę Skrzydła Południowego.

Pakunek na święta Bożego Narodzenia oznaczał dla Kid Mc Coy przechojne bogactwo różnych dodatków do deseru. Jej opiekun, kawaler, cierpiał na ataki tak chorobliwej szczodrobliwości, że Wdowa regularnie musiała mu przypominać, iż Małgorzata jest tylko pensjonarką z prostemi upodobaniami. Na szczęście stale zapominał o tem do następnych świąt Bożego Narodzenia — a może być, zbyt dobrze znał Kid, aby w to uwierzyć — i pakunki przychodziły w dalszym ciągu.

Inka również bez większych ceremonij ruszyła biegiem ku Rajskiej Alei, kiedy nagle zauważyła opuszczoną Henrjetę, wlokącą się powoli ciemnym Szpalerem Skowronczanym. Pobiegnęła zpowrotem i złapała ją za łokieć.

— Chodź, Harry! Pomożesz mi otworzyć paczkę.

Na twarz Henrjetty buchnął rumieniec z niespodziewanej radości. Najlepszą rzeczą po otrzymaniu własnej paczki z upominkami na Boże

Narodzenie jest asystowanie przy otwieraniu paczki przyjaciółki.

Była to wielka czworoboczna skrzynka drewniana, naładowana mnóstwem mniejszych skrzyneczek, paczek i paczuszek, przewiązanych wstążeczkami i ozdobionych zielenią, podczas gdy szpary wypchane były różnemi zabawnemi i pociesznemi figurkami. Rzuciwszy tylko okiem na ten ładunek, odrazu można było wyobrazić sobie dom, z jakiego go wysłano, dom pełen żartów, psot, figlów i miłości.

— To pierwsze święta Bożego Narodzenia, które spędzam poza domem — rzekła Inka z lekkim drzeniem w głosie.

Ale ta jej powaga nie trwała długo; kwestja badania wnętrza paczki zbyt ją pochłaniała, aby mogła pozwolić na uczucia mieszane. Henrjetta siedziała na brzegu łóżka i przyglądała się w milczeniu, podczas gdy Inka wesoło zaśmiewała podłogę bibułkami i ponsowemi wstążeczkami. Wypakowała wielki komplet rękawiczek, książek i drobiazgów toaletowych, do których załączone były życzenia wesołych świąt i zapewnienia miłości. Nawet kucharka postarała się o upieczenie dla niej tortu świątecznego, bogato przybranego, a mały Tommy niepewną rączką druko-

wanemi literami wypisał na etykiecie na słońiu pełnym cukierków „Dla kochanej Siostszyczki od Tomcia.“

Inka śmiała się, zapychając sobie równocześnie usta czekoladą, i rzuciła słońia Henrjecie na kolana.

— Czy to nie pięknie z ich strony, że sobie zadali dla mnie taką masę trudu? Powiadam ci, czasem to się opłaci nawet być gdzieś daleko, więcej wtedy o tobie myślą. To od mamusi — dodała, zdejmując wieko z wielkiego pudła od krawcowej i wyjmując z niej powiewną sukienkę do tańca z różowej gazy.

— Czyż to nie cudowne? — zapytała. — A w dodatku ja tej sukni wcale nie potrzebowałam. Czy lubisz dostawać rzeczy, których nie potrzebujesz?

— Nigdy ich nie dostaję — odpowiedziała Henrjetta.

Ale Inka wetknęła już nos w drugą paczkę.

— „Od Tatusia, który Cię kocha nad życie“ — przeczytała. — Dobry, kochany tatuś! Jak myślisz, co to może być? Spodziewam się, że mamusia jakąś myśl mu poddała, bo on sam nie ma pojęcia o wybieraniu prezentów, chyba że — Oh! — pisnęła. — Różowe jedwabne poń-

czochy i pantofelki, a patrz, jakie to śliczne klamerki!

Dała Henrjecie do obejrzenia różowe pantofelki, ozdobione prześlicznymi klamerkami i z wysokimi, cienkimi, zgrabniutkiemi francuskiemi obcasikami.

— Czy mój ojciec nie jest cudowny? — Inka wesoło przesłała całusa w kierunku pełnego godności napozór surowego portretu na biurku — Mamusia podsunęła myśl o pantoflach, rozumie się, ale te klamerki i obcasiki to już jego własny pomysł. Mamusia chce, żebym była rozsądna, a tatuś woli mnie widzieć beztroską i wesołą.

Była zupełnie pochłonięta przymierzaniem sukienki przed lustrem dla przekonania się, czy w tym kolorze będzie jej do twarzy, kiedy nagle usłyszała łkanie. Odwróciwszy się, spostrzegła, że Henrjetta, leżąc wpoprzek łóżka, z twarzą wtuloną w poduszki, zanosi się od płaczu. Zdumiona Inka patrzyła na nią szeroko otwartemi oczami. Ona nigdy nie pozwalała sobie na podobne demonstracje uczuciowe i nie mogła sobie nawet wyobrazić przyczyny, któraby była zdolna wywołać je. Odsunęła różowe pantofelki, tak, aby opadające nogi Henrjetty ich nie dotknęły,

podniosła upuszczonego słonia, pozbierała rozsypane czekoladki i usiadła, aby przeczekać atak.

— Co się stało? — zapytała łagodnie, kiedy łkania Henrjetty ustąpiły miejsca ciężkim westchnieniom.

— Mój ojciec ani razu nie przysłał mi srebrnych klamerek.

— On jest daleko w Meksyku — rzekła Inka, podsuwając jej pierwszą lepszą pociechę.

— On mi wogóle nigdy nic nie przysłał, on mnie nawet nie zna. Gdyby mnie spotkał na ulicy, nie poznałby mnie.

— O, tak, poznałby cię z pewnością — wyjechała Inka z wątpliwą pociechą — od czterech lat zupełnie się nie zmieniłaś.

— A gdyby mnie poznał toby mnie nie polubił. Nie jestem ładna. Moje sukienki są zawsze źle skrojone i —

Henrjetta znowu zaczęła płakać.

Inka przyglądała się jej przez chwilę w pełnem zamyślenia milczeniu, a potem powzięła nowe postanowienie. Wyciągnęła rękę i potrząsnęła Henrjettę silnie.

— Na miłość boską, przestań płakać. To właśnie z pewnością do wściekłości doprowadza

twego ojca. Żaden mężczyzna nie wytrzyma, jak mu wciąż ciekną łzy na kark.

Zdumiona Henrjetta powstrzymała łkanie.

— Gdybyś widziała tylko, jak wyglądasz, kiedy płaczesz! Zupełnie, jak gdybyś była w paski. Chodź tu!

Wzięła ją za ramię i obróciła twarzą do lustra.

— Widziałas kiedy podobne straszidło? A ja właśnie myślałam o tem, zanim zaczęłaś beczeć, jaka ty jesteś ładna. Jak Boga kocham, słowo honoru daję. Mogłabyś być tak ładną, jak każda z nas, gdybyś tylko choć trochę chciała —

— Nie, jabym nie mogła! Jestem tak brzydka, jak tylko być może, nikt mnie nie lubi i —

— To twoja własna wina! — rzekła Inka ostro. — Gdybyś była tłusta, jak Irma Mc Colough, lub gdybyś miała taką brodę, jak Ewelina Smith, mogłaby być w tem jeszcze jakaś racja, ale tu niema najmniejszego powodu, wyjąwszy ten jeden tylko, że jesteś taka *rozlazła*. Wciąż płaczesz, a mieć ciągle współczucie dla kogoś i litować się — to wkońcu męczy. Mówię ci prawdę dlatego, że zaczynam cię naprawdę lubić. Niema sensu dokuczać ludziom przez mówienie im prawdy, jak się ich nie lubi. Dlatego, że my trzy, Ludka, Zuzia i ja, mówimy sobie

zawsze prawdę i wytykamy sobie wzajemnie wszystkie nasze błędy, żyjemy z sobą w takiej zgodzie i przyjaźni. Bo my mamy zawsze możliwość poprawienia się — i dlatego jesteśmy takie grzeczne i powszechnie lubiane! — dodała skromnie.

Henrjetta siedziała z otwartymi ustami, na-
zbyt zaskoczona, aby mogła płakać.

— A co się tyczy twoich sukien, to one naprawdę są straszne! — mówiła dalej Inka z szczerem zajęciem. — Nie powinnaś pozwalać, aby Miss Sallie ci je wybierała. Miss Sallie jest bardzo dobra, ogromnie ją lubię, ale na sukniach zna się, jak kura na pieprzu; można to łatwo poznać choćby z tego, jak się sama ubiera. A prócz tego byłabyś o wiele ładniejsza, gdybyś nie była taka sztywna i nienaturalna. Gdybyś się trochę śmiała, jak to my robimy —

— Jakże się mogę śmiać, kiedy nie widzę, żeby to wszystko było śmieszne! Figle dziewcząt są strasznie niemądre.

Nie można było dłużej o tem mówić, bo Kid Mc Coy biegła przez korytarz, czyniąc hałas niemięjszy od całej kawalkady. Miała na sobie futrzany kołnierz, naszyjnik wysadzany perłami, a na głowę włożyła mufkę, wielką jak bęben;

haftowana chusteczka i wachlarz z kości słoniowej wyglądały jej z kieszeni bluzki, a różowy szal szyfonowy zwisał jej z ramion. Wschodnia bransoletka zdobiła prawy przegub jej ręki, a w ramionach huśtała nabijane srebrem siodło meksykańskie, takie właśnie, jakie znakomicie może się przydać na równinach meksykańskich, lecz nigdy nie może być użyte do jazdy w szanującej się okolicy, w której leżał Zakład św. Urszuli.

— Niech żyje opiekun! — krzyknęła, wleciawszy na dziewczęta. — Złoty chłop, cudowny, fajny! Widziałyście kiedy takie zwarjowane siodło?

Rzuciła siodło na krzesło, z różowego szala zrobiła uzdę, „wsiadła“ na konia i „ruszyła“.

— Wio! Hetta! Z drogi!

Henrjetta cofnęła się, bojąc się, żeby jej Kid nie kopnęła, podczas gdy Inka porwała różową sukienkę i usunęła ją z drogi rozhukanej amazonki. Aż piszczały z uciechy, nie wyjmując płacziwej Henrjetty.

— Widzisz teraz sama! — rzekła Inka, przerywając zabawę. — Zupełnie łatwo śmiać się, jeśli tylko człowiek nie broni się śmiechowi. Kid bynajmniej nie jest śmieszna, ani komiczna. Jest pro prostu tak narwana, jak tylko być może.

Kid zatrzymała konia.

— Ja to lubię!

— Wybacz, że mówię prawdę! — mówiła Inka grzecznie. — Użyłam cię specjalnie jako ilustracji. — Rany Boskie! Dzwonią na kolację!

Jedną ręką zaczęła rozpinąć bluzkę, drugą wypychała gości za drzwi.

— Przebierzcie się prędko i przyjdźcie tu pozapinać mnie. Będzie z naszej strony bardzo delikatnie, jeśli się dziś nie spóźnimy. Od czasu, jak się zaczęły wakacje, stale się spóźniamy.

Przedpołudnie pierwszego dnia świąt spędziły dziewczęta na saneczkowaniu. W porę wróciły na obiad — a z jakimi apetytami!

Były właśnie w połowie obiadu, gdy wszedł Osaki z depeszą, którą wręczył Wdowie. Wdowa przeczytała ją ze zdziwieniem i pewnem wzruszeniem i podała depeszę Miss Sallie, która podniosła brwi i wręczyła ją Miss Wadsworth; ta była najwyraźniej wzruszona.

— Na miłość boską, co się mogło stać? — dziwiła się Kid.

— Lordunia zwała i one napewno szukają nowej nauczycielki łaciny — brzmiało wyjaśnienie Inki.

Kiedy dziewczęta odchodziły od stołu, Wdowa przystąpiła do Henrjetty.

— Wstąp na chwilę do mojej kancelarji. Właśnie nadszedł telegram.

Inka i Kid szły po schodach w głębokiem zdumieniu.

— Nie może to być nic złego, bo Miss Sallie uśmiechała się — rozważała Inka. — Ale ja nie mogę sobie wyobrazić, aby Henrjetta mogła otrzymać jakąś pomyślną wiadomość.

W dziesięć minut później dały się na schodach słyszeć kroki i Henrjetta, podniecona, wpadła do pokoju Inki.

— On przyjeżdża!

— Kto taki?

— Mój ojciec.

— Kiedy?

— Teraz zaraz, dziś popołudniu. Był w interesach w Nowym Jorku, a teraz przyjeżdża na święta odwiedzić mnie.

— Tak się cieszę! — wykrzyknęła Inka serdecznie. — No, sama teraz widzisz, że przedtem nie przyjeżdżał do ciebie dlatego, że był w Meksyku.

Henrjetta potrząsnęła głową i nagle ożywienie jej zniknęło.

— Mnie się zdaje, że on przyjeżdża dlatego, że myśli, że powinien.

— Głupstwo!

— Tak jest. Naprawdę — zupełnie o mnie nie dba. Lubi, żeby dziewczęta były wesole i ładne i pełne energii, jak on sam.

Oczy Henrjetty poszukały lustra i napęliły się łzami.

— Jesteś skończona idjotka! — rzekła Inka, doprowadzona do rozpacz.

— Przecież ja w tej swojej zielonej sukience wyglądam, jak strach na wróble.

— Tak jest — przyznała Inka. — Jak strach na wróble.

— I spódnica jest za krótka, a stan za długi.

— A rękawy są wprost dziwaczne.

Inka zdając sobie sprawę z tych zniechęcających faktów, uczuła, że entuzjazm i energia wzbierają w niej.

— Która godzina? — zapytała.

— Czwarta.

— Wobec tego mamy dwie godziny czasu — zbierała Inka swe siły. — Za dwie godziny można zrobić bardzo dużo. Gdybyś nie była wyższa ode mnie, mogłabyś wziąć moją nową różową sukienkę — tylko że ja się obawiam —

Z powątpiewaniem spojrzała na długie nogi Henrjetty.

— Wiesz co? — dodała w nagłym porywie wspaniałomyślności. — Spuścimy zakładkę sukienki —

— Ależ, Inko!

Harry aż na płacz się zbierało na myśl o poprucia sukni. Ale jak Inkę, zaangażowaną w jakiejś sprawie, ogarniał zapał, wszystkie względy szły nabok. Wyjęto z szafy nową suknię i zaczęło się prucie.

— Możesz także wziąć nowy perłowy naszyjnik Kid i różową szarfę i moje jedwabne pończochy i pantofle — a także koronkową halkę Ludki, przysłano ją z pralni tak późno, że nie można jej było zapakować i — oto Kid!

Współudział Miss Mc Coy został pozyskany i w przeciągu kwadransa transformacja podnieconej, broniącej się, a chwilami popłakującej Henrjetty w piękność szkolną, wesoło i szybko postępowała naprzód. Kid Mc Coy uchodziła za niepoprawnego urwisa, ale w decydujących chwilach „das ewig Weibliche“ wybijało się w niej na pierwszy plan. Zasiadła do roboty z Inki nożyczkami do „manicure“ i przez trzy kwadransy cierpliwie pruła zakładkę.

Tymczasem Inka zajęła się włosami Henrjetty.

— Nie zaczesuj ich tak gładko! — komendowała. — Wyglądasz, jak przylizana. Czeka, daj mi grzebień!

Posadziła Henrjetę na krzesło, owinęła jej szyję ręcznikiem i przemocą uczesała ją po swojemu.

— Jak to wygląda? — zapytała Kid.

— Bajecznie! — mruknęła Kid, z ustami pełnemi szpilek.

Włosy Henrjetty, luźno opuszczone na twarz, były przewiązane różową wstążką. Wstążka należała do Ludki i dotychczas używana była jako pasek, ale wobec tej sprawy, indywidualne prawa własności musiały pójść w ką.

Okazało się, że pończochy i pantofle są za małe, wobec czego Inka gorączkowo przeszukała jakich dwanaście pokoi koleżanek w daremnej nadziei, że wygrzebie skądś różowe pantofle. Wreszcie z żalem pozwoliła włożyć Henrjecie jej własne, czarne, wełniane pończochy i skórzane „patentowe“ trzewiki.

— W gruncie rzeczy — dodawała jej Inka odwagi — lepiej ci będzie w czarnym obuwiu. W różowym twoje nogi zanadto rzucałyby się w oczy.

Była wciąż jeszcze w zapale.

— I wiesz co? — wykrzyknęła. — Możesz wziąć moje srebrne klamerki.

To mówiąc, zaczęła z zawziętością odrywać je od różowego jedwabiu.

— Inko! *Nie rób tego!* — zawołała Henrjetta, patrząc na to świętokradztwo.

— To właśnie to ostatnie „wykończenie“, którego twój strój potrzebuje — mówiła Inka, bez najmniejszego miłosierdzia prowadząc dalej dzieło zniszczenia. — Jak twój ojciec zobaczy te klamerki, z pewnością powie, że jesteś *piękna*.

Przez godzinę pracowały gorączkowo. Ubrały ją tak wspaniale, jak tylko mogły. Cały korytarz dostarczył odpowiednich szczegółów toaletowych, włącznie do obszytej koronką chusteczki z ręcznie wyhaftowaną literą „H“. Chusteczkę tę znaleziono w szufladzie Heli Pringle. Wreszcie dwie przyjaciółki zaczęły na wszystkie strony obracać Henrjetę przed lustrem, jako najświetniejszą, w ich oczach, kreację. Jak to Kid słusznie przepowiedziała, Henrjetta stała się istną pięknocią pensjonarską.

Irlandka Małgosia pokazała się w drzwiach.

— Pan Gladden czeka w salonie, Miss Henrjetto!

Urwała i spojrzała z podziwem.

— Jak Boga kocham, nie myślałam, że pa-nienka jest taka piękna!

Henrjetta wyszła ze śmiechem — i z blaskiem walki w oczach.

Inka i Kid natychmiast zabrały się do doprowadzenia do jakiegoś porządku chaosu, jaki powstał w Rajskiej Alei skutkiem przemiany poczwaraki w motyla — a to przykre zajęcie zbierać i podnosić rzecz po rzeczy, w chwili, gdy wydarzenia dochodzą do szczytu.

W godzinę później na korytarzu dały się słyszeć szybkie kroki i do pokoju wpadła — wbiegła tanecznym krokiem Henrjetta z świecącymi oczami. Była żywym obrazem młodości, szczęścia i zapału.

— No? — wykrzyknęły Inka i Kid razem.

Wyciągnęła ku nim rękę ze złotą bransoletką z malutkim zegareczkiem.

— Patrzcie! — zawołała. — Przywiózł mi to na Boże Narodzenie. Będę już mogła mieć suknie, jakie tylko zechcę i nie Miss Sallie będzie je dla mnie wybierała. A dziś zostanie u nas na kolacji i będzie jadł z nami przy małym stole. A w sobotę zabierze nas do miasta na obiad i na przedstawienie popołudniowe, a Wdowa powiedziała, że możemy jechać.

— Cie-wy! — odezwała się Kid. — To się nam cała robota opłaciła.

— I co na to powiecie? — mówiła Henrjetta, jękając się nieśmiało. — On mnie lubi i mówi, że jestem ładna!

— Wiedziałam, że się weźmie na srebrne klamerki! — rzekła Inka.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

„W U J B O B B Y“.

W gnuśny poranek, gdy Zakład św. Urszuli nie wiedział, co począć z sobą po późnem pierwszym śniadaniu świątecznem, przyszła poczta, przynosząc między innymi listami, list dla Inki od jej matki. List ten zawierał pocieszające wiadomości, dotyczące przebiegu szkarlatyny Toma, i wyrażał nadzieję, że Inka nie spędziła świąt w Zakładzie zbyt samotnie, kończył się zaś zapowiedzią, że pan Robert Pendleton ma w interesach udać się do miasta i obiecał zrobić wycieczkę do Zakładu św. Urszuli, aby się dowiedzieć, jak się Inka ma.

Ustęp ten Inka przeczytała głośno Henrjcie Gladden i Kid Mc Coy (ochrzczonej na chrzcie świętym imieniem Małgorzaty).

— Kto to jest ten pan Robert Pendleton? — zapytała Kid, patrząc ponad swój list.

— Był swego czasu osobistym sekretarzem mego ojca, kiedy ja jeszcze byłam małą dziewczynką. Nazywałam go zawsze „wujem Bobby“.

Kid wróciła do swego listu. Mało ją zajmowała rasa wujów, prawdziwych czy fikcyjnych. Ale Inka, skłonna w tej chwili do wspomnień, w dalszym ciągu mówiła do Henrjetty, której żaden list nie przeszkadzał w słuchaniu.

— Potem on odszedł i zaczął pracować na własną rękę. Dawno już, jak go widziałam, ale on był w swoim czasie naprawdę bardzo miły. Cały swój wolny czas — kiedy nie pisał mów ojca — obracał na ratowanie mnie z różnych opalów. Miałam kozę, która nazywała się Mińcia —

— Żonaty? — zapytała Henrjetta.

— N-nie, zdaje mi się, że nie. O ile wiem, w młodości miał jakąś przygodę, która złamała mu serce.

— Zabawna historja! — wykrzyknęła Kid, wracając znów do spraw dnia dzisiejszego. — Czy to serce wciąż jeszcze jest złamane.

— Tak mi się zdaje! — rzekła Inka.

— Ile ma lat?

— Nie wiem napewno. Ale musi być już teraz *bardzo* stary. (Inka mówiła to takim tonem, jak gdyby ślaniał się na skraju grobu.) Kiedy go ostatni raz widziałam, miałam siedem lat, a on wtedy właśnie kończył kolegjum.

Kid porzuciła ten temat. Starzy panowie, nawet ze złamanymi sercami, nie zajmowali jej.

Tego samego popołudnia, kiedy trzy panienki znajdowały się w pokoju Inki, rozkoszując się niestrawnym podwieczorkiem, składającym się z herbaty, mleka, chleba i masła (dostarczonego przez szkołę) oraz ciastek, słodyczy, śliwek i oliwek faszerowanych, listowy przyniósł spóźnione podarunki świąteczne, a między nimi długą, wąską paczkę, przeznaczoną dla Inki. Zdjąwszy opakowanie, znalazła w niem list i pudełko kartonowe. Przeczytała głośno list, który jej towarzyszki równocześnie czytały przez ramię. Inka zawsze z wszystkimi, którzy byli w pobliżu, dzieliła się swymi przeżyciami.

„Droga Inko!

Czy zapomniałaś już „Wuja Bobby“, który zwykle stawał między Tobą, a wielu zasłużonymi klapsami? Wierzę, że stałaś się *bardzo grzeczną dziewczynką*, teraz, kiedy już chodzisz do szkoły.

Przyjdę przekonać się o tem na własne oczy w czwartek popołudniu. Tymczasem proszę przyjąć ode mnie upominek świąteczny z nadzieją, że spędziłaś święta przyjemnie mimo oddalenia od rodziny.

Twój dawny towarzysz zabawy

Robert Pendleton.“

— Jak myślicie, co to jest? — zapytała Inka, rozwiązując złoty sznurek na pudełku.

— Pewnie kwiaty lub cukierki! — odpowiedziała Henrjetta. — Miss Sallie mówi, że nie wypada —

— Mnie to wygląda na róże „American Beauty“ — poddała Kid Mc Coy.

Inka rozpromieniła się.

— Czy to nie komiczne dostać kwiaty od mężczyzny? Zdaje mi się, że jestem już strasznie dorosła.

Podniosła wieko, usunęła mnóstwo delikatnej bibułki i odkryła — błękitnooką, uśmiechniętą lalkę.

Dziewczęta patrzyły na nią przez chwilę zdumione, a potem Inka osunęła się na podłogę, ukryła głowę w ramionach, opartych o łóżko, i zaczęła się śmiać.

— Ona ma prawdziwe włosy — mówiła Henrjetta, ostrożnie wyjąwszy lalkę z bibułek i oglądając dokładnie — prześliczne sukienki i otwiera oczy.

— Aj - jej! — wrzasnęła Kid i porwawszy z biurka prawidło na trzewiki, rozpoczęła z niem indjański taniec wojenny.

Inka powstrzymała swój histeryczny śmiech w porę, aby jeszcze móc ocalić nowy skarb od oskalpowania. Kiedy chwyciła w objęcia lalkę, wolną już od wszelkiego niebezpieczeństwa, biedactwo otwarło usteczka i pisnęło „*Ma-ma!*“

Dziewczęta znowu wybuchnęły śmiechem. Popadały na podłogę i tarzały się po niej w porywie śmiechu tak długo, póki wreszcie nie osłabły i nie straciły tchu. Gdyby wuj Bobby mógł być świadkiem radości, jaką dar jego sprawił trzem opuszczonym pensjonarkom, byłby niezawodnie rad. Śmiały się cały dzień i następnego ranka. Popołudniu Inka odzyskała panowanie nad sobą o tyle, aby móc godnie zachować się podczas odwiedzin wuja Bobby.

Zwykle odwiedzający czuli się w Zakładzie św. Urszuli dość niewyraźnie. Przyjeżdżali zdaleka, zaopatrzeni w listy polecające od rodziców, a mimo to musieli ulegać nadzorowi różnych opiekunek. Miss Sallie siedziała w salonie podczas pierwszej połowy wizyty (wizyta mogła trwać najwyżej godzinę), poczem miała niby wyjść, ponieważ jednak to była dusza towarzyska, często o tem zapominała. Biedne dziewczątko siedziało wówczas z uśmiechem na twa-

rzy i z buntem w sercu, podczas gdy Miss Sallie zabawiała gościa.

Podczas świąt przepisów tak surowo nie przestrzegano. W dniu wizyty wuja Bobby szczęśliwym zbiegiem okoliczności Miss Sallie była o pięć mil od Zakładu na wizytacji nowo założonej na folwarku szkolnym wylęgarni. Wdowa, Miss Wadsworth i Miss Jellings były zaproszone na jakieś przyjęcie w mieście, a reszta nauczycielek, wyjechała na święta. Ince powiedziano, że może wuja przyjąć sama, napomniano ją tylko, żeby uważała na swe zachowanie się, i żeby nie mówiła wciąż sama jedna, ale pozwoliła i jemu coś powiedzieć.

To w bajeczny wprost sposób pomogło jej do wykonania zuchwałego planu, jaki w nocy powzięła. Henrjetta i Kid z rozkoszą użyły jej pomocy i wszystkie trzy razem spędziły przedpołudnie na rozważaniu, w jakiej postaci ma się wujowi pokazać. Wpadły wreszcie na szczęśliwy pomysł; Inka miała odegrać rolę „wstępniaczki“. W tym celu przeszukano cały młodszy pensjonat, gdzie piętnaście małych dziewczynek zajmuje piętnaście małych chat w piętnastu niszach. Udało im się znaleźć białą, sztywnie nakrochmaloną bluzkę marynarską z jaskrawo

niebieskim kołnierzem płóciennym i faldzistą, nieprzyzwoicie krótką spódniczkę. Kid Mc Coy po długich poszukiwaniach wygrzebała gdzieś parę biało-błękitnych skarpetek, które cudownie kostjum uzupełniały, pokazało się jednak, że są za krótkie.

— I tak byłyby do niczego — rzekła Inka filozoficznie. Mam strasznie podrapane jedno kolano.

Gimnastyczne pantofle bez obcasów zredukowały jej pięć stóp wzrostu o jeden cal. Wczesne godziny popołudnia spędziła na zmuszaniu swych włosów, aby zwisały rzędem pukli z jaskrawą, błękitną kokardą nad lewym uchem. Kiedy skończyła, wyglądała jak najrozkoszniejsza w świecie mała dziewczynka, jaka kiedykolwiek dokazywała w parku słonecznego poranka.

— Co zrobisz, jak cię zechce pocałować? — zapytała Kid Mc Coy.

— Będę się starała nie roześmiać — odpowiedziała Inka.

Piętnaście minut, pozostałych do wizyty, poświęciła dokładnemu przeglądowi swego kostjumu. Gdy Małgosia nareszcie przysłała z oznajmieniem, że gość jest już na dole, Inka była wspaniała! Kid i Henrjetta towarzyszyły jej aż do połowy schodów, gdzie pozostały, patrząc wy-

chylone poza poręczę, podczas gdy Inka z lalką na rękę zesłała do salonu.

Wśliznęła się nieśmiało przez drzwi, dygnęła, i wyciągnęła wstydliwie rączkę do wysokiego pana, który szedł na jej spotkanie.

— Jak się masz, wuju Lobelcie! — rzekła, sepleniąc.

— Doskonale! Czy to mała Inka?

Wziął ją pod brodę i podniósł jej głowę do góry, aby się jej lepiej przyjrzeć — jako że, w tym wypadku — na szczęście, miał trochę krótki wzrok. Uśmiechała się do niego naiwnie, szeroko otwartymi, niewinnymi, dziecinnymi oczami.

— Zaczyna się z ciebie robić duża dziewczyna! — oświadczył tonem ojcowskiej pochwały. — Sięgasz mi już prawie do ramion.

Usiadła daleko od niego w głębokim fotelu skórzanym i siedziała wyprostowana ze złożonymi nóżkami, ściskając mocno lalkę.

— Dziękuję baldzo, wuju Bobby, za tę wspomniałą lalkę!

To mówiąc, Inka ucałowała złożone do martwego uśmiechu usteczka lalki.

Wuj Bobby przyglądał się jej z wzrastającym uznaniem. Podobał mu się ten wczesny przejaw instynktu macierzyńskiego.

— Jakże jej będzie na imię? — zapytał.

— Nie mogę w żaden sposób znaleźć imienia.

Z temi słowy Inka podniosła ku niemu jakby przestraszone oczy.

— A jakby jej tak dać na imię Inka młodsza?

Ale Inka nie chciała się na to zgodzić i wreszcie po dłuższej dyskusji uchwalili, że lalka będzie się nazywała Ala, według „Ali w Krainie Czarów“. Załatwiwszy szczęśliwie tę sprawę, rozmawiali dalej. Opowiedział jej o pantominie świątecznej, jaką swego czasu widział w Londynie, z małemi dziewczątkami i chłopczykami, jako aktorami.

Inka słuchała, widocznie bardzo zaciekawiona opowiadaniem.

— Przyślę ci książkę z powiastkami i obrazkami. W tej książce znajdziesz też opowiadanie, na podstawie którego napisano tę sztukę. Będziesz ją sobie mogła przeczytać. Czytać przecie umiesz, nieprawda? — dodał.

— O, natulalnie! — odpowiedziała Inka, niby obrażona. — Ja już oddawna umiem czytać. Potłafię przeczytać wszystko, natulalnie, jeżeli liteli są duże.

— To dobrze! Robisz, widać postępy! — rzekł wuj Bobby.

Zaczęli sobie przypominać dawne czasy i rozmowa zesła na Mińcię.

— Czy pamiętasz, jak raz Mińcia przegryzła sznur i wlała do kościoła?

Inka zaczęła się więc ze śmiechu na samo wspomnienie.

— Boże! Nigdy tego nie zapomnę!

— A zwykle tatuś wyklęcał się od nabożeństwa, ale w niedzielę mamusia blała go za łeb i musiał iść, a kiedy zobaczył wtedy, że Mińcia też idzie do kościoła z jakimś uroczystym uśmiechem na twarzy —

Wuj Bob przechylił głowę wtył i roześmiał się.

— Bałem się, że pana sędziego razi apopleksja!

— Ale najkomiczniejszą rzeczą — mówiła Inka — było widzieć ciebie i ojca, wyciągających kozę z kościoła. Ty ciągnąłeś, ojciec popychał, a koza to się opierała, to znów bodła.

Nagle złapała się na tem, że zapomniała spełnić, ale wuj Bobby był zbyt zajęty wspomnieniami, aby móc to spostrzec. Bez zwrócenia na siebie jego uwagi Inka znów wróciła do swej dawnej roli.

— A tatuś krzyczał na mnie zato, że sznul był ulwany, a tymczasem to zupełnie nie była moja

wina! — dodała z żalosnem drgnieniem usteczek.

— A na dlugi dzień Mińcię zastrzelono.

Na to wspomnienie Inka opuściła głowę na lalkę, trzymaną w objęciach. Wuj Bob natychmiast pospieszył jej z pociechą.

— Nie płacz, Inko! Może być, dostaniesz nową kozę.

Potrząsnęła głową, udając łkanie.

— Nie, ja nie chcę. Tu nie wolno kóz trzymać! A ja tak kochałam Mińcię! Ja jestem bez niej tak stłasznie samotna!

— Dajże spokój, Inko! Jesteś już za dużą dziewczynką, żeby płakać — wuj Bob głaskał ją po głowie. — Chciałabyś pójść ze mną którego dnia w przyszłym tygodniu do cyrku i zobaczyć dzikie zwierzęta?

Inka ożywiła się.

— A będą tam słonie? — zapytała.

— Nawet kilka! — obiecał. — I lwy i tygrysy i wielbłądy!

— To ślicznie! — klasnęła w ręce i uśmiechnęła się przez łzy. — Pójdę z przyjemnością. Baldzo ci dziękuję, wuju Bobby, baldzo!

Pół godziny później Inka połączyła się ze swemi przyjaciółkami w Rajskiej Alei. Wykonała kilka kroków tańca marynarskiego z lalką jako

partnerką, a potem rzuciła się na łóżko i ze śmiechem przyglądała się swym przyjaciółkom przez pukle, które jej opadły na oczy.

— Powiedz, co mówił? — błagała ją Kid. — Małośmy obie karków nie powykręcały, wychylając się za poręcz, ale nie usłyszałyśmy ani słowa.

— Pocałował cię? — spytała Henrjetta.

— N - nie! — W tonie, jakim to powiedziała, była jak gdyby odrobina żalu. — Ale pogłaskał mnie po głowie. Doskonale umie bawić się z dziećmi. Moznaby pomyśleć, że skończył kurs ochroniarstwa.

— O czym mówiliście? — pytała Kid.

Inka w krótkości streściła rozmowę.

— A we środę weźmie mnie z sobą do cyrku — zakończyła — pokazać mi słonie.

— Wdowa nie pozwoli ci iść — wtrąciła Henrjetta.

— Właśnie, że pozwoli! — rzekła Inka. — Iść do cyrku z wujem, to nic złego, zwłaszcza podczas feryj. Jużemy to sobie ułożyli. Odwiezie mnie Miss Wadsworth. Słyszałam, że ona ma być u dentysty — a on będzie na mnie czekał na stacji z dorożką —

— Raczej z dziecinnym wózcikiem — wtrąciła Kid.

— Miss Wadsworth za nic na świecie nie weźmie cię do miasta w *tej* sukience — zauważyła Henrjetta.

Inka opłotła dłońmi swe kolana i kiwała się wtył i naprzód, wciąż się uśmiechając.

— Myślę — zaczęła — tym razem zrobić mu prawdziwą niespodziankę.

I zrobiła.

Jeszcze przed nadejściem zapowiedzianego wieczoru posłała do krawcowej swą suknię i kazała jej spuścić zakładkę o dwa cale. Całe przedpołudnie spędziła na przerabianiu swego kapelusza tak, aby miał wygląd możliwie „dorosły“, a do tego kupiła woalkę w rzucik! Prócz tego wydała całych dwadzieścia pięć centów na szpilki do włosów i kazała się wysoko uczesać. Od Kid Mc Coy pożyczyła futrzany kołnierz i mufkę, od Henrjetty bransoletkę z zegarkiem, a kiedy siadała obok oszołomionej Miss Wadsworth, obie koleżanki zapewniały ją, że wygląda naprawdę *staro*.

Przyjechały do miasta trochę późno dla Miss Wadsworth. Inka zaczęła szukać pana Pendletona w poczekalni.

— Tam jest wuj Robert! — rzekła.

Co usłyszawszy, spiesząca się Miss Wadsworth, ku wielkiemu zadowoleniu Inki, pozwoliła jej samej podejść do wuja.

Podeszła ku niemu w sposób bardzo zblazowany i wyciągnęła do niego rękę. Rzuciki woalki jak gdyby go oślepiły; przez jakiś czas nie poznawał jej.

— Panie Pendleton! Jak się pan ma? — uśmiechnęła się Inka serdecznie. — To istotnie bardzo pięknie z pańskiej strony poświęcać tyle czasu, aby mnie rozerwać. I co za oryginalna myśl — iść do cyrku! Nie byłam w cyrku już długie lata. Będzie to dla mnie prawdziwym wypoczynkiem po tych dozach Szekspira i Ibse-
na, jakimi nas tej zimy teatry raczą.

Pan Pendleton podał jej bezwładną rękę i nie zwracając się do niej ani słowem, zawołał do-
rożkę. Usiadłszy w kącie, przyglądał się jej przez trzy dobre minuty, poczem zadarł głowę wtył i roześmiał się.

— Mocny Boże, Inko! Czyż myślisz mi powiedzieć, że już dorosłaś?

Inka również się roześmiała.

— Cóż robić, wuju Bobby! A cóż ty myślisz o tem?

*

Kolacja w połowie już minęła, kiedy Inka wróciła.

Padłszy na swoje krzesło, rozwinęła serwetę z miną kobiety, rozrywanej na wszystkie strony.

— No i jakże tam było? — pytały ją koleżanki. — Opowiedz-że! Ładnie było w cyrku?

Inka potwierdziła ruchem głowy.

— Cyrk był zachwycający — słonie też — i wuj Bobby także. Po przedstawieniu byliśmy na herbacie. Dał mi bukietek fiołków i pudełko czekoladek — zamiast tej książki z powiastkami. Powiedział, że nie chce, aby osoba w moim wieku nazywała go „wujem Bobby“ — wobec czego musiałam „wuja“ wyrzucić. To śmieszne, ale on naprawdę wygląda młodziej, niż przed siedmiu laty. Powiedział też, że często ma interesy w sąsiedztwie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ZWIĄZEK STOWARZYSZONYCH SYREN.

Ludka pojechała do domu, aby przyjść trochę do siebie po ciężkiem zapaleniu oczu. Zuzia wyjechała do Porto Rico, aby spędzić dwa tygodnie z ojcem i Flotą Atlantycką. Inka samotna i opuszczona skazana była na towarzystwo koleżanek. Inka sama, bez przyjaciółek, łatwo mogła narobić bigosu.

W sobotę, po odejździe obu przyjaciółek, Inka, Renia Patton i Mira Mertelle zrobiły pod opieką Miss Wadsworth wycieczkę do miasta, aby załatwić tam niektóre sprawunki wiosenne. Inka i Renia potrzebowały nowych kapeluszy — prócz mniej ważnych rzeczy, jak rękawiczki, trzewiki i wstążki — zaś Mira miała przymierzyć nowy kostjum. Po załatwieniu tych spraw poświęcono popołudnie zabawie, przynajmniej takiej zabawie, jakiej może dostarczyć przedstawienie tragedji Szekspira.

Kiedy jednak przyszły do teatru, dowiedziały się, iż główna bohaterka uległa, jadąc na przed-

stawienie, wypadkowi samochodowemu i odniosła takie skaleczenia, że nie mogła wystąpić, wobec czego kasa zwracała pieniądze za bilety. Ponieważ dziewczęta w dalszym ciągu domagały się jakiegoś przedstawienia popołudniowego, Miss Wadsworth pośpiesznie zaczęła szukać czegoś, coby mogło zastąpić Hamleta.

Miss Wadsworth była damą w średnim wieku, chwiejną, dającą sobą łatwo kierować, bardzo dobrze wychowaną i nadzwyczajnie przestrzegającą przyzwoitości. Sama zdawała sobie sprawę ze swego braku charakteru, wobec czego sumienie starała się wynagrodzić tę kardynalną wadę opiekunki uporem, który stale sprzeciwiał się wszystkiemu, co wybrały panienki, znajdujące się pod jej opieką.

Dziś właśnie naparły się farsy francuskiej z Johnem Drew w głównej roli. Miss Wadsworth powiedziała „nie“ z całą stanowczością, na jaką mogła się zdobyć i sama wybrała dramat, zatytułowany „Czarodziej z nad Nilu“, przekonana, że to odświeży znajomość pańienek starożytnego Egiptu.

Pokazało się jednak, że ten Czarodziej jest nowożytną i sparodjowaną imitacją prawdziwego czarodzieja. Sztuka była ultra-modern angielska

z francuskim zapaszkiem. Rzecz działa się w dzisiejszych czasach a sceną była terasa hotelu Shepherd. Bohaterka występowała w długich, obcisłych sukniach z szyfonu i złota, uszytych w stylu Kleopatry paryskim krojem. Długie nausznicze zwisały jej z uróżowanych uszu, a oczy były sztucznie w kątach przedłużone, aby miały ten ujmujący, egipski, skośny zarys oka. Była bardzo piękna i bardzo okrutna. Szczytem jej obrzydliwej, rafinowanej przewrotności, było to, że *palila papierosy!*

Biedna, oszołomiona Miss Wadsworth siedziała przez cztery akty zgryziona, ledwo śmiejąc oddychać, przerażona i zachwycona; a będące pod jej opieką trzy panienki były poprostu tylko zachwycone. W ich oczach Kair stał się królestwem przygód miłosnych, o jakich w skromnych murach Zakładu św. Urszuli nikomu ani się nawet nie śniło. Hotel Shepherd stał się Mekką wszystkich podróży.

Tej nocy, późno już po dzwonku na gaszenie świateł, kiedy myśli Inki stały się miłą plataniną sfinksów, piramid i angielskich oficerów, zbudził ją nagle dotyk dwóch rąk, wynurzających się z ciemności, a które złapały ją, jedna za lewe, druga za prawe ramię. Siadła na łóżku z pół-

głośnym okrzykiem i bardzo wyraźnie, niemal donośnie, zapytała:

— Kto tu?

W tej chwili dwie dłonie natychmiast zamknęły jej usta.

— Pst! Cicho bądź! Czyś rozum straciła?

— Drzwi Mademoiselle są narozcież otwarte i Lordunia siedzi u niej.

Renia usiadła na jej łóżku po prawej stronie, a Mira Mertelle po lewej.

— Czego chcecie? — zapytała Inka niechętnie.

— Przyszedł nam do głowy wspaniały pomysł — szepnęła Renia.

— Tajne stowarzyszenie! — objaśniła Mira Mertelle.

— Dajcie mi spokój! — mruknęła Inka. — Spać mi się chce.

Legła znowu na ciasnem, wolnem miejscu, pozostawionem jej przez towarzyszki. Ale one nie zwracały uwagi na jej niegościnnosć, lecz zawiąawszy się szczelniej w swe kąpielowe płaszcze, usadowiły się wygodnie i zaczęły mówić. Inka, której pod kołdrą było wygodnie i ciepło — gdy one drżały z zimna — musiała wreszcie użyzyć im sennego ucha.

— Wymyśliłam nowy związek — rzekła Mira Mertelle. Nie myślała bynajmniej podzielić się sławą wynalazku z Renią. — Tym razem będzie to związek tajny *naprawdę*. Nie mam zamiaru dopuszczać do niego całej szkoły. Tylko my trzy będziemy do niego należały. A ten związek nie będzie miał tylko kilku zwarjowanych tajemnic; on będzie miał swój *cel*.

— Nazwiemy go Związkiem Stowarzyszonych Syren — wtrąciła pośpiesznie Renia.

— Jak? — zapytała Inka.

Renia powtórzyła dźwięczną nazwę.

— Zwią—zek Sto—wa—rzy—szo—nych Syren — mruzczała Inka sennie. — To trudno wymówić!

— O, nie będziemy przecie tej nazwy wywoływały publicznie! To tajemnica. Będziemy go określały literami Z. S. S.

— Cóż ten związek będzie robił?

— A przyrzekniesz nie powiedzieć nikomu? — zapytała Mira ostrożnie.

— Tak, rozumie się, że nikomu nie powiem.

— Ani nawet Zuzi i Ludce, jak przyjadą?

— Przyjmiemy je na członkinie.

— Dobrze — może być — ale to jest związek w tym rodzaju, że lepiej, aby był jak najmniej

liczny. A my trzy jesteśmy właściwie jedyne, które mogą być jego prawdziwymi członkiniami, ponieważ widziałyśmy sztukę. Ale jeszcze coś; musisz nie mówić nic nikomu bez pozwolenia mojego i Reni. Przyrzekasz?

— Naturalnie! Przyrzekam. Więc o cóż chodzi?

— Zostaniemy syrenami! — szepnęła Mira tajemniczo. — Będziemy piękne, zachwycające i okrutne —

— Jak Kleopatra — rzekła Renia.

— I będziemy się mściły na mężczyźnie — dodała Mira.

— Mścić się — zaco? — spytała Inka, nieco zdziwiona.

— Jakto — zaco? Za to, że oni łamią nasze serca i burzą wiarę w —

— Mojego serca nikt nie złamał.

— Jeszcze nie — rzekła Mira z odcieniem zniecierpliwienia — ponieważ mężczyzn dotychczas nie poznałaś, ale kiedyś niezawodnie ich poznasz, a wtedy serce twoje zostanie z pewnością złamane. Musisz mieć broń w pogotowiu.

— Chcesz pokoju, gotuj wojnę! — zacytowała Renia.

— A jak wam się zdaje — czy być syreną, to naprawdę w dobrym tonie?

— *Najzupełniej* w dobrym! — odpowiedziała Mira. — Tylko dama może być syreną. Słyszałaś kiedy o jakiej praczce, któraby była syreną?

— N—nie! — przyznała Inka. — Nie przypominam sobie.

— A popatrz tylko na taką Kleopatę — wtrąciła Renia. — Jestem pewna, że ona była damą.

— Więc dobrze! — zgodziła się Inka. — Cóż będziemy robiły?

— Będziemy piękne i zachwycające i będziemy miały fatalny urok, który da nam władzę nad każdym, kto się do nas zbliży.

— Myślicie, że to zrobić potrafimy?

W głosie Inki brzmiała nutka wątpliwości.

— Mira ma książkę — wtrąciła Renia pośpiesznie — o „Piękności i Wdzięku“. Trzeba robić na twarz okłady z owsianki, olejku migdałowego i miodu, wystawiać włosy na słońce, okładać nos plasterkami cytryny, żeby był biały, spać w rękawiczkach i —

— Prawdę mówiąc, powinnyby się też brać kąpiele z mleka oślic — przerwała Mira — Kleopatra to robiła, ale mnie się zdaje, że tu nigdzie mleka oślic się nie dostanie.

— A prócz tego musisz się nauczyć śpiewać i mieć jakąś własną pieśń, jak na przykład „Lore-

lei“, którą śpiewasz zawsze, jak tylko chcesz zwabić ku sobie jakąś ofiarę.

Cały projekt był obcy zwykłemu sposobowi myślenia Inki, ale miał w sobie coś nowego i niezwykłego. Ani Mira, ani Renia nie należały do dziewcząt, które ona pragnęłaby mieć za swe sojuszniczki, ale okoliczności je tego wieczoru podsunęły, a Inka była wierną duszą. Prócz tego jej zdrowy rozum był trochę zachwiany; wciąż jeszcze znajdowała się pod urokiem egipskiej kusicielki.

Omawiały nowy związek przez kilka minut jeszcze, gdy naraz usłyszały głos Miss Lord, życzącej Mademoiselle dobrej nocy.

— Lordunia! — szepnęła Inka ostrzegawczo. — Zdaje mi się, że będzie lepiej, jak pójdziecie do łóżka. Resztę możemy omówić rano.

— Tak, chodźmy do łóżka — rzekła Renia, drżąc. — Ja się cała trzęsę z zimna.

— Ale przedewszystkiem musimy złożyć przysięgę. Powinnybyśmy zrobić to o północy. — może być jednak, że wpół do jedenastej też wystarczy. Powtarzajcie rotę przysięgi za mną.

Podaly sobie ręce i zaczęły szeptać:

— Uroczycie przyrzekam zachowywać w tajemnicy nazwę i cel tego stowarzyszenia, a gdybym

przysięgę złamała, bodajbym została piegowata, łysa, zezowata i z krzywymi zębami teraz i na zawsze.

Trzy członkinie Z. S. S. poświęciły kilka następnych dni starannej lekturze dzieła o Piękności, jak najdokładniej starając się zastosować do znajdujących się w niem przepisów. Niektóre w sposób wprawiający w zakłopotanie uderzały zawartemi w nich sprzecznościami. Naprzykład — należało wystawiać na słońce włosy, ale nie twarz. Mimo to udało im się jakoś pokonać tę trudność. Tygodniowa pensja poszła na skórkę irchową. Wszystkie godziny rekreacyjne spędzały na wzgórkach na końcu pastwiska, siedząc cierpliwie rzędem, z rozwianemi włosami i z maskami domowej roboty na twarzach.

Pewnego popołudnia mała wstępniaczka, wędrując przez pole podczas gry w „chowanego“, zaszła je niepostrzeżona i uciekła na bezpieczny teren boiska, gdzie wpadła między koleżanki z przerażonym piskiem. Pensję zaczęły obiegać niejasne pogłoski, dotyczące celu i planów nowego stowarzyszenia. Plotki robiły z nich krańcowo to indyjskie skwaw, to znów kapłanki druidyczne.

Na największą trudność napotkały przy zdobywaniu niezbędnych ingrediencyj do okładów

z mąki owsianej. Płatki i cytrynę dostały stosunkowo łatwo; kucharka dała im je bez długiego gadania. Ale przy miodzie utknęły. W spiżarni było mnóstwo dzbanów, pełnych miodu, lecz okna były zakratowane, a klucze spoczywały na dnie kieszeni Nory. Stanąwszy wobec bezpośredniej konieczności stania się pięknymi, nie mogły siedzieć z założonemi rękami pięć dni i czekać na dzień wycieczki do miasta. Prócz tego ze względu na nadzór nauczycielki, kupienie miodu było rzeczą niemożliwą. Miód był artykułem kontrabandy, podobnie jak słodycze, marmelada i pikantne przysmaki.

Długo rozprawiły o możliwości przekradnięcia się przez żelazną kratę lub o zachloroformowaniu Nory i wykradzeniu jej kluczy, ale wreszcie Inka przeprowadziła sprawę przy pomocy zwykłego pochlebstwa. Pewnego popołudnia wpadła do kuchni z płaczącą skargą, że jest głodna. Nora natychmiast dała jej szklankę mleka i chleb z masłem, zaś Inka usiadła na rogu stołu kuchennego i rozpoczęła rozmowę. Dziewczętom właściwie nie wolno było chodzić do kuchni, ale zakazu tego nigdy bardzo ściśle nie przestrzegano. Nora była kobietą towarzyską i lubiła, jak ktoś przychodził do niej w odwiedzinę. Inka naprzód

zaczęła wychwalać budyń jabłkowy, jaki był na deser poprzedniego wieczoru, następnie wdała się w dyskusję o pewnym, bardzo interesującym, młodym blacharzu, który w tej chwili zaprzętał myśli Nory, wreszcie, zupełnie naturalnie przeszła do miodu i zanim wyszła z kuchni, Nora obiecała jej, że na drugi dzień rano, zamiast marmelady da jej miód na śniadanie.

Członkinie Z. S. S. przyniosły z sobą na śniadanie papierki i bez trudu zdołały pewien zapas miodu przenieść z talerzyków, znajdujących się na stole, na papierki na kolanach.

Ale mimo to nie obeszło się bez wypadku. Niez szczęśliwym zbiegiem okoliczności Inka zderzyła się z Eweliną Smith w górnym hallu tak, że upuściła swój papierek miodową stroną na dywanik. W tej chwili nadeszła od strony korytarza Miss Lord. Inka była młodą, pomyslową osobą i rzadko kiedy dawała się zaskoczyć tak, aby stracić przytomność! Uklękła na środku hallu i z szeroko rozłożoną spódniczką zaczęła gorączkowo szukać na podłodze rzekomej stalówki.

— Czyż musisz zaraz zatarasować cały hall?

— rzekła Miss Lord, przechodząc koło niej.

Dywanik nie był na szczęście przymocowany do podłogi, tak, że Inka odwróciwszy go na drugą

stronę, zatarła za sobą wszelkie ślady wypadku. Obie jej koleżanki miały dość szlachetności, aby się z nią podzielić swemi porcjami.

Przez trzy bezsenne noce oklejały się temi kataplazmami, a kataplazmy przyklejały się do nich. Mimo częstego mycia się w ciepłej wodzie cera na ich twarzach wyraźnie zaczęła się łuszczyć.

Miss Sallie, która w Zakładzie św. Urszuli reprezentowała urząd zdrowia, spotkała pewnego poranku Inkę Wyatt w hallu. Wziąwszy ją pod brodę podniosła jej twarz pod światło. Inka zakłopotana, wykręcała się na wszystkie strony.

— Kochane dziecko! Co to się dzieje z twoją twarzą?

— Ja — ja — sama nie wiem dobrze. Zdaje się, że to coś — coś — w rodzaju pryszczków.

— Tak samo i ja myślę. Co jadłaś?

— Tylko to, co podawano do stołu — rzekła Inka, z uczuciem ulgi mówiąc prawdę.

— Coś jest nie w porządku z twoją krwią — postawiła diagnozę Miss Sallie. — Potrzebujesz koniecznie czegoś na przeczyszczenie krwi. Zareceptuję ci specjalne ziółka.

— O, Miss Sallie! — broniła się Inka usilnie. — To niepotrzebne, *naprawdę!* Jestem z całą pewnością zupełnie zdrowa.

Miała sposobność poznać się już z temi ziółkami; był to najbardziej gorzki dekokt, jaki kiedykolwiek piła.

Kiedy Miss Sallie spotkała Mirę Mertelle z temi samemi pryszczykami, a potem znowu Renię Patton, zaczęła się niepokoić. Będące pod jej nadzorem jabłonie na folwarku zostały tego roku dotknięte wysypką St. Jose, powątpiewała jednak, aby ta choroba mogła się udzielić pensji. Tegoż popołudnia pod własnym dozorem kazała ugotować ziółka w gigantycznych ilościach, a przed pójściem spać ociągające się pensjonarki uformowano w szereg i kazano im defilować przed Miss Sallie, która z chochłą w ręce stała przy wielkiej wazie na poncz. Każda pensjonarka otrzymywała swoją porcję i piła ją z takim wdziękiem, na jaki mogła się zdobyć, póki nie przyszła kolej na Inkę. Inka mianowicie wylała swoją porcję ziółek do błękitnej wazy chińskiej, w której stawiano parasole. Reszta szeregu z powodzeniem poszła za jej przykładem.

Miss Sallie przez kilka najbliższych dni pilnie obserwowała swe wychowanki; pryszczyki zniknęły. (Stowarzyszone Syreny wyrzuciły okłady). Bardziej niż kiedykolwiek przekonana była o skuteczności swych ziółek.

Wkrótce po założeniu Stowarzyszenia Mira Mertelle przyjechawszy z wycieczki do domu, jaką urządziła z końcem tygodnia *), przywiozła z sobą trzy bransoletki, ukute ze splecionych zwojów a przedstawiające węża, gryzącego się w ogon. Między jego szmaragdowymi oczami wyryte były malutkie literki Z. S. S.

— Cudowne! — rzekła Inka z wdzięcznym uznaniem. — Ale co znaczy ten wąż?

— To nie wąż, to żmija — tłumaczyła Mira. — Wyobrażenie Kleopatry. Ona była Żmiją Nilu. My będziemy żmijami Hudsonu.

Z pojawieniem się bransoletek, ciekawość, jaką stale powodował Z. S. S., wzrosła, jednakże stowarzyszenie to tem różniło się od innych, pojawiających się od czasu do czasu, iż jego *raison d'être* pozostawało w dalszym ciągu tajemnicą. Pensja naprawdę zaczęła wierzyć, iż stowarzyszenie ma jakąś tajemnicę. Miss Lord, która miała reputację osoby bardzo ciekawej, zatrzymała pewnego dnia Inkę, wychodzącą z klasy po godzinie Wergilego, i z podziwem zaczęła oglądać nową bransoletkę.

*) Week-end — koniec tygodnia, obejmujący połowę soboty i niedzielę.

— A co mogą znaczyć litery Z. S. S.? — zapytała.

— To stowarzyszenie tajne — odpowiedziała Inka.

— Ach, tajne stowarzyszenie! — uśmiechnęła się Miss Lord. — Wobec tego przypuszczam, że nazywa się „Głęboką Tajemnicą“. — Mówiąc to, zniżyła głos swój do grobowego basu.

W sposobie zachowania się Miss Lord było coś szczególnie drażniącego; miało się, wciąż wrażenie, że ona bawi się jakimiś niedorzecznościami swych małych wychowanek. Nie miała szczęśliwej umiejętności Miss Sallie traktowania ich jak równe. Miss Lord patrzyła na nie zgóry (przez binokle).

— Nazwa istotnie jest tajemnicą — rzekła Inka. — Gdyby ta tajemnica się wydała, cała rzecz straciłaby swe znaczenie.

— A jakież są cele tego sławetnego stowarzyszenia? Albo może i to jest tajemnicą?

— Tak, oczywiście, że jest, nie potrzebuję pani chyba o tem mówić.

Inka uśmiechnęła się do Miss Lord niewinnym, seraficznym uśmiechem, który znających ją dobrze ostrzegał zawsze, iż teraz najlepiej będzie dać jej spokój.

— Jest to coś w rodzaju odgałęzienia Związku Blasku Słonecznego — rzekła, niby zwierzając się. — Mamy — no, niech już będzie, uśmiechać się do ludzi, rozumie pani, i robić ich podobnymi do siebie.

— Rozumiem! — odpowiedziała Miss Lord z miną przyjacielskiego zrozumienia. — A więc litery Z. S. S. oznaczają Związek Słońca i Śmiechu?

— Proszę panią! Niechże pani tego głośno nie mówi! — Inka zniżyła głos i niespokojnie obejrzała się, czy kto nie podsłuchuje.

— Nie powiem nikomu za żadne skarby świata! — przyrzekła Miss Lord uroczyście.

— Dziękuję pani! — mówiła Inka. — Byłoby straszne, gdyby się to wydało.

— Jest to bardzo miłe, prawdziwie kobiece stowarzyszenie — pochwaliła Miss Lord. — Nie powinnyście jednak zachowywać go wyłącznie tylko dla siebie. Nie mogłybyście mnie przyjąć na honorową członkinię Z. S. S.?

— Oczywiście, Miss Lord! — rzekła Inka słodko. — Jeśli pani zależy na tem, aby do nas należeć, przyjmiemy panią z rozkoszą.

— Lordunia chce zostać Syreną! — oświadczyła swym koleżankom, kiedy się spotkały

wkrótce po gimnastyce. Powtórzenie rozmowy przyjęto ze śmiechem. Miss Lord mogła być wszystkim, tylko nie Syreną.

— Sądzę, że trochę uśmiechów rozjaśni pomroki lekcji łaciny — tłumaczyła Inka. — Lordunię bawi myśl, że pomaga dzieciom w ich igraszkach; to dzieciom przecie żadnej krzywdy nie robi.

Przez jakiś czas Z. S. S. kwitł całem naturalnem zdrowiem młodości, lecz kiedy blask nowości przybladł, staranie się o piękność zaczynało się robić coraz uciążliwsze. Mira i Renia w dalszym ciągu studjowały księgę z zawziętością — przedmiot jej leżał na linji ich przyrodzonych ambicyj — ale Inkę zaczęły nęcić inne rozrywki. Rozpoczęły się wiosenne sporty w polu a bliska pora dorocznego „matchu“ z Highland Hall wpłynęła na zmniejszenie jej zainteresowania się cold creamem i olejkiem migdałowym. Ona i Mira nie były duszami pokrewnemi, i wbrew naleganiom Miry, Inka stawiała się syreną coraz bardziej apatyczną.

Pewnej soboty, właśnie z nastaniem wiosny, Inka otrzymała pozwolenie na zjedzenie w mieście śniadania razem z „Wujem Bobby“. Jak wiadomo, był on tylko „wujem z grzeczności“,

ale Inka zapomniała poinformować Wdowę, że ten tytuł nie pochodził z przyrodzonych praw pokrewieństwa. Wiedziała dobrze, czemuby się to skończyło. Niema nic złego w zjedzeniu śniadania z wujem; byłoby to jednak zupełnie nie stosowne z najstarszym i najbardziej łysym przyjacielem rodziny.

Gdy o zmroku wrócił karawan z Mademoiselle i temi panienkami, które były w mieście, Renia Patton czekała w bramie. Wziąwszy Inkę nabok, szepnęła:

— Stała się straszna rzecz!

— Co? — zapytała Inka.

— Z. S. S. Wszystko wykryte!

— Nie może być! — wykrzyknęła Inka przerażona.

— Tak. Chodź tu.

Renia wciągnęła ją do pustej garderoby i zamknęła za sobą drzwi.

— Wykryto nazwę — i wszystko? — pytała Inka, z trudnością łapiąc oddech.

— Niezupełnie wszystko, ale doszłoby i do tego, gdyby nie Lordunia. Ona nas uratowała.

— Lordunia nas uratowała? — w głosie Inki było niedowierzanie zmieszane z przestraczeniem.

— Co to ma znaczyć?

— Było tak: Wczoraj Mira była w miasteczku po sprawunki z Miss Wadsworth — a sama wiesz, jaką „duenną“ jest Miss Wadsworth!

Inka niecierpliwie przytaknęła głową.

— *Każdy* może ją wywieść w pole. I Mira, pod samym jej nosem zaczęła flirtować z pomocnikiem, sprzedającym wodę sodową.

— O! — oburzyła się Inka. — Jakież to — obrzydliwe.

— Jej na tem nie zależało, naprawdę. Chciała wprowadzić tylko w czyn zasady Z. S. S.

— Mogła sobie przynajmniej wybrać kogoś przyzwoitszego.

— Przepraszam, on jest zupełnie przyzwoity. Zaręczony jest z panienką sklepową z Bloodgood i wcale sobie nie życzy, żeby go pierwszy lepszy podlotek kokietował. Ale ty wiesz, jaka Mira Mertelle potrafi być natarczywa, kiedy się na kogoś uweźmie. Młody człowiek poprostu nie mógł się jej obronić. Był tak zakłopotany, że nie wiedział, co robi. Heli Pringle dał czekoladę pomieszaną z sarsaparillą i ona mówi, że to była strasznie okropna kombinacja. Schorowała się po tem tak, że nie mogła tknąć obiadu. A przez cały ten czas Wadunia siedziała sobie, uśmiechała

się do powietrza i nic nie widziała; ale dziewczęta widziały — *i aptekarz też.*

— O! — jęknęła Inka.

— A dziś rano Miss Sallie przyszła do apteki kupić trochę potaszu dla Henrjetty Bladden, która zachorowała na gardło, i on jej o wszystkim powiedział.

— Co Miss Sallie zrobiła? — mdlejącym głosem zapytała Inka.

— Co zrobiła? Wróciła z oczami, jak rozżarzone węgle i powiedziała wszystko Wdowie, a potem — Renia zamknęła oczy i zadrżała.

— Cóż się stało? — spytała Inka niecierpliwie.

— Wdowa była *strasznie oburzona!* Powiedziała Mirze, że skompromitowała pensję i że zostanie wydalona. Napisała telegram do ojca Miry, żeby przyjechał i zabrał ją sobie. A potem zapytała Mirę, co ona może powiedzieć na swoją obronę, a Mira powiedziała, że to nie jej wina. Że ty i ja zasługujemy na karę tak samo jak i ona, ponieważ założyłyśmy wszystkie trzy związek, tylko że ona nie może nic powiedzieć, ponieważ zaprzysięgła tajemnicę.

— Świntuch! — rzekła Inka.

— A wtedy posłali po mnie i zaczęli mnie wypytywać o Z. S. S. Próbowałam nic nie powie-

dzieć, ale ty wiesz, jak Wdowa patrzy, jak jest zła. Nawet sfinks padłby przed nią na kolana i powiedziałyby wszystko, co wie, a ja przecie nigdy nie pretendowałam do tego, żeby być sfinksem.

— Niech będzie! — mówiła Inka, zbierając siły do wytrzymania ciosu. — Cóż powiedziały, jak się dowiedziały?

— O niczem się nie dowiedziały. Właśnie chciałam już złamać przysięgę i powiedzieć wszystko, kiedy nagle wpadła Lordunia. Była *strasznie* wspaśniała! Powiedziała, że ona wie wszystko o Z. S. S., że to była nadzwyczajna instytucja i że ona sama była jej członkiem. Powiedziała, że nasze stowarzyszenie było tylko rozgałęzieniem Towarzystwa Blasku Słonecznego i że Mira nie miała najmniejszego zamiaru kokietować młodego człowieka. Poprostu chciała się uśmiechać i być uprzejmą dla każdego, a młody człowiek skorzystał z tego. A Mira powiedziała, że tak istotnie było i całą winę zrzuciła w tej chwili na młodego człowieka.

— To do niej podobne! — skinęła Inka głową.

— A teraz Mira jest *strasznie wściekła* na niego za to, że przez niego wpadła w tę całą historję. Mówi, że on jest obrzydliwym smarkaczem a za-

dartym nosem i że nigdy już nie wypije ani jednej szklanki sodowej wody, jak długo będzie w Zakładzie św. Urszuli.

— Więc pozwolili jej zostać?

— Tak. Wdowa podarła telegram. Ale dała Mirze dziesięć złych stopni i pozbawiła ją na cały tydzień deseru i kazała się nauczyć napamięć Thanatopsis. I nie wolno jej już chodzić do miasteczka po zakupy, ale jak czego będzie potrzebowała, jakiej wstążki czy pończoch, będzie musiała prosić, żeby jej któraś z koleżanek przyniosła.

— A co chce Wdowa zrobić nam?

— Nic wcale — a gdyby nie Lordunia, wszystkie trzy zostałybyśmy wydalone.

— A ja zawsze miałam Lordunię w pogardzie!
— rzekła Inka skruszona. — Czyż to nie okropne? Poprostu nikogo nie można uważać za wroga. Jak tylko przyjdiesz do przekonania, że ktoś jest potworny i cieszysz się, że go możesz nienawidzieć, ten ktoś nagle ni stąd ni zowąd staje się najlepszy w świecie.

— Nienawidzę Miry Mertelle! — odezwała się Renia.

— Ja też! — zgodziła się szczerze Inka.

— Puszczę kantem ten cały związek.

- Ja go już puściłam!
 Tu Inka spojrziała w lustro.
 — I nie stałam się ani piegowata ani zezowata.
 — Co mówisz! — złąkla się Renia, która na chwilę zapomniała o własnej przysiędze.
 — Powiedziałam o wszystkim wujowi Bobby.
 — O, Inko! Jakżeś mogła!
 — Ja — ja — to jest —
 Inka była przez chwilę zmieszana.
 — Widzisz! — zwierzyła się wreszcie. — Ja też byłam tego zdania, że byłoby wcale zajmujące zacząć od kogoś wprowadzanie naszych hasel w czyn, wobec tego zaczęłam — zaczęłam — próbować.
 — A on co?
 Inka potrząsnęła głową.
 — To była strasznie trudna robota. Nie pomagał mi ani odrobiny. A potem zauważył mą bransoletkę i zapytał, co znaczą litery Z. S. S. Wtedy powiedziałam mu wszystko, nawet nie wiedząc kiedy.
 — A co on powiedział?
 — Naprzód roześmiał się na cały głos; potem strasznie spoważniał i wygłosił długi wykład — to było istotnie bardzo wzruszające — coś w rodzaju egzorty. Potem odebrał mi bransoletkę

i schował ją do kieszeni. Powiedział, że przysłał mi za to coś ładniejszego.

— Jak myślisz, co to będzie? — zapytała Renia ciekawie.

— Przypuszczam, że to nie będzie lalka!

W dwa dni później poczta poranna przyniosła dla panny Inki Wyatt mały pakuneczek. Otworzyła go pod ławką na lekcji geometrii i znalazła w nim, zawiniętą w watę jubilerską, złotą bransoletkę, zamykającą się na zatrzaski w kształcie serca. Na dołączonym bileciku wuj Bobby napisał:

— To twoje serce. Niech będzie zamknięte, póki go nie otworzy chłopiec, który ma do niego klucz.

Inka wzięła nabok Renię, wracającą z lekcji francuskiego, i w tajemnicy pokazała jej bransoletkę.

Renia przyglądała się jej z pełnem uczuciem zajęciami.

— A co on zrobił z kluczem? — zdziwiła się.

— Przypuszczam — odpowiedziała Inka — że ma go w swojej kieszeni.

— Jakie to strasznie romantyczne!

— Takby się istotnie mogło zdawać — przyznała Inka, udając, że wzdycha. — Ale w rzeczywistości tak nie jest. On ma trzydzieści lat i zaczyna już лысiec.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

PRZEMIANA KID Mc COY.

Miss Mc Coy z Texas trzy lata była poddana łagodzącym obyczajom wpływowi Zakładu św. Urszuli, jednakże bez widocznego rezultatu. Jak była tak i pozostała nadal najbardziej nieposkromionym urwisem, jakiego kiedykolwiek przyjęto i trzymano na szanującej się pensji.

„Małgorzata“ było imieniem, jakie rodzice dla niej wybrali, kiedy w minach złotych, w których miała szczęście się urodzić, pojawił się biskup, co kwartał wizytujący te tereny. Imienia tego używali jeszcze jej nauczyciele, wypisywano je też stale w sprawozdaniach, posyłanych co miesiąc jej opiekunowi w Texas. Właściwem jednak jej imieniem było Kid *), nadane jej przez cowboyów rancho **) i „Kidem“ została w Zakładzie św. Urszuli, wbrew poważnym przedstawieniom niezadowolonych z tego dam.

*) Po ang. — koźlą.

**) Rancho — wielka zagroda dla bydła, mogąca pomieścić niekiedy i kilka tysięcy sztuk.

Dzieciństwo Kid było barwne w stopniu rzadko spotykanym poza powieściami Nicka Cartera. Miała awanturniczego ojca, który przenosił się z jednego terenu minowego na drugi, to robiąc majątek, to znów tracąc go. Bywał często pod wozem i na wozie. Umarł — poniekąd na szczęście dla niej — właśnie w jednej z chwil kiedy ostatnio zrobiony przezeń majątek znajdował się u szczytu, i córka pozostała pod opieką jednego z jego przyjaciół, Anglika, zamieszkałego w Texas. Trzy następne lata swego burzliwego życia spędziła Kid na ranchu opiekuna, zaś trzy następne w cichych murach Zakładu św. Urszuli.

Opiekun sam ją przywiózł i po poważnej konferencji z Wdową, pozostawił w Zakładzie, w przekonaniu, że kultura Wschodu*) stoi kulturalnie o wiele wyżej od Zachodu, który do niedawna jeszcze był „dzikim“. Co do tego jednak, to się omylił; kultura Wschodu pozostawiła Kid niekniętą. Jeśli tu mogła być mowa o jakimś „urabianiu“, to jedyna i sama tylko Kid urabiała glinę.

Realne życie, z którym się zetknęła w kopalniach złota i w „ranchach“, wykluczało wszystko, co nie było rzeczywiste. Francuzowi, nauczycie-

*) Wschód w Ameryce.

lowi tańca, który uczył ich grzecznego naśladownictwa hiszpańskiego walca, tak zademonstrowała, jak wygląda ten taniec w rzeczywistości, tańczony przez meksykańskich cowboyów w rancho jej opiekuna, iż biedak aż dech stracił z zachwytu. Anglikowi, nauczycielowi jazdy konnej, który na wiosnę i w jesieni przychodził uczyć panienki poprawnego kłusa, dała taką lekcję jazdy naoklep, iż wywołała zdumione pytanie:

— Czy ta młoda dama uczyła się jazdy konnej w cyrku?

Kid była hałaśliwa, mówiła gwara, chętnie dokazywała, bywała czasem niepohamowana; droga jej usiana była naganami i mniejszemi karami, panienka jednak nigdy nie dopuściła się jakiegoś naprawdę brzydkiego postępku. Mimo to przez trzy długie lata Zakład św. Urszuli z zapartym tchem z dnia na dzień oczekiwał jakiejś awantury. Z usposobienia Kid Mc Coy sądząc, dziewczyna prędzej czy później musiała wywołać jakąś sensację.

Kiedy wreszcie sensacja ta wybuchnęła, była zupełnie nieoczekiwanego rodzaju.

Kid właśnie mieszkała z Renią Patton — zmieniała współlokatorki tak często, jak trzewiki. Renia była bardzo miłą istotką, kwintesencją ko-

biecości. Wdowa umieściła je razem w nadziei, że dobry przykład Reni wpłynie uspokajająco na burzliwe i niespokojne usposobienie Kid. Narazie jednak Kid została, jaką była, zaś Renia wyglądała, jak gdyby była trochę zmęczona.

Naraz nastąpiła zmiana.

Pewnego wieczoru Renia wpadła do pokoju Inki Wyatt nadzwyczaj podniecona.

— I cóż ty na to powiesz! — zawołała. — Kid Mc Coy mówi, że chce zostać damą.

— Czem? — Inka wynurzyła się z prześcieradła, którem się właśnie wycierała po kąpieli.

— *Damą.* Siedzi na ziemi i przewleka niebieskimi wstążeczkami hafty swej nocnej koszuli.

— Cóż się jej znów stało? — zapytała Inka.

— Przeczytała książkę, którą przywiozła Mira Mertelle.

Renia usiadła po turecku na kanapce pod oknem, ułożyła z gracją fałdy swego różowego kimona na kolanach i pozwoliła dwom lokom swych złotych włosów opaść malowniczo na ramiona. Była już ubrana do spania i spokojnie mogła czekać na ostatnie uderzenie dzwonka, nakazującego gaszenie światel.

— Cóż to za książka? — pytała dalej Inka z pewną obojętnością w głosie.

— Jest to historia młodego, słodkiego dziewczęcia angielskiego, którego ojciec miał wielkie plantacje herbaty w Azji czy tam w Afryce, nie wiem. W każdym razie było tam bardzo gorąco, a oprócz tego było tam mnóstwo murzynów, węzów i stonóg. Matka tej panienki umarła, a ją samą oddano na pensję, kiedy jeszcze była małą dziewczynką. Jej ojciec był bardzo złym człowiekiem. Pił, kłął i palił. Jedyłą rzeczą, jaka powstrzymywała go od tego, aby został zupełnie złym człowiekiem, była myśl o słodkiej, małej, złotowłosej córeczce w Anglii.

— No i cóż się stało? — pytała Inka, ziewając dyskretnie. Renia zawsze gotowa była zagłębić się w złotowłosym sentymencie, o ile się jej w jakiś, choćby trochę szorstki sposób nie doprowadziło do przytomności.

— Czekaż-że! Właśnie do tego idę. Jak skończyła siedemnaście lat, wróciła do Indyj, aby się opiekować ojcem, ale jak na złość, on dostał porażenia słonecznego i umarł. I na swoim łożu śmiertelnem powierzył Rozamundę — tak jej było na imię — swemu najlepszemu przyjacielowi, poleciwszy mu opiekować się nią. W ten sposób Rozamunda zamieszkała z swym opiekunem i prowadziła mu gospodarstwo w jego bungalowie i sta-

rała się, aby w niem było pięknie i zacisznie i wygodnie i nie pozwalała mu ani pić, ani kłać, ani palić. Więc gdy spoglądał w przeszłość —

— Gryzły go wyrzuty sumienia na myśl o straconych latach — uzupełniła gładko Inka — i pragnął żyć tak, aby w dalszym ciągu stać się godnym słodkiego, kobiecego wpływu, który zmienił zupełnie jego występny tryb życia —

— Czytałaś to! — wykrzyknęła Renia.

— Ani mi się śniło! — odpowiedziała Inka.

— Bądź co bądź — mówiła dalej Renia z wyzywającą miną — zakochali się i pobrali —

— A jej ojciec i matka, patrząc na nich z nieba uśmiechali się, błogosławiąc kochaną, małą córeczkę, która tyle szczęścia wniosła w osamotnione serce?

— No — tak! — zgodziła się Renia z pewnem wahaniem.

Nie było uczucia, którego by ona nie potrafiła przełknąć, wiedziała jednak z zabójczego doświadczenia, że Inka nie była pod tym względem tak żarłoczna.

— Istotnie, nadzwyczaj wzruszająca historia — mówiła Inka — ale o ile dotyczy Kid Mc Coy?

— Jakto? Nie rozumiesz? — fiołkowe oczy Reni rozszerzyły się z zainteresowania. — To

przecie dosłownie historja Kid. Zrozumiałam to, jak tylko zaczęłam czytać książkę, i z strasznym trudem po dłuższym czasie dopiero zdołałam ją nakłonić, aby ją przeczytała. Z początku wyśmiewała się z niej, ale kiedy rozczytała się na dobre, przyznała sama podobieństwo. Mówi teraz, że to Ręka Przeznaczenia.

— Historja Kid! Co też ty mówisz?

Inkę zaczęło to zajmować.

— Kid ma podobnego opiekuna, bezbożnego Anglika, jak Rozamunda w książce. Jak tam jest, tak jest, ale on jest Anglik, a ona twierdzi, że prawdopodobnie jest bezbożny. Właściciele ranch są przeważnie bezbożni. Żyje na swem rancho sam, mając jedynie starych pastuchów za towarzyszy i koniecznie potrzebuje w swym domu słodkiego, łagodnego wpływu kobiety. Wobec tego Kid postanowiła zostać damą, wrócić do Texas, wyjść za mąż za opiekuna i zrobić go szczęśliwym na całe życie.

Inka padła na łóżko i zaczęła fikać nogami z radości. Renia wstała i przyglądała się jej surowo.

— Nie widzę w tem nic śmiesznego — ja uważam to za bardzo romantyczne.

— Kid wywierająca łagodny, kobiecy wpływ!
— chichotała Inka. — Nie potrafi być damą ani przez godzinę. Jeśli sądzisz, że ona mogłaby —

— Miłość — oświadczyła Renia — dokonała już większych cudów niż ten — poczekaj a zobaczysz.

Cała pensja zobaczyła. Nawrócenie się Kid Mc Coy stało się sensacją roku. Nauczycielki przypisywały korzystną zmianę jej zachowania się Reni, i mimo, że były z tego nadzwyczaj zadowolone, nie wierzyły, aby to mogło trwać długo. Ale tydzień mijał za tygodniem, a zachowanie się Kid nie zmieniło się.

Kid Mc Coy nie chciała już, aby ją tak nazywano. Od przyjaciółek żądała, aby ją nazywały Małgorzata. Zarzuciła gwarę a zaczęła uczyć się haftować; podczas wieczornych „Podróży po Europie“ i Historji Sztuki siedziała ze złożonemi rękami i łagodną miną, zamysłona podczas gdy zwykle wierciła się bezustannie na swem miejscu, trącając swe sąsiadki i nie dając im spokoju. Z własnej woli zaczęła ćwiczyć gamy. Z przyczyny tego wszystkiego zwierzyła się Reni, a Renia reszcie pensji.

Tam, na ranchu, oni potrzebowali łagodzącego wpływu muzyki. Jednooki Joe grał na akordjonie i to była cała ich muzyka. Pensja miała wi-

dzenie przemienionej Małgorzaty, ubranej biało, siedzącej przy pianinie o zmroku i śpiewającej słodko „Różaniec“, podczas gdy opiekun przyglądał jej się ze złożonymi jak do modlitwy rękami, a cowboye, z wielkimi nożami za cholewami butów i pastuchy, spokojnie i z szacunkiem zaglądali przez okno.

Tego roku nie trzeba już było zmuszać do spełniania obowiązków religijnych buntującej się przeciw nim Kid, przeciwnie, chętnie spełniała je pełna łagodności i powagi Małgorzata. Całą szkołę ogarniał dreszcz na widok Miss Mc Coy, kroczącej przez kościół ze spuszczoneym wzrokiem i rękami w zamyśleniu złożonymi na książeczce do nabożeństwa. Dawniej zachowywała się w przesyconej różnobarwnem światłem witrażów kaplicy św. Trójcy jak nieujeżdżony źrebak.

Ta dziwna przemiana trwała siedem tygodni. Pensja zaczęła już zapominać, że wogóle istniała kiedyś jakaś Kid Mc Coy, która nie była damą.

A naraz pewnego dnia przyszedł od opiekuna list, że przybywa na Wschód odwiedzić swą dziewczynkę. Hamowane podniecenie ogarnęło cały Korytarz Południowy. Renia, Małgorzata i całe zebranie sąsiadek odbywały poważne konferencje, jak ona ma się ubrać i jak zachowywać. Nareszcie

wybrały biały muślin i błękitne wstążki. Debato-
wały też długo, czy ona ma go pocałować, czy
nie, zaś Renia oświadczyła stanowczo, że nie.

— Jak cię zobaczy, — tłumaczyła Małgorza-
cie — zrozumie odrazu, że nie jesteś dzieckiem.
Przez ostatnie trzy lata wyrosłaś na kobietę. Z
pewnością będzie się czuł w twojej obecności onie-
śmielony.

— Hm! — mruknęła Małgorzata trochę nie-
pewnie. — Spodziewam się, że tak.

Opiekun przyjechał w niedzielę. Cała pensja
— *in corpore* — rozplaszczała swe nosy na szy-
bach w oczekiwaniu jego przybycia. Spodziewały
się flanelowej koszuli, butów z cholewami i ostro-
gami, a w każdym razie sombrera. Trzeba jednak
powiedzieć całą, choć przykrą prawdę. Był w
surducie, nienagannie skrojonym, i w cylindrze,
w ręce miał laskę a w butonierce gardenję. Na
jego widok możnaby przysiąc, że ten człowiek
nigdy nie widział pistoletu lub bandyty. Stwo-
rzony był na gentlemana z tacą w ręce zbierają-
cego datki w kościele.

Teraz dopiero przychodzi to najgorsze.

Opiekun chciał zrobić swej małej wychowance
niespodziankę. Pragnął, żeby jak wróci na rancho,
miała prawdziwy dom. Słodki, łagodny wpływ

kobiety miał zmienić je w stosowne miejsce pobytu dla młodej panny. Nie przyjechał sam. Towarzyszyła mu młoda żona, rosła, dobrze zbudowana, piękna kobieta, z niskim głosem i pełnemi wdzięku manierami. Po obiedzie śpiewała trochę dla panienek, a gdy sześćdziesiąt cztery pary oczu przyjrzały się jej pięknej prezencji, sześćdziesiąt cztery — nie, sześćdziesiąt trzy jej słuchaczki postanowiły być taką jak ona. Małgorzata robiła honory domu, osłupiała i nie rozumiejąc, co się koło niej dzieje. Świat, jaki sobie wymarzyła przez tych siedem tygodni, runął w ciągu godziny, tak, że ona nie mogła jeszcze przyjść do przytomności. Nigdy — z tego zdawała sobie sprawę doskonale — na polu kobiecości nie będzie mogła rywalizować z żoną opiekuna. Tego w sobie nie miała i nie mogłaby mieć, choćby ją tego uczono od kołyski.

Kiedy wieczorem goście wybierali się zpowrotem do miasta, opiekun wobec całej szkoły pogłaskał Małgorzatę po głowie i powiedział jej, żeby była dobrem, grzecznem koźlątkiem i słuchała swych nauczycielek. A żona jego, protekcyjnalnie oparłszy jej rękę na ramieniu, pocałowała ją w czoło i nazwała ją swą „kochaną córeczką“.

Po wieczornej modlitwie wieczornej nastąpiły dwie godziny „wolnego“. Nauczycielki zbierały się w kancelarji Wdowy na pogawędkę i na kawę, zaś dziewczęta niby to pisały listy do domu. Ale tego wieczoru Korytarz Południowy daleki był od spędzania czasu w tak spokojny i niewinny sposób. Małgorzata Mc Coy uroczyście powracała do swego dawnego typu. W swym własnym obrazowym języku nazwała to „wywracaniem wszystkiego do góry nogami“.

Orgjastyczne odgłosy dotarły wreszcie do plotkujących przy kawie pań w parterze. Miss Lord poszła zobaczyć, co się dzieje i szła — na palcach.

Panna Mc Coy, w fantastycznym kapeluszu, zsuniętym na prawe ucho, w krótkiej gimnastycznej spódniczce, w szkarłatnych pończochach i w szkarłatnym staniczku, weszła na stół i naśladowała taniec w sabotach górników złota, podczas gdy jej słuchaczki grały taniec żebraków na grzebieniach i klaskały w dłonie.

— Małgorzato! Zejdź ze stołu! — rozległ się nagle ostrzegawczo czyjś przerażony głos w powszechnym hałasie.

— Nie nazywajcie mnie Małgorzatą. Jestem Kid Mc Coy z Wąwozu Kalek!

Oczy jej padły naraz na twarz Miss Lord, sterzącą ponad głowami skupionemi w sionce, i natychmiast zeskoczyła ze stołu. Pierwszy raz Miss Lord brakło słów. Osłupiona patrzyła przez trzy minuty; wreszcie zdołała wymówić:

— Wieczorem w niedzielę w zakonnej pensji!

Dziewczęta rozbiegły się i Miss Lord została sama z panną Mc Coy. Renia schroniła się na samym końcu Rajskiej Alei i przez całą godzinę dyskutowała z Ludką i Inką o karach, jakie mogą spaść na Kid. Dzwonek na zgaszenie świateł zabrzmiał, zanim zebrała odwagę na przekradzenie się do ciemnego Skrzydła Południowego. Z łóżka Małgorzaty słychać było łkanie, Renia osunęła się na kolana i objęła swą współlokatorkę. Łkanie ustało, ale Małgorzata z całych sił powstrzymywała oddech.

— Kid! — pocieszała ją Renia. — Nie rób sobie nic z Lorduni. To nieznośna stara panna! Co ci powiedziała?

— Przez miesiąc nie wolno mi wydalać się z Zakładu, mam się nauczyć pięciu psalmów na pamięć i zrobić pięć—pięćdziesiąt zadań za karę.

— Pięćdziesiąt! To wstyd! Nigdy ich nie potrafisz napisać. Niema *prawa* karać cię tak srogo, skoro przez tyle tygodni byłaś tak grzeczna.

P R Z E M I A N A K I D M c C O Y

— Gwiżdżę na to! — zawołała Kid gwałtownie, wyzwalając się z objęć Reni. — Zato tamta nigdy już nie będzie mogła nazwać mnie znowu swą słodką córeczką.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

CEBULA I ORCHIDEJE.

— Obwody podobnych wieloboków mają się do siebie tak, jak ich podobne boki.

Siedząc w otwartym oknie klasy z wzrokiem, zatopionym w bieli kwitnącej wiśni, która rozkwitła przez noc, Inka sennie upewniła się co do tej prawdy, tak doniosłej dla dwudziestego wieku.

Trzeba było koniecznie jak najprędzej skończyć lekcję, ponieważ to była sobota i Inka wybierała się z partją Mademoiselle do miasta, gdzie miała spędzić godzinę w fotelu dentysty. Ale pogoda nie sprzyjała skoncentrowanemu wysiłkowi. Po godzinie usilnej lecz daremnej pracy, zamknęła swój podręcznik geometrii i pobiegła na górę ubrać się, pozostawiając na później zadane lekcje.

Pobiegła na górę — ale niedaleko zaszła. Mijając otwarte drzwi, prowadzące na podwórze, wyszła, aby przyjrzeć się lepiej kwitnącej niedaleko wiśni; następnie przeszła się po prowa-

dzącej przez ogród pergoli *), aby zobaczyć, jak wschodzi powój. Stamtąd krok jeden był już tylko do alei wysadzonej podwójnymi rzędami jabłoni o różowo nakrapianem kwieciu. Zanim się obejrzała, Inka już siedziała na kamiennym murze na końcu pastwiska. Za nią ciągnęły się granice Zakładu św. Urszuli. Przed nią był Świat.

Siedziała tedy na murze, fikając nogami już poza granicami Zakładu, a największym przestępstwem, jakiego można się było w tym Zakładzie dopuścić, było przekroczenie jego granic bez pozwolenia. Inka siedziała i patrzyła w zamknięty przed sobą świat. Wiedziała, że jeśli chciała złapać w porę karawan i pociąg, aby zdążyć do dentysty, nie miała czasu do stracenia. Ale mimo wszystko siedziała i marzyła. Wkońcu, daleko wśród pól na gościńcu spostrzegła karawan toczący się wesoło w stronę stacji. Przypomniała sobie naraz, że zapomniała uwiadomić Mademoiselle o zamiarze wyjazdu do miasta i że wobec tego Mademoiselle nie mogła zauważyć, że jej niema. Bez najmniejszego, zgóry uplanowanego podstępu, była wolna!

Przez kilka chwil siedziała tak jeszcze, aby uświadomić sobie całą słodycz tego uczucia. Po-

*) Pergola — szpaler ocieniony od góry.

tem ześliznęła się z muru i pobiegła — pełna radości, młoda buntowniczką, szukająca przygód. Idąc z biegiem wesoło szumiącego strumyka, zanurzyła się w zarosłym krzakami wąwozie i w gąszczu leśnym, zbiegła ze stoku pagórka i pobiegła przez bagnistą łąkę, skacząc wesoło z kępy na kępę — a czasami grzęznąc w błocie. Śmiała się głośno z tych przygód, wymachiwała rękami i mocowała się z wiatrem. Z rozkosznem uczuciem wolności połączyło się niemniej rozkoszne uczucie oszołomienia i zawrotu głowy. Połączenie to było upajające.

I tak, idąc wciąż z biegiem strumienia, weszła w drugi las — nie dziki, jak pierwszy, lecz oswojony, „domowy“. Martwe członki drzew były obcięte, a ziemia pod drzewami wygracowana. Strumień płynął spokojnie korytem, którego brzegi wysadzone były paprocią, popod kładkami i mostkami, rozlewając się czasem w jeziorka, obrzeżone liljami. Mszyste ścieżki, zaopatrzone w kamienne stopnie prowadziły w tajemniczą głąb lasu, nieprzenikniętą dla oka; liście jakby umyślnie zasłaniały ją napół tak, żeby wzbudzać ciekawość. Murawa upstrzona była krokusami. Wszystko przypominało zaczarowany las z powiastki.

Ten drugi las jednakże otoczony był mocnym murem z czterema rzędami drutu kolczastego na górze. Od czasu do czasu pojawiały się tablice — z miejsca, na którem Inka stała, wyraźnie widać było trzy — obwieszczające, iż jest to własność prywatna, i że ci, którzy granice jej przekroczą, będą ścigani z całą surowością prawa.

Inka wiedziała dobrze, do kogo ten majątek należy. Niejednokrotnie przejeżdżała i przechodziła koło bramy frontowej, wychodzącej na drugą stronę drogi. Majątek ten sławny był nie tylko w sąsiedztwie, ale w całych Stanach Zjednoczonych i nie bez racji. Obejmował 500 akrów i należał do sławnego — lub może raczej niesławnego — multimiljonera. Nazywał on się Silas Weatherby i był założycielem wielu i rozmaitych Gminnych Korporacji. Miał przepiękne oranżerie, pełne roślin podzwrotnikowych, ogród włoski i coś w rodzaju galerji obrazów i różnych osobliwości. Był to swarliwy, stary skąpiec, zawsze wplątany co najmniej w pół tuzina procesów. Nienawidził dzienników, a dzienniki nienawidziły jego. Szczególnie złą opinią cieszył się w Zakładzie św. Urszuli, ponieważ w odpowiedzi na grzeczny list przełożonej, proszącej, aby pozwolił klasie rysunków i sztuki obejrzeć swe obrazy

Botticellego, a klasie botaniki swe orchideje, szorstko oświadczył, iż nie może pozwolić całemu stadu dziewcząt uganiać po swoim majątku — przyczem, jeśliby pozwolił jednego roku, musiałby pozwolić i drugiego, a nie życzy sobie stwarzać precedensu.

Inka patrzyła na tablice z napisem „Wstęp wzbroniony“ na drut kolczasty i na las, znajdujący się poza nim. Pomyślała, że gdyby ją złapano, mogliby ją co najwyżej wyrzucić, nic innego. Nie zamyka się dziś ludzi w więzieniu za spokojną i niewinną przechadzkę po obcym lesie. Prócz tego milioner był na zjeździe dyrektorów w Chicago. Dowiedziała się o tem, przeglądając, jak zwykle rano dzienniki — w sobotę wieczorem obowiązane były rozmawiać przy obiedzie o sprawach bieżących, wobec czego w sobotę rano czytały nagłówki i artykuł wstępny.

Wypatrzyła sobie kawałek muru, gdzie drut zdawał się być obluźniony i prześliznęła się pod nim, wyszedłszy z tego z nieznacznie tylko rozdartą bluzką na łopatce. Chodziła po zaczarowanym lesie około pół godziny, poczem, skręciwszy na ścieżkę, niespodziewanie minęła las i znalazła się w ogrodzie, nie kwiatowym wprawdzie, lecz warzywnym, ale zato na wielką skalę.

Równe grzędy wschodzących jarzyn okolone były krzakami porzeczek, cały ogród otoczony był wysokim, ceglanym murem, pod którym według angielskiego systemu wyciągnięte były szpalerem grusze.

Jakiś ogrodnik, zwrócony plecami do Inki, zajęty był sadzeniem cebuli. Przyglądała mu się z pewną nieufnością, wahającą się między chęcią ucieczki, a pełnym życzliwości instynktem towarzyskości. Ogrodnik ten wyglądał bardzo oryginalnie. Ubrany był w bufiaste spodnie i skórzane kamasze, czerwoną kamizelkę, włóczkowy żakiet i czapkę, zsuniętą nabakier. Wygląd miał niezbyt pociągający, ale za to reumatyczny — była pewna, że nawet, gdyby chciał ją gonić, nie dogoniłby jej. Wobec tego przysiadła na jego taczkach i przyglądając mu się w dalszym ciągu, zrobiła jakąś głośną uwagę.

Podniósł nagle wzrok i ujrzał ją. Niespodziewany widok omal go z nóg nie zbił.

— Dzień dobry! — rzekła Inka uprzejmie.

— Uf! — mruknął ów człowiek. — Co panienka tu robi?

— Przyglądam się, jak sadzicie cebulę.

Inka wiedziała, że to przecie bez gadania było widoczne, jednakże z całą chęcią potwierdziła to własnem zeznaniem.

Zamruczał coś znowu, prostując się i postąpił ku niej o krok.

— Skąd panienka tu przyszła? — zapytał szorstko.

— Stamtąd! — Inka szerokim gestem wskazała na zachód.

— Hen! Panienka pewnie jest w tej szkole — Świętej Bóg Ją Wie Jak?

Przyznała. Monogram Zakładu św. Urszuli wielkimi literami wyszyty był na rękawie jej bluzki.

— Czy one wiedzą, że panienka wyszła?

— Nie — odpowiedziała skromnie. — Nie przypuszczam. Prawdę mówiąc, jestem tego nawet pewna. Myślą, że pojechałam z Mademoiselle do dentysty, a Mademoiselle myśli, że zostałam w szkole. Wobec tego jestem zupełnie wolna. Pomyślałam sobie, że może nieźle byłoby przyjść tu i zobaczyć, jak właściwie wyglądają te słynne ogrody włoskie pana Weatherby. Włoskie ogrody bardzo mnie zajmują.

— Niech mnie! — zaczął ogrodnik, przystąpił trochę bliżej i znowu stanął. — Nie zauważyła panienka tablic z napisami „Wstęp wzbroniony“, jak panienka tu szła?

— I owszem, dziękuję. Cała miejscowość jest niemi upstrzona.

— Zdaje się jednak, że panienka niewiele sobie z nich robi.

— Och, ja na tablice z napisem „Wstęp wzbrowiony“ wogóle nie zwracam nigdy najmniejszej uwagi — odpowiedziała Inka bez skrpułów. — Nie możnaby się przecie nigdzie ani na krok ruszyć na tym świecie, gdyby się człowiek *niemi* krępował.

Wbrew oczekiwaniu ogrodnik zaśmiał się.

— Istotnie, nie zdaje mi się, żeby to było możliwe — przyznał. — Ja sam nigdy się *niemi* nie krępowałem — dodał w zamyśleniu.

— Czy nie mogłabym panu pomóc sadzić cebulę? — zapytała Inka grzecznie. Pomyślała, że w ten sposób znajdzie może najprostszą drogę, wiodącą do włoskich ogrodów.

— Czemu nie, i owszem, proszę bardzo.

Przyjął jej propozycję z nieoczekiwaną serdecznością i poważnie zaczął jej tłumaczyć, na czym polega robota. Cebulki były malutkie i musiały być bardzo starannie ułożone na prawej stronie — a to dlatego, że embrjonicznej cebulce bardzo trudno obrócić się, jak raz już zacznie puszczać pęd w złym kierunku.

Inka wzięła się do rzeczy gorliwie i sadziła cebulę za ogrodnikiem na sąsiedniej grządce trzy stopy poza nim. Pokazało się, że zajęcie to sprzyja

rozwojowi instynktów towarzyskich; w przeciągu piętnastu minut byli już starymi przyjaciółmi. Rozmowa toczyła się dalej — na temat filozofji, życia i etyki. Stary miał bardzo zdecydowane poglądy na wszystko i — doszła do przekonania, że musi być Szkotem — robił też wrażenie człowieka dużo wiedzącego i czytającego gazety. Inka także czytała gazetę tego poranku. Rozmawiali przez dłuższy czas na temat, czy „trusty“ mają być oddane pod kontrolę rządu, czy nie. Ona, wraz z swym dziennikiem, utrzymywała, że tak, on, będąc przeciwnego zdania twierdził, że ani djabli nawet nie mają prawa mieszać się do tego, co one robią.

— Proszę o grosik — odezwała się Inka, wyciągając dłoń.

— Grosik? — za co?

— Za tych „djabłów“. Za używanie gwary lub niegramatycznych wyrażeń wkładamy grosik do puszkki na cele dobroczynne. „Djabli“ to znacznie gorsze nawet niż gwara — to przekleństwo. Powinnabym nałożyć na pana grzywnę pięciu centów, ponieważ jednak jest to pierwsze przestępstwo, poprzestane na grosiku.

Dał jej przez grządkę grosik, który Inka schowała do kieszonki z całą powagą.

— Czego się uczyicie w tej szkole? — zapytał z pewną ciekawością.

Uprzejmie podała mu jako przykład:

— Obwody podobnych wieloboków mają się do siebie tak jak ich podobne boki.

— To się pani w życiu przyda! — rzekł, mrużąc do niej filuternie jednym okiem.

— Bardzo! — przyznała. — W dniu egzaminu.

Po pół godzinie sadzenie cebuli zaczęło się stawać zajęciem bardzo uciążliwym. Ale Inka zacięła się i postanowiła pracować tak długo, jak on. Wreszcie ostatnia cebula została wsadzona w ziemię, a ogrodnik dźwignął się i patrzył na równe grządki z pewnem zadowoleniem.

— Na dziś będzie dość! — oświadczył. — Zpracowaliśmy na odpoczynek.

Usiedli, Inka na taczkach, ogrodnik na wiadrze, dnem do góry obróconem.

— I jakże się panu podoba służba u pana Weatherby? — zapytała. — Czy on jest istotnie taki zły, jak to gazety piszą?

Ogrodnik mruknął coś, zapalając fajkę.

— Co tu gadać! — rzekł stanowczo. — Dla mnie był zawsze bardzo dobry, ale czy jego nieprzyjaciele mają za co go kochać, tego nie wiem.

— Mnie się zdaje, że on jest okropny! — rzekła Inka.

— I czemuż to? — spytał ogrodnik z miną poniekąd wyzywającą. Sam byłby z pewnością zmieszał swego chlebowca z błotem, ale obcemu nie myślał na to pozwolić.

— Taki jest zazdrosny o te swoje zbiory i oranżerje. Wdowa — to jest, miałam na myśli panią Trent, przełożoną — pisała do niego i prosiła go, aby klasie uczącej się botaniki, pozwolił zwiedzić swe orchideje, a on jej odpowiedział tak szorstko, jak tylko można było.

— Jestem pewny, że nie miał tego zamiaru! — twierdził ogrodnik.

— Właśnie, że tak. Tak było. Napisał, że nie może pozwolić, aby całe stado panienek ugaśniało po ogrodzie i łamało mu szczepy winne — jak gdybyśmy istotnie zamierzały zrobić coś podobnego? Jesteśmy przecież bardzo dobrze wychowane i umiemy się zachować. Każdego czwartku uczymy się dobrych manier.

— Może być, — odpowiedział — że był trochę szorstki. Ale widzi panienka, on się wychowywał w gorszych warunkach — jak panienka. On nie uczył się dobrych manier na pensji dla młodych panien.

— On się ich wogóle nigdzie nie uczył — rzekła Inka, wzruszając ramionami.

Ogrodnik pociągnął dobrze z fajki i przez chwilę przyglądał się horyzontowi zmrużonemi oczami.

— Niezbyt to słuszne sądzić go tak, jak się sądzi drugich ludzi — odpowiedział powoli. — Niejedno w życiu przeszedł, a teraz jest stary i śmiało mogę powiedzieć, nieraz bardzo samotny. Wszyscy są przeciw niemu — a jeśli kto się uprzejmie wobec niego zachowuje, on wie, że to zawsze tylko dla interesu. Wasza nauczycielka jest grzeczna, kiedy chce, żeby pozwoił zwiedzić swoje zbiory, ale założyłbym się, że pozatem ma go za starego złodzieja.

— Może niesłusznie? — zapytała Inka.

Ogrodnik zlekka się uśmiechnął.

— Miewa swe chwile uczciwości tak samo jak i my wszyscy.

— Może! — zgodziła się Inka niechętnie. — Może istotnie nie jest taki zły, jak się go bliżej pozna. To się często zdarza. Naprzykład jest Lordunia, nasza nauczycielka łaciny. Niecierpiałam jej, a naraz, w godzinie próby, wpadła na całą awanturę i zachowała się zupełnie *byczo*.

Wyciągnął do niej rękę.

— Grosik!

Inka zwróciła mu jego własny grosz.

— Uratowała mnie od wyrzucenia ze szkoły — jak mamę kocham. Od tego czasu już nie jestem wstanie jej nienawidzić. I wie pan — strasznie mi tego brak. To bardzo przyjemnie mieć wroga.

— Miałem ich sporo! — pokiwał stary głową. — A zawsze starałem się tak ich traktować, żeby się móc nimi jak najwięcej nacieszyć.

— I prawdopodobnie to byli zupełnie dobrzy ludzie — poddała.

— O, tak! — przyznał. — Najgorsi kryminaliści bywają nieraz bardzo miłymi ludźmi, gdy się ich odpowiednio traktuje.

— Tak, to zupełna prawda! — rzekła Inka. — Ludzie stają się źli tylko przypadkiem, skutkiem zbiegu okoliczności, jak na przykład jest w tej chwili ze mną. Dziś rano powzięłam niezłomne postanowienie wyuczenia się zadanej lekcji geometrii i pojechania do dentysty — a jednak — jestem tu! Wobec czego — wyciągnęła ze swego rozważania morał — powinniśmy być zawsze grzeczni dla kryminalistów, pamiętając, że skutkiem odpowiedniego zbiegu okoliczności my sami moglibyśmy siedzieć za kratkami.

— Wyznaję — potwierdził — że to samo nieraz i mnie do głowy przychodziło. Ja — my — to znaczy —

Po namyśle znalazł wreszcie odpowiednie słowo. — Pan Weatherby wierzy, że wszystko zależy od szczęścia. Jeśli przypadkiem ma się przyjaciół, którzy po wyjściu z więzienia szukają miejsca, należy je im dać. Mieliśmy tu złodzieja bydła, który pasł krowy, a morderca był dozorcą przy orchidejach.

— To komiczne! — wykrzyknęła Inka. — Macie go tu jeszcze? Bardzo chciałabym raz zobaczyć mordercę.

— Opuścił nas niedawno temu. Nie czuł się tu dobrze.

— Jak długo pracuje pan u pana Weatherby?
— zapytała.

— Sporo już lat — i zawsze pracowałem ciężko!
— dodał z miną nieco wyzywającą.

— Przypuszczam, że ocenia pana jak należy?

— Tak, myślę, że naogół — tak.

Wytrząsnął popiół z fajki i wstał.

— A teraz — zaproponował — chce panienska, żebym jej pokazał włoskie ogrody?

— O, tak! — rzekła Inka. — O ile pan jest pewny, że pan Weatherby nie będzie o to zły.

— Jestem głównym ogrodnikiem. Mogę tu robić, co mi się podoba.

— Jeśli pan jest starszym ogrodnikiem, to czemuż pan sam sadi cebulę?

— To robota męcząca — doskonale wpływa na mój temperament.

— O! — roześmiała się Inka.

— A prócz tego, widzi panienska, jak mi przyjdzie chęćka przeciążać pracą swych ludzi, wyrzekam się jej, gdy poczuję, jak mnie samego grzbiet boli.

— Pan jest stanowczo za dobrym człowiekiem, aby u niego pracować — rzekła z uznaniem.

— Dziękuję paniencie! — odpowiedział, z uśmiechem dotykając swej czapki.

Ogród włoski był istotnie zachwycającem miejscem z marmurowemi stopniami, fontannami i bluszczowemi girlandami.

— Chciałabym, żeby to Ludka mogła zobaczyć! — zawołała Inka.

— Któż to taki?

— Ja mieszkam z Ludką w tym samym pokoju. Ona się tego roku strasznie zajmuje ogrodami, ponieważ ma dostać nagrodę za największą ilość zanalizowanych roślin — przynajmniej ja jestem tego zdania, że powinna ją dostać. Rywalizuje z nią tylko Keren Hersey; reszta klasy dała już temu spokój. Mira van Arsdale pracuje prze-

ciw Ludce na złość mnie, dlatego że ja nie chciałam należeć do pewnego stowarzyszenia, które ona swego czasu założyła. Dostaje orchideje z miasta i daje je Keren.

— Hm! — mruknął i zmarszczył się, zrozumiawszy ten splot intryg. — A czy to uczciwe, żeby postronni pomagali?

— Oczywiście! — rzekła Inka. — One dwie mają analizować kwiaty, ale inne mogą je zbierać i naklejać. Jak która z nas wychodzi na przechadzkę, wraca stale z bluzką wypchaną różnemi okazami dla Ludki lub dla Keren. Wszystkie dobre dziewczęta trzymają stronę Ludki. Keren jest straszna pila. Nosi rogowe okulary i myśli, że wszystko wie.

— Ja też trzymam stronę Ludki — oświadczył ogrodnik. — Czy mógłbym jej w jaki sposób pomóc?

Inka badawczo rozejrzała się po ogrodzie.

— Pan ma tu mnóstwo roślin, których Ludka z pewnością nie ma w swoim zielniku.

— Będzie panienska mogła wziąć, ile tylko panienska udźwignie — obiecał. — Chodźmy teraz do cieplarni z orchidejami.

Wyszedszy z ogrodu, skierowali się ku szklanym dachom cieplarni. Inka była tak zachwy-

cona, że zupełnie zapomniała o czasie, póki wreszcie nie znalazła się wprost naprzeciw zegara, umieszczonego nad drzwiami wozowni; wtedy spostrzegła, że śniadanie w Zakładzie św. Urszuli odbyło się już przed trzema kwadransami — i że ona umiera z głodu.

— O, Boże Święty! Zapomniałam o śniadaniu!

— Czy to wielka zbrodnia zapomnieć o śniadaniu?

— Cóż! — rzekła Inka z westchnieniem. — Poprostu nie dostanę go.

— Mógłbym się postarać o jakieś jedzenie, żeby panienkę choć na krótki czas pokrzepić — zaproponował.

— Mógłby pan, doprawdy? — wykrzyknęła pocieszona.

Przyzwyczajona była trzy razy dziennie do zastawionego stołu, i niewiele ją obchodziło, kto stół zastawiał.

— Prosiłabym, jeśli można — mówiła skromnie — o trochę mleka, kawałek chleba z masłem i — suchych ciasteczek. Bo widzi pan, chciałabym wrócić dopiero o czwartej, kiedy one będą wracać ze stacji i może być, uda mi się wśliznąć niepostrzeżenie.

— Niech panienka zaczeka w altanie, a ja tymczasem zobaczę, czego będzie mogła dostarczyć chatka ogrodnika.

Po kwadransie wrócił, dźwigając ze śmiechem wielki kosz.

— Urządzimy sobie piknik! — mówił.

— Doskonale! — wykrzyknęła Inka radośnie. Nie miała nic przeciw temu, żeby jeść z nim razem, ponieważ umył ręce i wyglądał całkiem czysto.

Pomogła mu rozpakować kosz i ustawić stół w małej altance obok fontanny. Przyniósł kanapki z łososiem, twaróg, dzban mleka, marmeladę pomarańczową, ciasteczka lukrowane i ciepłe pierniczki, prosto z pieca.

— Co za wspaniałe, by-cze śniadanie — zawołała.

Wyciągnął dłoń.

— Znowu grosik.

Inka zajrzała do pustej kieszeni.

— Będzie pan musiał mi darować! Wydałam już całą gotówkę.

Wiosenne słońce grzało miło, fontanna szemrała, wiatr usiał podłogę altanki białymi płatkami magnolji. Inka z westchnieniem zadowolenia zabrała się do marmelady.

— Najprzyjemniejszą rzeczą na świecie jest uciec od tego, co się powinno robić!—odezwała się.

Ze śmiechem uznał tę niemoralną prawdę.

— Myślę, że pan powinienby teraz pracować?
— zapytała.

— Istotnie, byłoby nieźle, gdybym załatwił parę spraw, które mi nawet leżą trochę na sercu.

— Ale dobrze panu z tem, że ich pan nie załatwia.

— Byczo!

Wyciągnęła rękę.

— Niech pan odda grosik.

Cent wrócił do jej kieszeni i uczta ciągnęła się dalej. Inka była w znakomitym humorze, a humor Inki działał na drugich. Wykradnięcie się z zakładu, zakradnięcie się do cudzego, prywatnego majątku, sadzenie cebuli, piknik we włoskim ogrodzie z głównym ogrodnikiem — nigdy nie marzyła nawet o takim huraganie przygód. Głównemu ogrodnikowi, zdawało się, również sprawiała przyjemność świadomość, że użyzca schronienia zbiegłej pensjonarce. Ich radość z figła była obopólna.

Kiedy Inka z wzruszającą uczciwością dzieliła ostatni kawałek piernika na dwie równe części, drgnęła, usłyszawszy naraz za sobą kroki na

ścieżce wysypanej żwirem. Był to „groom“, młody człowiek z szkarłatną twarzą i otwartymi ustami. Stał i zaczął automatycznie kiwać głową. Inka spojrzała za siebie z pewnem zaniepokojeniem. Obawiała się, czy przyjaciel jej nie będzie miał przez nią jakich nieprzyjemności. Może, zabawianie we włoskim ogrodzie zbiegłych z zakładu panienek było wbrew przepisom.

„Groom“ gapił się wciąż i kiwał głupkowato głową, aż wreszcie towarzysz jej wstał i spojrzał mu w twarz.

— No? — zapytał dość ostro. — Czego chcesz?

— Przepraszam bardzo, ale przyszła depesza, a Ryszard powiedział, że to może być ważne i kazał mi pana poszukać.

Główny ogrodnik wziął depeszę, przebiegł ją oczyma, na odwrotnej stronie napisał odpowiedź wyjętym z kieszeni oprawnym w złoto ołówkiem i odprawił służącego krótkim skinieniem głowy. Koperta, w której przyniesiono depeszę, upadła na stół i leżała tak, że adres był widoczny. Inka nieznacznie zerknęła na adres i kiedy poznała całą prawdę, ukryła twarz w oparciu jednego z kamiennych foteli i wybuchnęła śmiechem. Towarzysz jej patrzył na nią przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć, wreszcie i on się roześmiał.

— Nadarzyła się pani sposobność powiedzenia mi w oczy, za jak złego, nieużytego i szorstkiego ma mnie pani człowieka. Nawet reporterzy nie zawsze pozwalają sobie na tę przyjemność.

— O, ale to było, zanim pana jeszcze poznałam! Teraz wiem, że pan ma bardzo piękne maniery.

Podziękował jej ukłonem.

— Będę się starał mieć na przyszłość lepsze. Będzie mi bardzo miło któregośkolwiek południa oddać do dyspozycji moje cieplarnie młodemu damom z Zakładu św. Urszuli.

— Naprawdę? — uśmiechnęła się. — To bardzo ładnie z pańskiej strony.

Zapakowali kosz a resztkami obdzielili złote rybki w fontannie.

— A teraz — rzekł — co pani woli obejrzyć naprzód? Galerję obrazów czy orchideje?

Inka wynurzyła się z cieplarni, w której hodowano orchideje, z całym naręczem nieznanych okazów dla zielnika Ludki. Przed stajnią stał tylko co umyty wielki, żółty powóz, do którego zaprzęgano czwórkę koni. Przyglądała mu się z zaciekawieniem.

— Czy chciałaby pani, żebym ją tym powozem odwiózł do domu?

— O, jakbym strasznie chciała — ucieszyła się Inka. — Obawiam się jednak, że to nie byłoby mądrze — dodała po namyśle. — Jestem nawet pewną, że nie! — rzekła, z niezłomnem postanowieniem, odwracając się od powozu. Oczy jej padły na drogę i żywa radość rozjaśniła jej twarz. — Karawan jedzie!

— Karawan?

— Tak, omnibus szkolny. Zdaje mi się, że najlepiej będzie pójść.

Odprowadził ją zpowrotem przez ogród warzywny i zaczarowany las, i trzymał jej kwiaty, kiedy przelażała przez mur pod drutami, przy czem rozdarła sobie bluzkę na drugim ramieniu.

Uścisnęli sobie ręce przez drut kolczasty.

— Spodobała mi się i cebula i orchideje — rzekła Inka grzecznie — a już zwłaszcza smakowały mi pierniki. A czy, gdybym miała kiedy przyjaciół, byłych więźniów, mogę ich przysłać do pana?

— Bardzo proszę! — odpowiedział. — Robota znajdzie się dla nich zawsze.

Zaczęła iść, kiwając mu na pożegnanie ręką.

— Byczo się ubawiłam!

— Grosik! — zawołał.

Inka roześmiała się i pobiegła przed siebie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

WYTRYCH I PLACEK CYTRYNOWY.

Ewelina Smith była chorobliwą młodą osobą, zajmującą się najchętniej rzeczami nadprzyrodzonymi. W literaturze ulubieńcem jej był Edgar Allan Poe. W religji skłaniała się ku spirytyzmowi. Najulubieńszą jej zabawą było opowiadanie przy przykręconym płomieniu gazu strasznych historyj o duchach. Miała obszerny repertuar opowiastek o strygach i upiorach, historyjek, które oczywiście nie były bynajmniej zmyślonemi, lecz wydarzyły się naprawdę ludziom, których znała i którym można było wierzyć. Ona sama miała jedną czy dwie przygody z duchami, i opowiadała o nich szczegółowo, przyciszonym głosem, z otwartymi szeroko oczami, podczas gdy słuchaczki jej siedziały w milczeniu, drżąc i trzymając się za ręce. Kółko Eweliny nie posiadało zbyt wiele zmysłu humoru.

Pewnej soboty wieczorem cała pensja doskonale się bawiła. Ewelina urządziła seans spiry-

tystyczny w swoim pokoju w Wschodniem Skrzydle. Nancy Lee zaprosiła dziesięć swoich najbliższych przyjaciółek na urodziny, które obchodziła uroczyście w Centrum; kurs historii Europy ucztował z okazji ukończenia Wojny Trzydziestoletniej, a Kid Mc Coy urządziła wyścigi z ziemniakami w Korytarzu Południowym — bilet kosztował starą markę pocztową, a nagroda zapiecztowana była w przewiązanem wstążeczkami pudełku i, jak za to ręczono, warta była trudów.

Lubianą powszechnie Inkę zaproszono na wszystkie cztery zabawy. Za zaproszenie Nancy podziękowała, bo tam była też zaproszona Mira van Arsdale, jej zawzięta nieprzyjaciółka, przyjęła jednak pozostałe zaprosiny i bawiła się doskonale, jako wędrowny gość.

Przeniosła swój ziemniak, wolno leżący na łyżeczce, przez jeden stół i pod drugim, wreszcie przez obręcz, zwisającą z sufitu i złożyła go w koszu na końcu korytarza równo w przeciagu dwóch minut i czterdziestu siedmiu sekund. (Kid Mc Coy czuwała z zegarkiem w ręku) To było wszystkie dotychczasowe rekordy, wobec czego Inka, pełna nadziei, przez kilka minut kręciła się koło pudełka, przewiązanego wstążeczką: Kiedy

jednak wtargnęła nowa gromada chcących wziąć udział w wyścigu, co otrzymanie przez nią nagrody zrobiło wątpliwem, Inka pozostawiła do rozstrzygnięcia sprawę jury według jej uznania i pobiegła do pokoju Eweliny.

W pokoju pogaszone były wszystkie światła, wyjąwszy chwiejący się płomień spirytusu z solą, płonący w miseczce. Goście siedzieli w kuczki na poduszczykach, wyglądając w niepewnem świetle wielce pstrokato. Inka w milczeniu osunęła się na wolną poduszczykę i grzecznie przysłuchiwała się Ewelinie, która w tej chwili miała do swych słuchaczek przemowę.

— Jak wiecie, byłam tego lata świadkiem bardzo interesującego eksperymentu. Trafiwszy przypadkiem do obozu spirytystów, brałam udział w seansie z materjalizacją.

— Cóż to takiego? — zapytała Renia Patton.

— Jest to seans, podczas którego duchy zjawiają się medjum w tej formie materjalnej, jaką posiadały za życia — objaśniła łaskawie Ewelina. Renia była tylko zaproszonym gościem, nie należała do właściwego kółka.

— O, — rzekła Renia, niezbyt wiele rozumiejąc.

— Naprawdę nie oczekiwałam, aby się co mogło pojawić — opowiadała Ewelina — i właśnie my-

ślałam, jak to nierozsądnie było wydać na marne tego dolara, gdy nagle medjum zamknęło oczy i zaczęło drżeć. Powiedziało, że widzi ducha pięknego, młodego dziewczęcia, które umarło przed pięciu laty. Dziewczę ubrane było białą, szaty jej były mokre a w ręce trzymało wytrych —

— Wytrych! — wykrzyknęła Inka. — Cóż znowu za —

— Nie wiem więcej od ciebie! — przerwała jej Ewelina niecierpliwie. — Mówię tylko to, czego byłam świadkiem. Medjum nie mogło podać pełnego jej imienia, podało tylko pierwszą jego literę „Z“. W tej chwili przyszło mi na myśl, że to z pewnością moja kuzynka Zuzanna, która wpadła do studni i utonęła. Całe lata o niej nie myślałam, ale opis zgadzał się najzupełniej. Zapytałam o to medjum i po chwili ono powiedziało, że tak, i że przyszła do mnie, aby mnie ostrzec.

Tu Ewelina zrobiła znaczącą pauzę, podczas gdy jej słuchaczki pochyliły się naprzód w pełnym napięciu oczekiwaniu.

— Ostrzec! — szepnęła, powstrzymując dech, Flora Hissop.

— Tak. Zapowiedziała mi, żebym nigdy nie jadła cytrynowego placka.

Inka omal się nie udławiła nagłym wybuchem śmiechu. Ewelina spojrzała w jej stronę i mówiła dalej:

— Medjum zadrzało znowu, zbudziło się z transu i nie mogło sobie przypomnieć ani trochę, o czem mówiło! Kiedy jej powiedziałam o wytrychu i placku cytrynowym, była tak samo zdziwiona, jak ja. Powiedziała mi, że wskazówki, które za pośrednictwem duchów przychodzą z tamtego świata, są często niezrozumiałe, i mimo, iż czasem napomykają coś o rzeczach napozór trywjalnych, w rzeczywistości zawierają głęboką a ukrytą prawdę. Prawdopodobnie kiedyś będę miała wroga, który będzie się starał otruć mnie cytrynowym plackiem i dlatego nigdy, pod żadnym warunkiem, do ust mi go wziąć nie wolno.

— I nie bierzesz? — zapytała Inka.

— Nigdy! — odpowiedziała Ewelina ze smutkiem.

Inka zrobiła minę, jak gdyby przeprowadzała naukowe badanie.

— Czy jesteś pewna, że medjum powiedziało prawdę?

— Nie miałam najmniejszej przyczyny nie wierzyć.

— I naprawdę wierzysz w strachy?

— W duchy — poprawiła uprzejmie Ewelina.
— Dzieje się przecie mnóstwo różnych rzeczy,
których w żaden sposób nie można wytłumaczyć.

— Cóżbyś zrobiła, gdyby jej duch ukazał ci się.
Przeraziłabyś się bardzo?

— Wcale nie! — rzekła Ewelina z godnością.
— Bardzo kochałam kuzynkę Zuzannę. Nie mam
powodu bać się jej ducha.

Zdołu dolatywała woń gotującego się syropu;
Inka przeprosiła Ewelinę i uciekła do kuchni.
Powietrze na duchowych wyżach, na jakich
Ewelina przebywała, było dla jej płuc zwykłej
śmiertelniczki trochę za rzadkie.

Właśnie miano syrop przelać w foremki.

— Chodź tu, Inko! — zawołała Zuzia. — Ty nie
nie robisz. Leć do spiżarni i przynieś trochę ma-
sła, żebyśmy sobie rąk nie powalały.

Inka posłusznie zeszła z kucharką do piwnicy,
nie myśląc o niczem innem, jak tylko o masle.
Na jednej z półek stał w spiżarni deser jutrzejszy
— piętnaście placeków cytrynowych, pięknie ozdo-
bionych białymi piramidkami z bitej śmietany.

Kiedy je Inka zobaczyła, ogarnęła ją nagle
zbrodnicza pokusa. Walczyła z nią przez chwilę,
ale wreszcie padła. Podczas gdy głowa Nory po-
chylona była nad cebrażykiem z masłem, Inka

otwarła okno i ukradkiem wysunęła jeden placek na gzyms przez żelazną kratę. Kiedy Nora podniosła głowę, okno było już zamknięte a Inka z niewinną miną studjowała etykietę na butelce oliwy.

Gdy miesiły ciasto w osobnym kącie kuchni, Inka ze śmiechem zwierzyła się ze swego planu Ludce i Zuzi. Ludka zawsze gotowa była do figłów i psot, ale Zuzię trzeba było czasami namawiać do nich i nieomal zmuszać. Zaczęła — zupełnie nie w porę — wyrabiać w sobie moralne przekonania, tak że obie jej przyjaciółki, które dotychczas z pożytkiem dla siebie moralnością szkolną się nie krępowały, czasami z trudem tylko mogły ją pociągnąć za sobą.

Nareszcie Zuzia mruknęła na znak zgody, Ludka zaś z entuzjazmem zaofiarowała się wystarać się o wytrych. Jako przewodniczka drużyny sportowej mogła to przeprowadzić o wiele łatwiej niż Inka. Podczas przelotnej wizyty w stajni, mającej pozornie na celu naradę z Marcinem w kwestji placów tenisowych, wybrała sobie na jego ławce z przyrządami wytrych stosowny do swego gustu, nakryła go sweterem i bez przeszkody wyniosła. Wraz z Inką tajnymi drogami zaniósła swą zdobycz do Rajskiej Alei.

Nie mało się najadły po drodze strachu, nie mało było też tłumionego chichotu, ale wreszcie wytrych i placek — z uszkodzoną zlekka tylko piramidą z bitej śmietany, ale wciąż jeszcze najwyraźniej cytrynowy, został bezpiecznie ukryty pod łóżkiem Inki, gdzie miał oczekiwać swej roli w nocnym figlu.

Jak zwykle o wpół do dziesiątej odezwał się dzwonek na zgaszenie świateł, ale tym razem dzwonił dla głuchych uszu. Szkoła była wciąż rozbawiona. Małe dziewczątka w „Baby Ward“ uganiały po hallach, walcząc poduszkami, dopóki sama Wdowa surowo nie kazała im iść do łóżka. Było już koło dziesiątej, gdy panienki, piekące ciastka, umyły swe oblepione ręce i udały się na górę.

Inka zastała w swym pokoju delegację tych, które brały udział w wyścigach z ziemniakami, oczekującą ją z nowiną, że zdobyła nagrodę. Zaciekawiony tłum zebrał się, ażeby być świadkiem otwierania pudełka, zawierało ono blaszany wieniec pogrzebowy, który był wystawiony tej zimy w oknie przedsiębiorcy pogrzebowego. — Kid kupiła go tanio, ponieważ popstrzony był przez muchy i tego nie można było zmyć. Wieniec nadziano na kij hockey'owy i obnoszono go tak

po korytarzu, przy śpiewie „John Brown's Body“, nie zwracając żadnej uwagi na to, że Mademoiselle załamywała ręce i błagała o spokój.

— *Mes chères enfants* — już dziesięć godzin. — *Soyez tranquilles*, Inka — *Mon Dieu* — jaka ty jesteś zła! Margarette McCoy, nie usłuchasz mnie? *Nous verrons!* Idź natychmiast do swego pokoju. Ty nie należysz do moja hall. Dzieci! Ja błagam! Idźcie spać — wszystkie. — *Tout de suite!*

Ale pochód wznosił radosne okrzyki, póki wreszcie nie zstąpiła ze Wschodu Miss Lord i nie nakazała milczenia. Miss Lord, rozgniewana, umiała nakazać. Na jakiś czas zapanowała w Rajskiej Alei cisza i spokój, panujący zwykle na podbitych terenach, wobec czego Miss Lord wróciła do swojego obozu. Ale zgiełk wybuchnął na nowo, kiedy odkryto, że ktoś nasypał do łóżek w Alei miałkiego cukru i to w niemałych ilościach. Chciano podejrzewać o to Inkę i Ludkę, pokazało się jednak że i ich prześcieradła były szczerze cukrem posypane. Minęło znów pół godziny, zanim łóżka prześcielono i szkoła narreszcie zaczęła się układać do snu.

Kiedy nauczycielka dyżurna po raz ostatni obeszła szkołę i stwierdziła, że wszędzie panuje

już spokój, Inka odrzuciła kołdrę i ostrożnie wstała z łóżka. Wciąż jeszcze była zupełnie ubrana z tym tylko wyjątkiem, że trzewiki zamieniła na pantofle, nadające się lepiej do nocnych wycieczek. Przyłączyły się do niej Zuzia i Ludka. Na szczęście świecił księżyc w pełni, tak że niepotrzebne im było żadne sztuczne światło. Z pomocą dwóch przyjaciółek Inka ułożyła prześcieradła nakształt dwu wielkich skrzydeł i przypięła je zapomocą agrafek. Poszewkę jaśka nasunięto jej na głowę tak, że rogi tworzyły uszy. Chwyciły za nożyczki, ale przez chwilę wahały się czy ich użyć.

— Wytnijcie prędzej nos — szepnęła Inka — duszę się.

— Przecież to nieładnie psuć zupełnie całą poszewkę — odezwała się Zuzia, która dostała lekkiego napadu wyrzutów sumienia.

— Wrzucę trochę pieniędzy do puszek na misje — obiecała Inka.

Wycięto uszy i nos i przypalonym korkiem narysowano wykrzywione usta i wężowate brwi. Poszewkę przywiązała Inka mocno na szyi, aby się jej nie zsunęła, uszy kiwały się po obu stronach. Była najdziwaczniejszym widmem, jakie kiedykolwiek wyszło z przyzwoitego grobu.

Przygotowania te zajęły sporo czasu. Była już za dziesięć minut dwunasta.

— Zaczekam aż północ wybije — rzekła Inka — potem wśliznę się do pokoju Eweliny, zacznę ruszać skrzydłami i zawołam szeptem: „Chodź! Chodź“! Wytrych i placek położę jej w nogach, tak że będzie napewno wiedziała, że to nie był sen.

— A jeśli zacznie krzyczeć? — zapytała Zuzia.

— Nie zacznie. Ona kocha duchy — a szczególnie ducha Zuzanny. — Dziś wieczór sama powiedziała, że byłaby szczęśliwa, gdyby go zobaczyła.

— A jeśli mimo wszystko zacznie krzyczeć? — obstawała przy swoim Zuzia.

— O, to głupstwo! Ucieknę i schowam się do łóżka. Zanim ktokolwiek zdoła się obudzić, ja już będę spała jak zabita.

Zrobiły naprzód wywiad w pustych korytarzach, aby się upewnić, czy już jest zupełny spokój. Z otwartych drzwi słyhać było tylko równy oddech. Na szczęście Ewelina mieszkała sama, z drugiej strony jednak na nieszczęście pokój jej znajdował się na samym końcu Wschodniego Skrzydła, po przeciwnej stronie budynku. Ludka i Zuzia w pantoflach i kimonach, szły na palcach za Inką, która pobiegła na koniec Alei.

Widać ją było to tu, to tam jak ruszała skrzydłami w świetle księżyca, przesiakającym przez chmury do środkowego hallu. Przyjaciółki trzymały się razem i drżały z rozkoszy. Mimo, że same przecie były za kulisami i pomagały do ubrania ducha, myślały o tem, co by to było gdyby tak któraś z nich nagle została zbudzona, zwłaszcza jeśliby wierzyła w duchy. Przy wejściu do Wschodniego Skrzydła, wręczyły Ince jej placek i wytrych i cofnęły się na swoje terytorjum. Cokolwiekby było, na wypadek jakiejś awantury wołały być bliżej swoich pokojów.

Inka przemknęła się na sam koniec korytarza mimo szeroko otwartych drzwi aż do pokoju Eweliny, gdzie ulokowała się w samym środku smugi księżycowej. Kilka grobowych „Chodź!” nie wywołało żadnego skutku. Ewelina miała zdrowy sen. Inka potrząsnęła krawędzią łóżka. Śpiąca poruszyła się, ale spała dalej. To już było kłopotliwe. Duch wcale nie miał zamiaru sprawiać tyle hałasu, aby budzić wszystkich dookoła. Położyła placek i wytrych na tacy i znowu zatrzęsa łóżkiem z gwałtownością trzęsienia ziemi. Kiedy już chciała zabrać to, co przyniosła, Ewelina siadła na łóżku i nieprzytomnym ze strachu ruchem złapała się za włosy. Inka miała

jeszcze tyle czasu, że zdołała porwać placek — podczas gdy wytrych z trzaskiem upadł na podłogę i ten trzask w przerażonej wyobraźni Inki wzmoczonem echem odbił się aż w hallu na końcu korytarza. Nie miała sposobności ruszać skrzydłami i szeptać „Chodź“. Ewelina nie czekała na jej zaproszenie, przeciwnie, otwarłszy usta jak najszerzej tylko mogła, wydawała krzyk po krzyku z taką rozdzierającą uszy intensywnością, że Inka w pierwszej chwili zlekła się do tego stopnia, iż sama nie mogła ruszyć się z miejsca. Wreszcie, wciąż jeszcze piastując w ramionach placek, rzuciła się do ucieczki.

Ku jej konsternacji, na wołanie Eweliny ze wszystkich stron zaczęły odpowiadać niemniej przerażone krzyki. Zdawało się, że cały Zakład zbudził się i krzyczał. Słyszała, jak trzaskano drzwiami, słyszała, jak pytano o przyczynę tego zamieszania. Szybko pobiegła w stronę swego pokoju, spodziewając się, że ciemności i ogólne zamieszanie ułatwią jej ucieczkę, gdy naraz na końcu korytarza pojawiła się Miss Lord, wesoło przyodziana w kwiecisty szlafrok. Inka omal nie wpadła jej w ramiona. Jęknąwszy ze strachu pobiegła znów w stronę wrzeszczącej Eweliny.

Teraz zrozumiała, że jest w pułapce.

Z Wschodniego Skrzydła wiódł ciasny korytarzyk do mieszkań służby. Umknęła do tego korytarzyka. Gdyby mogła dostać się na tylne schody, byłaby ocalona. Otworzyła nagle drzwi i ku swemu przerażeniu spostrzegła jeszcze większe zamieszanie. Wśród służby wybuchła panika. Ujrzała zmykającą Małgosię, owiniętą kocem w czerwone pasy, podczas gdy nad całym tym tumultem wznosił się silny alt Nory:

— Ratunku! Morderca! Tu jest włamywacz.

Inka zatrzasnęła drzwi i cofnęła się w głęb korytarzyka. Za nią Ewelina wciąż histerycznie wyla:

— Widziałam ducha! Widziałam ducha!

Przed nią krzyk „Złodziej! Złodziej!“ stawał się coraz głośniejszy.

Doprowadzona do rozpaczy przed tą podwójną demonstracją, Inka rozpląszczyła się na murze w sprzyjających ciemnościach korytarzyka, dziękując w duchu Bogu, że dawno planowane oświetlenie elektryczne nie zostało jeszcze zaprowadzone. Z jaki tuzin głosów wołał o zapalki, ale zdawało się, że nikt nie mógł ich znaleźć. Inka kurczowo szarpała poszewkę, zawiązaną dokoła jej szyi, ale Ludka mocno przewiązała ją białą wstążką do włosów, a w dodatku węzeł był

z tyłu. Ale nawet gdyby się jej udało pozbyć swego przebrania, byłaby stracona, jeśliby ją złapano, ponieważ wciąż jeszcze miała na sobie białą suknię wieczorową i nawet wyobraźnia Inki nie mogła znaleźć żadnego usprawiedliwienia i umotywowania tego stroju o północy.

Pogoń zbliżała się, widać już było odblask świateł na przedzie. Każdej chwili mógł ktoś otworzyć drzwi do korytarzyka. Jedyne schronieniem, jakie było pod ręką, była komórka na brudną bieliznę, ale i to schronienie mogło służyć tylko na krótki czas. Inka namacała kłamekę i wśliznęła się do komórki. Gdyby znalazła tam stos prześcieradeł, mogła się była pod nim ukryć z nadzieją, że ujdzie uwagi, jako że sama była właściwie pękiem prześcieradeł. Ale to była sobota, skutkiem czego wszystką brudną bieliznę oddano do pralni. Spadziste, długie, śliskie koryto łączyło tę ubikację z pralnią w suterenach, dwa piętra niżej. Kroki słychać było już w korytarzyku. Inka słyszała, jak Miss Lord mówiła:

— Dajcie tu światło, przeszkujemy komórkę na bieliznę.

Inka nie wahała się dłużej. W wyobraźni czuła już dłoń Miss Lord, trzymającą ją mocno za ramię. Lepsze było już złamanie karku.

Wciąż obejmując placek cytrynowy — mimo podniecenia trzymała go mocno — wślazła do koryta, wyciągnęła nogi przed siebie i odbiła się. Przez dwie sekundy, bez tchu, jak strzała, leciała przez przestrzeń, poczem stopy jej uderzyły w drzwi na dole, i Inka wleciała do praczkarni.

Na chwilę przedtem drzwi od schodów kuchennych ostrożnie otwarły się i jakiś człowiek wybiegł z nich i skoczył do praczkarni. Ledwo się rozejrzał z bezgranicznem uczuciem ulgi po pustej, zalanej światłem księżycowem ubikacji, wleciała do praczkarni Inka ze swym plackiem, jak wystrzelona z procy. Oboje padli na ziemię, pochwyceni wirem roztrzepotanych skrzydeł. Inka, która była na górze, zerwała się pierwsza. Wciąż jeszcze trzymała swój placek, a przynajmniej to, co z niego zostało; czub z ubitej śmietany upstrzył włosy i ręce mężczyzny, ale sam placek był nietknięty. Mężczyzna usiadł na podłodze, w przerażeniu starł z oczu śmietanę, spojrzął na napastnika i zerwał się, poczem przycisnął się do ściany, z rękami daleko wyciągniętymi przed siebie, jakgdyby chciał się bronić.

— Do licha! — wykrztusił. — W jakież to piekło wpadłem?

Inka darowała mu jego sposób wyrażania się, jako że nie mógł wiedzieć, że mówi do damy. Najwidoczniej walczył z wrażeniem, iż ma do czynienia z djabelem.

Poszewka jej przesunęła się naukos, jedno ucho zwrócone było ku północy, drugie na południe, tak, że widziała tylko jednym okiem. W kapturze tym było gorąco i Inka z trudem oddychała. Przez pełną oczekiwaną chwilę stali bez ruchu i oddychali ciężko. Wreszcie umysł Inki zaczął pracować.

— Zdaje mi się — odezwała się — że to pan jest tym włamywaczem, z powodu którego tak krzyczą na górze.

Mężczyzna cofnął się i uczynił ruch przestachu, a jego szeroko otwarte oczy z przerażeniem patrzyły przez frendzle ubitej śmietany.

— Ja — mówiła Inka, uzupełniając ceremonję przedstawiania się — jestem duchem.

Mruknął coś niedosłyszalnie. Nie zrozumiała dobrze, czy klnie, czy też modli się.

— Niech się pan nie boi — dodała uprzejmie — ja panu nic nie zrobię.

— Czy to jaki przeklęty szpital warjatorów?

— Tylko szkoła żeńska.

— Boże! — wykrzyknął.

— Cicho! — szepnęła Inka. — Idą!

Odgłosy biegnących nóg dały się słyszeć w kuchni nad nimi, gdy równocześnie z wykrzykującymi piskliwie sopranami połączyły się głosy basowe. To mężczyźni przybiegli ze stajen. Włamywacz i duch patrzyli na siebie przez chwilę oniemiałi, łączyło ich wspólne niebezpieczeństwo. Inka namyślała się przez chwilę, przyglądając się twarzy mężczyzny, o ile ona widna była z poza śmietany. Miał uczciwe błękitne oczy i kędzierzawe jasne włosy. Wyciągnęła nagle rękę i złapała go za łokieć.

— Prędko! — będą tu za chwilę. — Znam ką, w którym można się ukryć. Chodź pan ze mną.

Bez oporu pozwolił jej się wepchnąć do składu, odciętego od głównej piwnicy, w którym przechowywano rekwizyty towarzystwa dramatycznego.

— Suń pan na czworakach zaraz za mną — rozkazała, schylając się i dając nura za stos dekoracji.

Mężczyzna czołgał się w ślad za nią. Wynurzyli się na końcu i schowali się w kąciaku za

kulisami. Inka przysiadła na połamanym stoleczku, a towarzyszowi swemu podsunęła pieńki.

— Na myśl im nawet nie przyjdzie zajrzeć tu — szepnęła. — Marcin jest za tłusty, aby móc przeleźć.

Małe, zakratowane okienko przepuszczało trochę bladego światła księżycowego tak, że mogli się sobie wzajemnie przyjrzeć. Mężczyzna, miało się wrażenie, wciąż jeszcze nie czuł się swego w obecności Inki, trzymał się od niej na swym pieńku jak najdalej. W tej chwili wycierał głowę rękawem swej kurtki i długo w skupieniu przyglądał się śmietanie. Widocznie nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co to za substancja. W błyskawicznym rozwoju wypadków nie zauważył placka.

Ince udało się jedno oko wycelować na niego.

— Ja się już zupełnie rozpląwam — szepnęła. — Nie mógłby pan rozwiązać tego węzła.

Pochyliła głowę i nadstawiła kark.

Mężczyzna mógł się teraz częściowo upewnić co do ludzkiej natury towarzyszki, wobec czego posłusznie zaczął rozplątywać węzeł drżącymi rękami. Nareszcie udało mu się go rozwiązać i Inka z westchnieniem ulgi wystawiła głowę

z kaptura. Włosy jej były trochę rozburzone, a twarz zasmarowana przypalonym korkiem, ale jej błękitne oczy były tak uczciwe jak jego. Ten widok dodał mu otuchy.

— Patrzcie! — mruknął z ulgą.

— Cicho! — ostrzegła go Inka.

Naganka zbliżała się. Słysząc było już kroki w pralni, a nawet głosy mężczyzn.

— Duch i włamywacz! — mówił Marcin z pewnem oburzeniem — bardzo wiarygodna kombinacja, nieprawda?

Obowiązkowo a zbytecznie przeszukali skład węgla. Marcin żartobliwie pytał:

— A zajrzałeś do komina, Michale Osaki, mój chłopcze? Jesteś mały, wleź w rurę i zobacz — może tam duch się ukrył.

Otwarli drzwi do składu z rekwizytami i zajrzeli. Włamywacz pochylił głowę i wstrzymał oddech, podczas gdy Inka walczyła z zupełnie niepożądanem pragnieniem wybuchnięcia śmiechem. Marcin był w doskonałym humorze. Gwizdnął jak na psa.

— Do nogi duchu, do nogi złodzieju! Chodź tu, drabie.

Z hukiem zatrzasnęli drzwi i kroki ich zaczęły się oddalać. Inka kiwała się naprzód

i wtył w jakimś niby ataku hysterji, zatykając sobie usta rogiem prześcieradła, aby się nie roześmiać głośno, włamywacz dzwonił zębami.

— Boże! — westchnął. — Pani może się to wydawać śmieszne, ale dla mnie znaczyłoby to karę więzienia.

Inka przestała się śmiać i spojrzała na niego z obrzydzeniem.

— Dla mnie to byłoby wyrzucenie ze szkoły, a co najmniej coś strasznie nieprzyjemnego. Ale to nie racja, żeby zaraz trząść się ze strachu. Ładny z pana włamywacz! Głowa do góry i trzymaj się pan dzielnie.

Zmarszczył brwi i znowu starł palcami kawałek ubitej śmietany.

— Pan musi być okropnym amatorem włamywania się do domów podobnych do tego — mówiła pogardliwie. — Czyż pan nie wie, że tu srebro jest platerowane?

— Nic o tem nie wiedziałem — odpowiedział posepnie. — Widziałem tylko, że okno nad dachem szopy jest otwarte i wlałem przez nie. Byłem głodny i myślałem, że znajdę coś do zjedzenia. Od wczoraj rana nic w ustach nie miałem.

Inka sięgnęła ręką na podłogę.

— Masz pan trochę placka.

Mężczyzna drgnął i usunął się, kiedy rzuciła placek w jego stronę.

— Co to? — wyjąkał.

Był tak zdenerwowany, jak mysz w klatce.

— Placek cytrynowy. Wygląda trochę zmiętoszony, ale to nic nie szkodzi. Brakuje tylko piramidki z bitej śmietany, ale jej większą część masz pan na głowie. Reszta została na mojej sukni, na podłodze w pralni, na łóżku Eweliny Smith, i w korycie do zrzucania bielizny.

— O! — mruknął z widoczną ulgą, czwarty raz już sięgając ręką do głowy. — A ja wciąż myślałem, co to za jakiś przeklęty klajster!

— Ale placek jest tu cały! — namawiała go. — Zjedźże go pan. Bardzo pożywny.

Zabrał się do placka i jadł go z żarłocznością, świadczącą wymownie o prawdzie twierdzenia, iż nie jadł nic od wczorajszego śniadania.

Podczas gdy Inka przyglądała mu się, wrodzona jej ciekawość walczyła z nabytą grzecznością. Wreszcie ciekawość zwyciężyła.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak to się stało, że pan został włamywaczem? Pan tak źle się popisał, że mam wrażenie, że pan wolałby obrać sobie jakiś inny zawód.

Jedząc, opowiedział jej całą historję. Człowiekowi doświadczonemu w sprawach policyjnych, wydałaby się do pewnego stopnia nieprawdopodobna, ale on miał uczciwą twarz i błękitne oczy, i ani na myśl jej nawet nie przyszło nie wierzyć mu. Włamywacz rozpoczął swoje opowiadanie posepnie. Dotychczas nikt mu nigdy nie uwierzył i był pewny, że ona też nie uwierzy. Z przyjemnością nablagowałby w ciekawszy i bardziej zajmujący sposób, nie miał jednak dość wyobraźni, aby wymyślić jakieś przekonywujące kłamstwo. Wobec tego jak zwykle, niezgrabnie mówił prawdę.

Inka słuchała z wyteżoną uwagą. Jego opowiadanie było chwilowo stłumione przez placek cytrynowy, a jego sposób wyrażania się nie był zgodny z jej sposobem. Mimo to starała się zrozumieć w czem rzecz.

Właściwie to on był ogrodnikiem. Na ostatniej posadzie musiał sypiać na poddaszu, ponieważ pan domu często wyjeżdżał, a pani samotna bała się trzymać obcego mężczyznę w domu. A pewien robotnik, pracujący w gazowni, podający się stale za jego przyjaciela, zafundował mu pewnej nocy sporo piwa i upił go i wziął mu klucz od tylnych schodów. I kiedy on (ogrodnik) spał

sobie w najlepsze pod jabłonią na kupie piasku, w którym bawiły się dzieci w tylnym podwórzu, robotnik zakradł się do domu i ukradł płaszcz i srebrny dzbanuszek na kawę i pudełko cygar i butelkę whisky i dwa parasole. A to wszystko zwalono na niego (ogrodnika) i zamknięto go za to na dwa lata. A kiedy wyszedł z więzienia, nigdzie nie mógł dostać roboty.

— I nikt mi nie wytłumaczy — dodał gorzko — że to piwo nie było czemś zaprawione.

— Ale to było bardzo nieładnie, że pan się upił! — mówiła Inka dotknięta niemile.

— To był przypadek — twierdził uporczywie.

— Jeżeli pan jest *pewny*, że pan tego nigdy więcej nie zrobi — rzekła — to ja panu dam robotę. Ale pan musi mi przyrzec, że pan się nie będzie upijał, na słowo honoru uczciwego człowieka. Rozumie pan przecie, że nie mogłabym nikomu polecić pijaka.

Mężczyzna uśmiechnął się blado.

— Głowę dam za to, że pani nie znajdzie nikogo, kto by chciał przyjąć człowieka, który siedział w kryminale.

— A właśnie że znajdę! Właśnie znam takiego człowieka. Jest to mój przyjaciel i on właśnie lubi takich, którzy siedzieli już w kryminale.

On sam zdaje sobie sprawę z tego, że tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, został miljonerem, a nie kryminalistą. Zawsze daje człowiekowi sposobność do rozpoczęcia nowego życia. Morderca był u niego stróżem w cieplarniach, złodziej bydła doił krowy. Jestem pewna, że przyjmie pana chętnie. Chodź pan ze mną, napiszę panu list polecający.

Inka otuliła się szczerze radłami i zamierzała wyjść z ukrycia.

— Co pani robi? — zapytał żywo. — Czy pani chce mnie wydać?

— Czy to możliwe? — spojrzała na niego ze wzgardą. — Jakże mogłabym wydać pana, nie wydając równocześnie samej siebie?

Przekonany tą logiką, wylazł za nią na czworakach. Inka podeszła ku drzwiom pralni i nadśluchiwała pilnie. Pogoń przeniosła się do innej części domu. Dziewczyna poprowadziła swego towarzysza korytarzem, a potem po kilku schodach weszła do pustej sali, gdzie mieściła się ochronka.

— Tu jesteśmy już bezpieczni — szepnęła. — Tę salę już przeszukiwano.

Zaczęła szukać przyborów do pisania. Nie było atramentu, zato znalazła czerwony ołówek.

Wydarła z zeszytu kartkę papieru. „Uczciwość jest najlepszą polityką“ wypisano na kartce pięknymi literami na górze. Chciała pisać, ale wahała się jeszcze.

— Jeśli pan dostanie doskonale miejsce dozorca cebul, orchidei i innych takich rzeczy, przyrzeknie pan, że pan nie tknie więcej piwa?

— Napewno — zgodził się bez większego zapalu.

W oczach jego widniała jakby niepewność. Nic podobnego mu się jeszcze w życiu nie zdarzyło. Podejrzewał jakąś pułapkę.

— Bo widzi pan — mówiła Inka — gdyby pan znowu zaczął pić, sprawiłby mi pan ogromny kłopot. Nigdy więcej nie śmiałabym polecić żadnego włamywacza.

Oparta o ramę okiennej, napisała przy świetle księżycy list, który przeczytała głośno:

„Kochany Panie Weatherby!

Czy przypomina pan sobie naszą rozmowę, kiedy to uciekłam z zakładu i wpadłam do pańskiego ogrodu z cebulą? Powiedział pan wtedy, że kryminaliści bywają często tak dobrzy, jak i my i że pan znalazłby robotę dla zaprzyjaźnionego kryminalisty, któregobym do pana odesłała. Listem tym polecam panu włamywacza, z którym się zaznajomiłam, a który chętnie ob-

jąłby u pana posadę ogrodnika. Uczył się na ogrodnika i zawód ten przedkłada nad zawód włamywacza, ale z trudem przychodzi mu znaleźć miejsce, ponieważ siedział w więzieniu. Jest wierny, uczciwy i pracowity i przyrzeka być trzeźwym. Będę wdzięczna za okazane mu względy.

Szczerze oddana
Inka Wyatt.

P. S. Proszę wybaczyć, że piszę czerwonym ołówkiem. Piszę o północy przy świetle księżycowem, w sali ochronki, a atrament jest schowany. Włamywacz opowie panu całe zdarzenie, zbyt skomplikowane, aby je opisać.

Zawsze Pańska I. W.“

Włożyła list do szerokiej koperty z manili, w której zawierały się robótki, i zaadresowała. Mężczyzna wziął ją z pewnem wahaniem. Widocznie wciąż jeszcze czegoś się obawiał.

— O co chodzi? — rzekła Inka. — Czy pan się czego obawia?

— Czy pani jest pewna? — zapytał podejrzliwie — że Silas Weatherby nie jest draniem?

— Jest prezydentem kolei.

— Och! — Włamywacz miał trochę pewniejszą siebie minę.

Inka otworzyła okno, a potem na pożegnanie wypaliła kazanie o moralności.

— Daję panu możność rozpoczęcia nowego życia. Jeśli pan jesteś mężczyzną, co się zowie, zgłosi się pan z tym listem i dostanie pan zajęcie. Jeśli pan jesteś tchórzem i nie zgłosisz się pan z tym listem, będziesz pan przez całe życie już włamywaczem — i to w dodatku, jak myślę, wcale nędznym!

Otworzyła szeroko okno i zachęcająco skinęła głową.

— Dowidzenia, Miss — rzekł.

— Dowidzenia — rzekła Inka — życzę panu szczęścia!

Zatrzymał się, jedną stroną ciała zwrócony ku pokojowi, drugą już na zewnątrz. Pragnął się jeszcze raz upewnić.

— Czy pani jest pewna, że on nie zawiedzie? Czy pani nie bierze mnie na kawał?

— Nie zawiedzie — zaryzykowała swe słowo.
— Ja nie biorę pana na kawał.

Inka tyłem prześliznęła się na schody i szczęśliwie okrążyła podniecony tłum, wciąż jeszcze zebrany w Wschodniem Skrzydle. Zgiełk powstał nanowo, ponieważ Ewelina Smith znalazła w swoim pokoju na podłodze wytrych. Pokazano go kpiącemu wciąż Marcinowi, jako namacalny dowód, że włamywacz istotnie tu był.

— Ależ to mój własny wytrych! — wykrzyknął zdumiony. — Co za śmiałość!

Inka rozebrała się pospiesznie i narzuciła na siebie kimono. Przecierając zaspane niby oczy, przyłączyła się do zgromadzenia w hallu.

— Co się stało? — zapytała, mrugając, jakby ją światło raziło. — Czy się tu paliło?

Odpowiedział jej chóralny śmiech.

— Był tu włamywacz! — rzekła Ludka, pokazując wytrych.

— O, czemużście mnie nie obudziły! — jęknęła Inka. — Całe życie chciałam zobaczyć prawdziwego włamywacza.

W dwa tygodnie później konny posłaniec przybył z grzecznym listem do Wdowy.

Pan Weatherby zasyłał wyrazy szacunku pani Trent i domagał się przyjemności pokazania młodemu damom z wyższego gimnazjum swej galerji obrazów w najbliższy piątek o czwartej po południu.

Wdowa nie wiedziała, czemu przypisać tę niespodziewaną uprzejmość ze strony sąsiada, zachowującego się dotychczas niezbyt po sąsiedzku. Po chwili namysłu postanowiła uczynić jego pragnieniu zadość, skutkiem czego posłaniec od-

jechał z grzeczną odpowiedzią, przyjmującą zaproszenie.

Następnego piątku, kiedy karawan szkolny stanął przed bramą Weatherby Hall, właściciel stał na werandzie, aby powitać gości. Wdowa nie zauważyła, że w sposobie, z jakim powitał Inkę, było więcej *empressement*, niż w powitaniu jej towarzyszek.

Okazał się gospodarzem nadzwyczaj uprzejmym. Osobiście oprowadził wycieczkę po swej galerji i pokazał sławne dzieła Boticelllego. Podano podwieczorek na małych stolikach na zachodnim tarasie. Wszystkie panienki znalazły przy swem nakryciu gardenję i srebrną bombonierkę z monogramem świętej Urszuli na wieczku. Po podwieczorku gospodarz zaproponował zwiedzenie włoskiego ogrodu. Kiedy krążyli po ścieżkach, Inka przypadkiem szła obok niego i Wdowy. Zwracał się wyłącznie do pani Trent, ale od czasu do czasu spozierał rozbawionem okiem na Inkę. Okrążywszy marmurowy pawilon, stanęli nad fontanną i jakimś ogrodnikiem, zajętem gorliwie żywopłotem, który ją okalał.

— Mam od jakiegoś czasu bardzo zdolnego ogrodnika — rzekł pan Weatherby przy sposobności do Wdowy. — Ten człowiek jest poprostu

genjuszem w swoim zakresie. Przyszedł do mnie z listem znakomicie go polecającym. Oskarże! — zawołał — daj paniom trochę tulipanów.

Człowiek rzucił swą polewaczkę i zbliżył się, trzymając kapelusz w rękę. Był to złotowłosy, błękitnooki młody człowiek z uczciwym uśmiechem. Podał kwiaty naprzód starszej pani, potem Ince. Kiedy zauważył jej zaciekawione spojrzenie, błysk zrozumienia nagle zaświecił w jego oczach. Jej strój i zachowanie się były tak różne od tego, jakiego był świadkiem podczas pierwszego spotkania, że nie poznał jej odrazu.

— Muszę pani podziękować — rzekł z wdzięcznością. — Jest to najlepsze miejsce, jakie kiedykolwiek miałem. Teraz jest wszystko w porządku.

— Widzi pan — zaśmiała się Inka — że nie zrobiłam panu żadnego kawału.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

NA CYGAŃSKIM SZLAKU.

— Pięty razem. Mocno w biodrach. Raz, dwa, trzy, cztery — Irmo Mc Collough! Czy *zechcesz* nareszcie podać ramiona wstecz i wciągnąć brzuch? Ileż razy mam powtarzać, że masz stać prosto? Tak, teraz lepiej. Jeszcze raz. Raz, dwa, trzy, cztery.

Gimnastykowano się leniwie. Jakie dwadzieścia delikwentek odrabiało lekcje karne. Zajęcie to nie licowało z słoneczną sobotą. Dwadzieścia par oczu patrzyło ponad głowę Miss Jellings, poprzez kółka, liny i poręcze, na zielone wzgórze i w niebieskie niebo. I dwadzieścia dziewcząt przez przeciąg tej krótkiej godziny żałowało swych minionych już przewin.

Sama Miss Jellings była w złym humorze. Ostro rzucała krótkie rozkazy, wywołujące błyskawiczne odpowiedzi ze strony czterdziestu migających w powietrzu maczug. Kiedy tak stała wyprostowana i smukła w swym gimnastycznym kostjumie, z policzkami zarumienio-

nemi od ruchu, nie wyglądała starzej od swych uczennic. Jeśli jednak wyglądała młodo, wyglądała też na młodą osobę bardzo stanowczą. Ani jedna nauczycielka w szkole, nie wyjmując Miss Lord, nie umiała tak, jak ona, trzymać w ryzach swych uczennic.

— Raz, dwa, trzy, cztery — Inko Wyatt! Patrzyć przed siebie! Nie potrzebujesz bynajmniej patrzeć na zegar. Każę wam odejść, jak skończę swoje. Ręce do góry. Raz dwa, trzy, cztery! — wreszcie, kiedy nerwy były już bliższe wypowiedzenia posłuszeństwa, padł miły rozkaz:

— Baczość! Na prawo za-chodź, marsz! Złożyć maczugi. Stój! Rozejść się!

Ze szmerem ulgi oddział rozszedł się.

— Bogu dzięki, jeszcze tylko tydzień tego wszystkiego! — odetchnęła Inka, kiedy wróciły do swych pokojów w Rajskiej Alei.

— A potem — zegnaj, gimnazjum, na zawsze! — Ludka zatrzepotała rączką nad głową. — Hurra!

— Czy ta Jelly nie jest straszna? — rzekła naraz Inka, nadąsana jeszcze z powodu ostatniego napomnienia. — Nigdy nie była taka zła!

— Umie czasem kąsać! — przyznała Zuzia. — Ale mimo to ja ją lubię. Ona jest — jakby podniecona czasem, rozumiecie — jak koń gorącej krwi.

— Hm! — mruknęła Inka. — Chciałabym, żeby się znalazł dobry, rosły, mocny mężczyzna, któryby uzyskał przewagę nad Jelly i wziął ją na pasek. Chciałabym to widzieć.

— Musicie się spieszyć — zwróciła im uwagę Zuzia — jeśli chcecie w porę zdążyć z wkładaniem tych kostjumów. Marcin za półgodziny ma jechać!

— Zdążymy!

Inka w tej chwili zanurzyła twarz w miednicy, pełnej jakiejś mieszaniny koloru atramentu.

Wieczór kostjumowy Zakładu św. Urszuli, urządzany co rok w ostatni piątek majowy, odbył się poprzedniego dnia; następnego popołudnia pаниenki przywdziewały kostjumy znowu, aby udać się do miasta, do fotografa. Skomplikowane kostjumy, wymagające czasu i przestrzeni dla ich należytego noszenia, trzeba było włożyć już w szkole i tak jechać w nich karawanem do miasta. Mniej okazałe kostjumy wieziono do

miasta i tam przywdziewano je w garderobie fotografa.

Inka i Ludka, których strój wymagał niemało zachodu, ubierały się w Zakładzie. Przedstawiły cyganki — nie te z opery komicznej, lecz prawdziwe cyganki, brudne, obszarpane i w łachmanach. Już na tydzień przed maskaradą nanosiły swemi strojami pełno pyłu do pokojów. Inka miała jedną pończochę brązową a drugą czarną z okazałą dziurą na prawej łydce. Ludce palce wylaziły z jednego trzewika, a u drugiego podeszwa odrywała się. Włosy ich były rozczochrane, twarze brudne. Były ostatniem słowem realizmu.

Dziś narzuciły na siebie swe kostjумы bez większych ceremonij i jakbądź je szepiały. Ludka wzięła tamburyn, a Inka zużytą talję kart i obie zeszły obitemi blachą, tylnemi schodami. Nadole spotkały się w hallu z Miss Jellings, ubraną w powiewną muślinową suknię i jakby już w lepszym humorze. Inka nigdy do nikogo długo nie chowała żalu. Zapomniała już o swej chwilowej urazie o to, że nie pozwolono jej patrzeć na zegar.

— Niech mi pani da srebrny pieniążek! Przepowiem pani przyszłość.

Tańczyła dokoła nauczycielki, szeleszcząc szkarłatnymi spódniczkami i nadstawiała brudną rączkę.

— Piękna przyszłość! — dodała Ludka z przekonującym brzękiem tamburyna. — Wysoki, młody brunet.

— Wy bezwstydney, małe czarownice! — wykrzyknęła Miss Jellings, biorąc je za plecy i obracając je tak, aby się im móc przyjrzeć. — Coście zrobiły ze swemi buziami!

— Umyłyśmy je czarną kawą.

Miss Jellings potrząsnęła głową i zaśmiała się.

— Kompromitujecie całą szkołę — rzekła. — Nie pokazujcież się posterunkowym, bo was jeszcze zaaresztują za włóczęgostwo!

— Inko! Ludko! Chodźcie prędko! Karawan już czeka.

Zuzia pojawiła się w sieni, z zapalem potrząsając swym rusztem. Nie mogąc znaleźć żadnego kostjumu, w ostatniej chwili bluźnierczo przebrała się za św. Laurencję, to jest udrapowała na sobie prześcieradło i wzięła pod pachę kociołek kuchenny.

— Idziemy! Powiedzcie mu, żeby zaczekał!

— Płaszczów nie bierzecie? — krzyknęła za niemi Ludka.

— Nie! Chodźmy! Nie potrzeba płaszców. Obie, co sił w nogach, pobiegły za karawanem. — Marcin nigdy nie czekał na spóźniających się; musiały biec za wozem i wsiadać w biegu. Dziewczęta skoczyły na stopień; pół tuzina rąk wciągnęło je do środka, głową naprzód.

Poczekalnia fotografa była sceną największego, jakie było sobie można wyobrazić, zamieszania. Kiedy sześćdziesiąt osób zajmie miejsce, w którym może się pomieścić dwanaście, rezultat nie daje na siebie długo czekać.

— Ma która z was haczyk do zapinania guzików?

— Pożycz mi trochę pudru.

— To moja agrałka!

— Gdzie mój przypalony korek?

— Czy dobrze jestem uczesana?

— Ściągnij mnie — bądź tak dobra.

— Spódnica dobrze leży?

Mówiły wszystkie naraz, a żadna nie słuchała.

— Wyjdźmy stąd, mówię wam — ja się duszę.

Święta Laurencja chwyciła cyganki za ramiona i zaprowadziła je do pustej galerji. Z westchnieniem ulgi usiadły na chwiejnych stopniach ciasnych schodów, gdzie chłodził je powiew, wpadający przez otwarte okno.

— A ja wiem, co Jelly tak boli! — odezwała się Inka, mówiąc z taką miną, jakgdyby prowadziła konwersację w dalszym ciągu.

— Cóż to takiego? — zapytały jej przyjaciółki z zaciekawieniem.

— Pokłóciła się z tym Wawrzyńcem Gilroy, dyrektorem elektrowni. Pamiętacie, jak dawniej wciąż się włóczył po Zakładzie? A teraz wcale się nie pokazuje. Podczas feryj Bożego Narodzenia przychodził codziennie. Chodzili na przechadzkę razem, bez duenny, sami! Możliwe, że Wdowa zrobi o to straszne piekło, ale jakoś nie zrobiła. Trzeba było widzieć, jak Miss Jellings traktowała tego człowieka — to było poprostu straszne! Sposób, w jaki się rzuca na Irmę Mc Collough, jest *niczem* w porównaniu ze sposobem, w jaki rzucała się na niego.

— *On* nie ma obowiązku robić ćwiczeń za karę. Jest warjat, jeśli to znosi! — rzekła Ludka poprostu.

— To też nie znosi tego więcej!

— Skąd wiesz?

— No, jakby to powiedzieć — coś niecoś słyszałam. Podczas feryj Bożego Narodzenia siedziałam jednego dnia w bibliotece, w niszy, czytając „Morderstwo przy ulicy Morgue“, gdy

naraz weszła Jelly z panem Gilroy. Nie zauważyli mnie, a ja z początku też nie zwracałam na nich uwagi — i właśnie doszłam do miejsca, w którym detektyw mówi „czy to ślad *ludzkiej* ręki?“ — gdy naraz oni zaczęli się sprzeczać tak, że chcąc nie chcąc musiałam słuchać, a w dodatku wstyd mnie było przerywać im.

— Cóż mówili? — zapytała Ludka, niecierpliwie przechodząc do porządku nad jej usprawiedliwianiem się.

— Niezupelnie rozumiałam. On próbował jej coś wytłumaczyć, ale ona nie chciała nawet słuchać tego, co mówił — była *wprost straszna!* Wiecie, jak ona to mówi: „Ja to doskonale rozumiem, nie chcę słuchać żadnych usprawiedliwień się, masz dziesięć wypracowań za karę i przyjdziesz w sobotę na osobną lekcję gimnastyki.“ Klócili się tak jaki kwadrans i zwolna stawali się coraz sztywniejsi. Wreszcie on chwycił kapelusz i wyszedł. I wiecie, nie przypuszczam, żeby od tego czasu kiedykolwiek był przyszedł. Przy najmniej *ja* ani razu go nie widziałam. A teraz ona taka smutna. Od tego czasu jest jakby odmieniona.

— A może być strasznie miła — rzekła Zuzia.

— Tak, *może* być — potwierdziła Inka. — Ale jest *zanadto* zaciętrzewiona. Chciałabym bardzo, aby ten pan wreszcie się zjawił i pokazał jej należne miejsce.

Członkowie maskarady weszli do galerji i zaczęła się robota. Pozowała cała pensja do grupy, później od tej grupy oderwała się nieskończona ilość mniejszych grup, które pozowały każda z osobna, podczas gdy te pensjonarki, które już nie pozowały, stały w kamerze i rozśmieszały pozujące.

— Proszę pań! — błagał zrozpaczony fotograf. — Może panie raczą stać spokojnie przez dwie sekundy? Zepsułem już przez panie trzy klisze. Czy ten mnich tam, na końcu, przestanie raz chichotać? Teraz! Proszę o spokój! Proszę patrzeć w kierunku rury od pieca i stać, nie zmieniając pozycji, póki nie naliczę do trzech. Raz, dwa, trzy! Dziękuję paniom!

Wyjął wyszukany gestem kliszę i pośpieszył z nią do ciemnej komórki.

Teraz zkolei miała być zdjęta Inka z Ludką, ale św. Urszula i jej Jedenaście Tysięcy Dziewic domagały się pierwszeństwa na tej podstawie, iż jest ich więcej i narobiły takiego hałasu, że cyganki grzecznie usunęły się na stronę.

Keren Hersey, jako św. Urszula i jedenaście małych dziewczynek z niższej wstępnej — każda reprezentująca tysiąc dziewic — stanowiły grupę. Jak Keren tłumaczyła, miał to być obraz symboliczny.

Kiedy na cyganki drugi raz przyszła kolej, Inka nieszczęśliwie zaczepiła suknią o gwóźdź i na samym przodzie wydarła sobie trójkątną dziurę. Dziura była tak wielka, że nawet cyganka musiałaby się jej powstydić, wobec czego Inka wycofała się do garderoby i przyfastrygowała jej brzegi ścięciem białej nici.

Wreszcie na samym końcu pojawiły się w swych łańcuchach i całym swym brudzie. Fotograf był artystą, to też powitał je z pełnym uznaniem zachwytem. Dotychczas wszystkie panienki były zwykłymi, banalnymi figurami z maskarady, te dwie były prawdziwe. Zdjął je w tańcu, i wędrujące przez pustynne moczary na posępnym tle chmur. Właśnie zamierzał je zdjąć w lesie, przy ognisku, koło kotła, wiszącego nad trzema polanami, gdy nagle Ludka zauważyła dziwną ciszę, panującą dokoła.

— Gdzie one się podziały?

Wybiegła pośpiesznie do poczekalni i wróciła, napół śmiejąca się, napół skonsternowana.

— Inko! Karawan odjechał! A te, które jada powozami, czekają pod Marshem i Ellinsem.

— O, szelmy! Przecież wiedziały, że my tu jesteśmy.

Inka rzuciła swe polana i wstała żywo.

— Bardzo mi żal! — zwróciła się do fotografa, który pilnie omiatał kocioł z kurzu. — Musimy uciekać!

— A nie wzięłyśmy płaszczów? — jęknęła Ludka. — Miss Wadsworth nie zechce nas wziąć do powozu w tych sukniach.

— Będzie musiała! — rzekła Inka poprostu. — Nie może nas zostawić na bruku.

Zbiegły nadół, ale przez chwilę namyślały się w ciemnej sieni. Jednakże nie pora była na wahanie, wobec czego, zebrawszy całą odwagę, wmieszały się w sobotni popołudniowy tłum, tłoczący się w głównej ulicy.

— Och, mamó! Prędko! Popatrz na te dwie cyganki! — zawołał jakiś chłopczyk, kiedy przebiegały koło niego.

— Boże! — szepnęła Ludka. — Mam wrażenie, jakbym występowała w cyrku.

— Śpieszmy się! — zawołała Inka i chwyciwszy się za ręce, puściły się biegiem. — Powóz

zatrzymał się i one wsiadają. Zaczekajcie! Zaczekajcie!

Gorączkowo wymachiwała tamburynem nad głową.

Na skrzyżowaniu ulic zatrzymał je przejeżdżający szybko tramwaj. Ostatnie z Jedenastu Tysięcy Dziewic już wsiadły, nie obejrzawszy się nawet za siebie, a powóz ruszył obojętnie i po chwili był już tylko żółtym punktem w oddali. Cyganki stanęły na rogu ulicy i spoglądały po sobie w osłupieniu.

— Nie mam przy sobie ani centa. A ty?

— Ja też nie.

— Jakże się dostaniemy do domu?

— Nie mam pojęcia.

Inka uczuła naraz, że ją ktoś chwycił za łokieć. Odwróciwszy się, ujrzała młodego Johna Drewa Dominika Murphy'ego, protegowanego Zakładu i swego dobrego znajomego. Murphy przyglądał się im z złośliwą radością.

— Hej, wy! Zaśpiewajcie nam co i zatańczcie.

— Przynajmniej nasi przyjaciele nie poznają nas — rzekła Ludka, czerpiąc bodaj tę pociechę w swem „incognito“.

Zebrał się dokoła nich już cały tłum, który z każdą chwilą wzrastał. Spieszący przechodnie musieli skręcać w boczne ulice, aby tłum wyminać.

— Zdaje mi się, że w krótkim czasie mogłybyśmy zarobić na powóz — odezwała się Inka z błyskiem złośliwego humoru, który zaczynał brać górę nad trwogą. — Ty będziesz biła w tamburyn, ja zatańczę im taniec marynarski.

— Inko! Opamiętaj się! — apelowała Ludka błagalnie do zdrowego rozumu przyjaciółki. — Przecie w przyszłym tygodniu mamy zdać egzamin dojrzałości! Na miłość boską, czy chcesz, żeby cię teraz wyrzucono z gimnazjum?

Złapała ją za łokieć i przemocą odwiodła ją na boczną ulicę. John Drew Murphy i jego przyjaciele szli za nimi jakiś czas, ale nagapiwszy się im i widząc, że cyganki nie myślą dać żadnego przedstawienia, stopniowo odpadli.

— Cóż teraz poczniemy? — zapytała Ludka, odpędziwszy idących wciąż za nimi małych chłopców.

— Może pójdziemy piechotą?

— Piechotą? — Ludka pokazała na swój trzewik z klapiącą podeszwą. — Nie wyobrażasz sobie, że zdołam ująć trzy mile w tym trzewiku.

— No to nie! — rzekła Inka. — Zatem co zrobimy?

— Mogłybyśmy wrócić do fotografa i pożyczyć od niego na powóz.

— Co to, to nie! Ani myślę paradować znowu przez całą długość głównej ulicy z tą dziurą w pończosze.

— Bardzo słusznie! — wzruszyła Ludka ramionami. — Wymyśl co innego.

— Mogłybyśmy pójść do biura wynajmu powozów i tam —

— To po drugiej stronie miasta. Nie mogę taki kawał drogi kłapać wciąż podeszwą. Za każdym krokiem muszę podnosić nogę na dziedzię cali od ziemi.

— Też słusznie! — tym razem Inka wzruszyła ramionami. — Może ty wymyślisz coś lepszego.

— Mnie się zdaje, że najmądrzej byłoby wsiąść do omnibusu i poprosić konduktora o kredyt.

— Oczywiście! I wobec wszystkich pasażerów opowiedzieć, że jesteśmy z Zakładu św. Urszuli. Rozniosłoby się to w tej chwili po całym mieście, a Wdowa byłaby wściekła.

— Więc i to nie! Co robić?

Stały właśnie przed okazałą drewnianą willą z werandą, na której bawiło się troje dzieci. Dzieci na ich widok zaprzestały zabawy, stanęły na schodach i przyglądały się im.

— Chodź — gwałtownie rzekła Inka. — Zaśpiewamy „Na cygańskim szlaku“. (Była to najulubieńsza w ostatnich czasach pieśń całej pensji.) Ty będziesz mi akompanjowała na tamburynie i możesz przytem kłapać swą podeszwą. Może być, dadzą nam dziesięć centów. Będzie to wspaniały „kawał“, jeśli nam się uda zarobić na koszta powrotu do domu — a jestem *pewna*, że *mój* śpiew wart dziesięciu centów.

Ludka spojrzała w pustą ulicę. Nigdzie nie było widać posterunkowego. Niechętnie dała się Ince pociągnąć za sobą i rozpoczął się śpiew. Dzieci z zapalem biły brawo i obie przyjaciółki już były pewne, że się im przedstawienie nadzwyczaj udało, gdy naraz drzwi otworzyły się i pokazała się w nich jakaś pani — rzekłbyś, rodzona siostra Miss Lord.

— Zaprzestańcie natychmiast tych hałasów. Tu leży ktoś ciężko chory.

Ton również przypominał łacinę. Odwrócili się i uciekły tak prędko, jak na to podeszwa Ludki pozwalała. Kiedy już oddzielały je od łaciń-

skiej kobiety trzy boczne ulice, usiadły na jakimś gościnnym stopniu, oparły się o siebie ramionami i roześmiały się.

Z za rogu wyszedł jakiś mężczyzna, który pchał przed sobą kosiarkę.

— Hej, wy tam! — zawołał na nie. — Pochajcie trochę.

Wstały posłusznie i pchały maszynę dalej. Szły w kierunku przeciwnym od Zakładu św. Urszuli, ale że i tak nie wiedziały, co ze sobą począć, wciąż pchały maszynę mimowoli. Tak zaszły aż na przedmieście i naraz znalazły się wprost naprzeciw wielkiego komina i grupy niskich budynków, szeroko murem obwiedzionej. Była to wieża ciśnień i elektrownia.

Błysk nadziei zaświecił w oczach Inki.

— Słuchaj! Pójdziemy do pana Gilroy poprosić go, żeby nas odwiózł swoim autem.

— Czy znasz go dobrze? — zapytała Ludka z pewnem powątpiewaniem w głosie. Tyle się już wstydu najadła, że zaczęła się robić nieufna.

— Ależ tak! Znam go *doskonale*. Plątał się wciąż pod nogami podczas feryj Bożego Narodzenia. Raz nawet biliśmy się śnieżkami. Chodźmy! On nas z przyjemnością odwiezie. To mu da sposobność do pogodzenia się z Jelly.

Ciasną, asfaltową uliczką skierowały się ku budynkowi z cegieł z napisem „Biuro“. Kiedy stanęły w progu pierwszego pokoju, czterech urzędników wraz z panną do pisania wybuchnęło na ich widok śmiechem. Siedzący najbliżej nich młody człowiek okręcił się wraz z krzesłem, aby je lepiej widzieć.

— Hallo, dziewczęta! — rzekł z wesołą poufałością. — Skądęście się tutaj wzięły?

Panna pisząca na maszynie zaczęła robić głośne uwagi na temat dziurawych pończoch Inki.

Twarz Inki oblała się ciemnym rumieńcem pod czarną kawą.

— Przyszliśmy do pana Gilroy — rzekła z godnością.

— Pan Gilroy jest dziś bardzo zajęty — odpowiedział z uśmiechem młody człowiek. — Czy nie wolałabyś raczej mnie powiedzieć, z czym przyszłaś?

Inka wyprostowała się dumnie.

— Proszę powiedzieć panu Gilroy — *natychmiast* — że chcemy z nim pomówić i czekamy.

— Oczywiście. Proszę *bardzo* o przebaczenie.

Młody człowiek zerwał się z przesadną uprzejmością. — Czy panie mogą łaskawie dać mi swe bilety wizytowe?

— Dziś przypadkiem nie mam przy sobie biletu wizytowego. Proszę powiedzieć poprostu, że dwie damy życzą sobie mówić z nim.

— A, w tej chwili. Proszę bardzo, chwileczka! Czy pani raczy usiąść?

Podsunał Ince swe krzesło i przyniósłszy drugie, podsunał je Ludce z ukłonem, pełnym prowincjonalnej galanterji. Urzędnicy zadygotali z radości na widok tej komedji, ale cyganki nie widziały w niej nic śmiesznego. Usiadły z chłodnem „dziękuję“ i siedziały sztywno, wpatrzone w kosz na papiery, z jak najbardziej nieprzyjemną miną. Podczas gdy unizony młody człowiek pośpieszył do biura swego szefa, uwaga opinji publicznej przeniosła się z pończoch Inki na trzewiki Ludki. Młody człowiek natychmiast wrócił i z nieudaną grzecnością wskazał im drogę. W drzwiach ukłonił im się nisko.

Pan Gilroy pisał i dopiero po krótkiej chwili spojrzął na cyganki. Oczy jego otwały się szeroko ze zdumienia — urzędnik bowiem powtórzył mu słowa cyganek dosłownie. Oparł się o oparcie krzesła, zmierzył cyganki wzrokiem od stóp do głów, a potem rzucił krótkie:

— Czego?

Po wyrazie oczu jego widać było, że ich zupełnie nie poznał.

Jedynym zamiarem Inki było w pierwszej chwili zgłosić się do niego i prosić go, aby je odwiózł do Zakładu. Nie mogła jednak nigdy iść prostą drogą do celu, gdy można było trafić do niego labiryntem. Wciągnęła w siebie głęboko oddech i ku przerażeniu Ludki zaszła się w labirynt.

— Pan jest Wawrzyniec K. Gilroy? — zapytała, dygając. — Przyszłam pana szukać.

— Widzę! — odpowiedział pan Wawrzyniec K. Gilroy sucho. — A kiedyście mnie wreszcie znalazły, powiedzcie, czego chcecie?

— Ja chceć wróżyć panu. — Inka zręcznie wpadła w gwarę, którą wraz z Ludką posługiwała się w szkole zeszłego wieczoru. — Pan da mi srebrny pieniążek — ja przepowiedzieć przyszość.

Sytuacja ta nie przypadła Ludce bynajmniej do gustu, ale Ludka była zawsze wierną towarzyszką.

— Piękna przyszłość — podnieciła Inkę. — Wysoka młoda dama. Bardzo piękna.

— Naprawdę bardzo piękna.

Pan Gilroy siedział oparty o poręcz krzesła i spoglądał na nie surowo, ale nie bez humoru.

— Skąd wiecie, jak się nazywam — zapytał.

Inka skinęła ręką w stronę otwartego okna i dalekiego horyzontu — widnego między szopami z węglem i halami maszynowemi.

— Cyganie znają różne znaki — tłumaczyła mętnie. — Niebo, wiatr, chmury — wszystko mówi, tylko wy nie rozumiecie. Mam dla pana nowinę — panie Wawrzyniec K. Gilroy — i przyszliśmy zdaleka, aby panu wróżyć. — Z patetycznym gestem wskazała na zniszczone obuwie i pończochy. — Bardzo zmęczone. Idziemy zdaleka.

Pan Gilroy sięgnął ręką do kieszeni i wyjął dwie srebrne półdolarówki.

— Macie tu pieniądze, ale teraz mówcie już prawdę! Co to za komedje i skąd, do diabła, wiecie, jak się nazywam.

Wzięły pieniądze i dygnęły mu, nie odpowiadając na niewygodne pytanie.

— My panu wróżyć — rzekła Ludka, zmierzając prosto do celu. Wyjęła talję kart, usiadła na podłodze i rozłożyła karty wkoło. Inka ujęła ręce gentlemana w swoje małe, ciemne od czarnej kawy łapki i odwróciła je tak, aby móc przyj-

rzyć się dłoni. Zakłopotany, starał się wydrzeć jej ręce, ale ona trzymała je silnie i uporczywie, jak małpka.

— Widzę damę! — objawiła nagle.

— Wysoka, młoda dama — bure oczy, złote włosy, bardzo piękna — odezwała się Ludka z podłogi jak echo, pochyliwszy się naprzód i pilnie przyglądając się damie „coeur“.

— Ale ona sprawia panu dużo kłopotu — dodała Inka, marszcząc się nad jakąś linją na jego dłoni — widzę tu małą kłótnię.

Brwi pana Gilroy ściągnęły się. Scena mimowoli zaczęła go interesować.

— Pan ją bardzo kochać — oznajmiła Ludka z podłogi.

— Ale pan jej już nie widuje — zawtórowała Inka — raz, dwa, trzy, cztery miesiące, pan jej nie widzieć, nie gadać z nią. — Spojrzała w jego zdziwione oczy. — *Ale pan codzień myśli o niej.*

Zrobił szybki ruch, jakby chciał odejść, ale w tej chwili Inka dodała nowy szczegół:

— Ta wysoka, piękna dama także bardzo nie-szczęśliwa. Nie śmieje się już tak, jak dawniej.

Stanął i czekał z trwożną poniekąd ciekawością, co powie mu dalej.

— Jej jest bardzo źle — bardzo zmartwiona, bardzo nieszczęśliwa. Ona wciąż myśli o tej małej kłótni. Od czterech miesięcy siedzi i czeka, ale pan już nie przychodzi.

Pan Gilroy wstał nagle i poszedł ku oknu.

Te niespodziewane odwiedziny spadły na niego jak z nieba właśnie w momencie psychologicznym. Przez dwie długie godziny popołudniowe siedział przy swym biurku, mordując się z problemem, który one swą łamaną angielszczyzną tak łatwo ujęły. Czy miał wyrzec się swej dumy i jeszcze raz prosić o przebaczenie? Wakacje w Zakładzie św. Urszuli były już u progu, za parę dni ona mogła wyjechać — i prawdopodobnie już nigdy nie wrócić. Daleki świat pełen był mężczyzn, a Miss Jellings mogła się podobać.

Ludka spokojnie przyglądała się swym kartom.

— Jeszcze — jedna — próba! — powiedziała z powagą Sybilli greckiej. — Jeśli pan spróbuje jeszcze raz, wygra pan. Jeśli nie, przegra pan.

Inka oparła się o ramię Ludki, pragnąc koniecznie wtrącić swą zbawienną radę.

— Ta wysoka, młoda dama zanadto — zawałała się przez chwilę, szukając odpowiedniego wyrażenia — zanadto głowa do góry. Zanadto pan. Pan nauczyć ją skromna. Zrozumiał.

Ludka, patrząc na pucułowatego, grubego króla trefl, wpadła na nowy pomysł.

— Widzę drugiego mężczyznę — mruknęła.
— Czerwone włosy — i — i — tłusty. Nie za-
nadto ładny, ale —

— *Bardzo niebezpieczny!* — wtrąciła Inka.
— Nie ma pan czasu tracić. On przyjsć wnet.

Wymyśliły sobie ten szczegół z fantazji i pa-
trząc na pana Gilroy'a, przypadkiem jednak
dotknęły otwartej rany. Był to żywy portret
pewnego bogatego, młodego człowieka z sąsied-
niego miasta, okazującego na każdym kroku
Miss Jellings swe względy, a którego pan Gil-
roy nienawdził z głębi duszy. Przez całe to po-
południe, wypełnione postanowieniami, waha-
niem i wątpliwościami, wciąż widział przed sobą
gładką, pucułowatą twarz swego domniemanego
rywala. Jako człowiek interesu, posiadający
zdrowy rozum, pan Gilroy pozbawiony był wszel-
kich przesądów, ale mężczyzna zakochany wierzy
w dobre i złe znaki.

Uporczywie wpatrywał się przez znane sobie
dobrze swoje biuro w szopy z węglem i hale
z maszynami, aby się upewnić, że naprawdę stoi
na tej ziemi. Spojrzenie jego z nieba powróciło

znów do dziewcząt w absolutnem, pełnem trwogi i skargi osłupieniu.

Wciąż jeszcze przeglądały karty, napróżno starając się wymyślić coś nowego. Ich wyobrażenia była zmęczona. Inka czuła, że dała mu już dość za jego pięćdziesiąt centów i rozmyślała, jakby doprowadzać rozmowę do szczęśliwego końca. Zrozumiała, że komedja zaszła zbyt daleko, aby mogły teraz odsłonić swe incognito i poprosić o odwiezienie do domu. Jedynym sposobem było teraz zachować incognito, wymknąć się jak się da i wrócić do domu jak będzie można — teraz miały przynajmniej dolara na koszta podróży!

Spojrzała na niego, układając sobie w duchu przemowę.

— Widzę szczęście — zaczęła — jeżeli —

Nagle rzuciła okiem przez otwarte okno i serce w niej zamarło. Pani Trent i Miss Sara Trent, przybyłe, aby się uzalić na nowo zaprowadzone oświetlenie elektryczne, najspokojniej w świecie wysiadaly z powozu w odległości nie większej, niż jakie dwadzieścia stóp.

Inka kurczowo złapała Ludkę za ramię.

— Sallie i Wdowa! — syknęła jej do ucha.
— Uciekajmy!

Jednym ruchem ręki Inka zebrała karty i wstała. Nie było możliwości wymknąć się drzwiami, głos Wdowy słyhać już było w przedpokoju.

Wspięła się na parapet i skoczyła z okna z wysokości jakich ośmiu stóp. Ludka poszła za jej przykładem.

Pan Wawrzyniec K. Gilroy stał z otwartymi ustami, patrząc w miejsce, gdzie znikły. W następnej chwili składał już dworski ukłon kierowniczkom Zakładu św. Urszuli, z trudnością i wielkim wysiłkiem starając się skoncentrować myśli na wypadku krótkiego spięcia w Skrzydle Zachodniem.

Inka i Ludka wysiadły z tramwaju w ogniu ciekawych spojrzeń pasażerów, na rogu, nie dojeżdżając do samego Zakładu. Okrążywszy mur, póki nie stanęły pod stajniami, skromnie tylnem wejściem wróciły do domu. Na szczęście nie spotkały po drodze nikogo prócz kucharki, i tak nareszcie dotarły do swego pokoju w Rajskiej Alei — z dziewięćdziesięciu centami w kieszeni, nie licząc przygód.

Kiedy nadeszły długie, jasne wieczory, wychowanki św. Urszuli nie wypełniały już przerwy

między obiadem a wieczorem odrabianiem lekcji w hallu, lecz wybiegały na trawniki, okalające szkołę. Tego dnia, jako że to była sobota, wolne były od odrabiania wieczornych lekcji, skutkiem czego wszystko wyległo na dwór. Rok szkolny był już prawie skończony, zbliżały się długie wakacje — dziewczęta były rozigrane, jak sześćdziesiąt cztery młode jagniątka. Bawiono się w „ślepa babkę“, w „chowanego“ i inne gry. Jeden chór, który się ustawił na schodach, wiodących do hali gimnastycznej, przekrzykiwał drugi, mniejszy, śpiewający koło bramy wjazdowej. Pół tuzina panienek z obręczami uganiało dokoła owalnego placu rekreacyjnego, roztrącając grupki przechadzających się, zderzając się na wąskich ścieżkach i pokrzykując wesoło.

Inka, Ludka i Zuzia, umyte, ubrane i wyświeżone, przechadzały się pod rękę o letnim zmroku wieczornym, rozmawiając — trochę poważnie — o tak długo oczekiwanej wolności i przyszłości, która teraz była już tak bliska.

— Wiecie! — odezwała się Inka jakby z pewnym lękiem — za tydzień będziemy już *doroste!*

Stały i w milczeniu spojrzały w stronę zabawionego tłumu na trawnikach, w stronę wielkiego, jakby zamyślonego budynku, który przez

cztery burzliwe, wesołe, beztroskie lata był im tak miłym schronieniem. Ta długo oczekiwana „dojrzałość“ wydawała się im teraz jałową. Chciałyby teraz wyciągnąć ręce i złapać dzieciństwo, którem tak lekkomyślnie szafowały.

— O, to straszne! — westchnęła nagle Ludka z jękiem. — *Ja chcę zostać młodą!*

Niezbyt towarzysko w tej chwili usposobione, odmówiły współdziału w zabawie w „zbójów i żandarmów“, i ominąwszy chór, śpiewający na stopniach hali gimnastycznej — śpiewano „Na cygańskim szlaku“ — wyszły „pergola“ na murawę, usianą opadłym kwieciami jabłoni. Na końcu ogrodu niespodziewanie natknęły się na samotnie przechadzającą się parę i na jej widok stanęły jak wryte z krótkim okrzykiem niedowierzania.

— To Jelly! — szepnęła Ludka.

— I pan Gilroy! — dodała Inka.

— Mamy zmykać? — zapytała Ludka z udaną trwogą.

— Nie — odpowiedziała Inka. — Udajmy, że ich nie widzimy.

Zbliżały się z wzrokiem dyskretnie wbitym w ziemię, ale Miss Jellings powitała je radośnie,

gdy ją mijaly. W jej zachowaniu się było jakby jakieś nieuchwytnie, pełne podniecenia i szczęścia drzenie — coś *elektrycznego*, jak to określiła Inka.

— Hallo, wy niegrzeczne, małe cyganeczki!

Ten okrzyk powitalny był, jak na złość, jak najgorzej wybrany, ale z uśmiechniętej twarzy Miss Jellings widać było, iż nie wie o niczem.

Cyganeczki?

Pan Gilroy powtórzył to słowo i jego zamglony umysł zaczął pracować. Stał i przez chwilę uważnie przyglądał się trójce. Wszystkie trzy miały na sobie schludne sukienki muslinowe i wyglądały na trzy tak słodkie i niewinne dziewczątka, jak tylko być może. Ale Inka i Ludka, nawet w gasnącem już świetle, wciąż jeszcze były wyraźnie smagłe — ślad kawy, rozpuszczonej we wrzątku.

— O!

Z ulgą odetchnął głęboko, a na jego twarzy odbijały się zwalczające się wzajem uczucia. Zakłopotana Ludka wbiła wzrok w ziemię, ale Inka podniosła głowę i spojrzała mu w twarz. Przez chwilę patrzyli tak sobie w oczy. Spojrzeniami wzajemnie prosili się o zachowanie tajemnicy — i oboje milcząco przyrzekli.

Łagodny powiew przyniósł śpiew chóru, śpiewającego „Cygański szlak“. A kiedy tak szły powoli, Miss Jellings zaczęła zwolna nucić wraz z śpiewaczkami w oddali:

Cygańska krew do cygańskiej krwi
 Na całym szerokim świecie,
 Dziewczęta, na całym świecie,
 Gdzie piosnka na szlaku cygańskim brzmi,
 Nad ziemią czy choćby pod ziemią,
 Wierne zostańcie cygańskiej krwi.

Słowa skonały w cieniu.

Inka, Ludka i Zuzia stały trzymając się za ręce i patrzyły za Miss Jellings i panem Gilroy.

— Szkoła straciła Jelly! — rzekła Inka — i obawiam się, że to nasza wina, Ludko!

— Ja się z tego tylko cieszę! — rzekła Ludka żywo. — Jest stanowczo za ładna, aby trawić całe życie na uczeniu Army Mc Collough, jak stać prosto i wciągać brzuch.

— W każdym razie — dodała Inka — nie ma się o co gniewać, ponieważ — bez nas — on nigdy nie zdobyłby się na odwagę.

Szły przez łąkę, aż wreszcie stanęły przy ogrodzeniu, gdzie usiadły i oparły się o mur, podniosły głowy i zapatrzyły się w ciemniejące niebo. Z niepokojem myślały o czekającej je

przyszłości i Przygodzie, czekającej na nie za zakrętem.

— Wiecie co? — odezwała się Ludka po dłuższem milczeniu. — Myślę, że mimo wszystko to może być ciekawe —

— Co? — zapytała Zuzia.

Ludka wyciągnęła przed siebie ramię i szerokim ruchem ogarnęła noc.

— O, wszystko!

Zuzia przytaknęła głową na znak, że to rozumie, i dodała trochę wyzywająco:

— Ja zmieniłam swój plan. Zdaje mi się, że już nie pójdę na uniwersytet.

— Nie pójdziesz na uniwersytet! — wykrzyknęła Inka. — Czemu?

— Zdaje mi się, że zamiast tego — wyjdę zamąż.

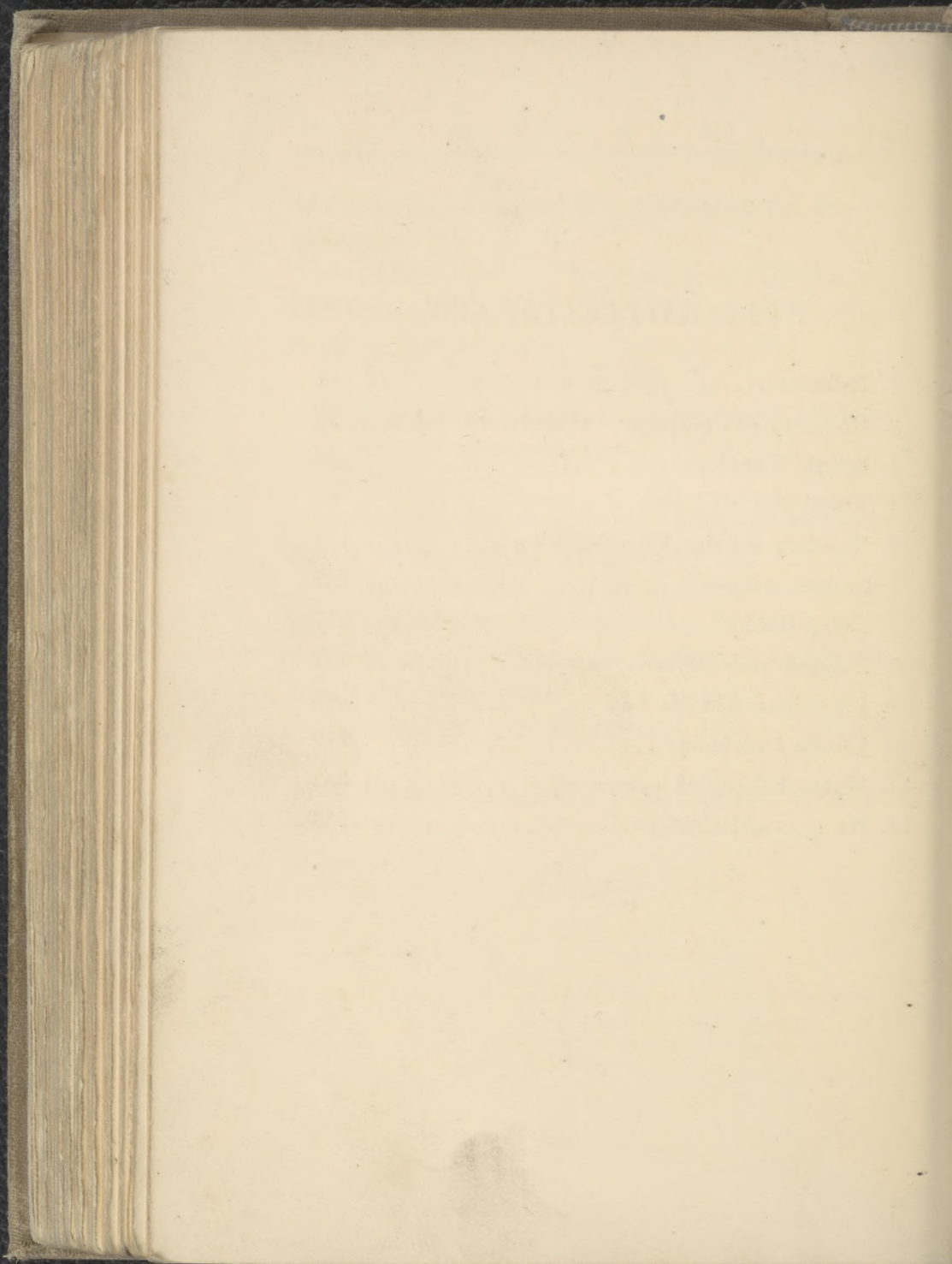
— Och! — zaśmiała się Inka zcicha. — A ja zrobię jedno i drugie!

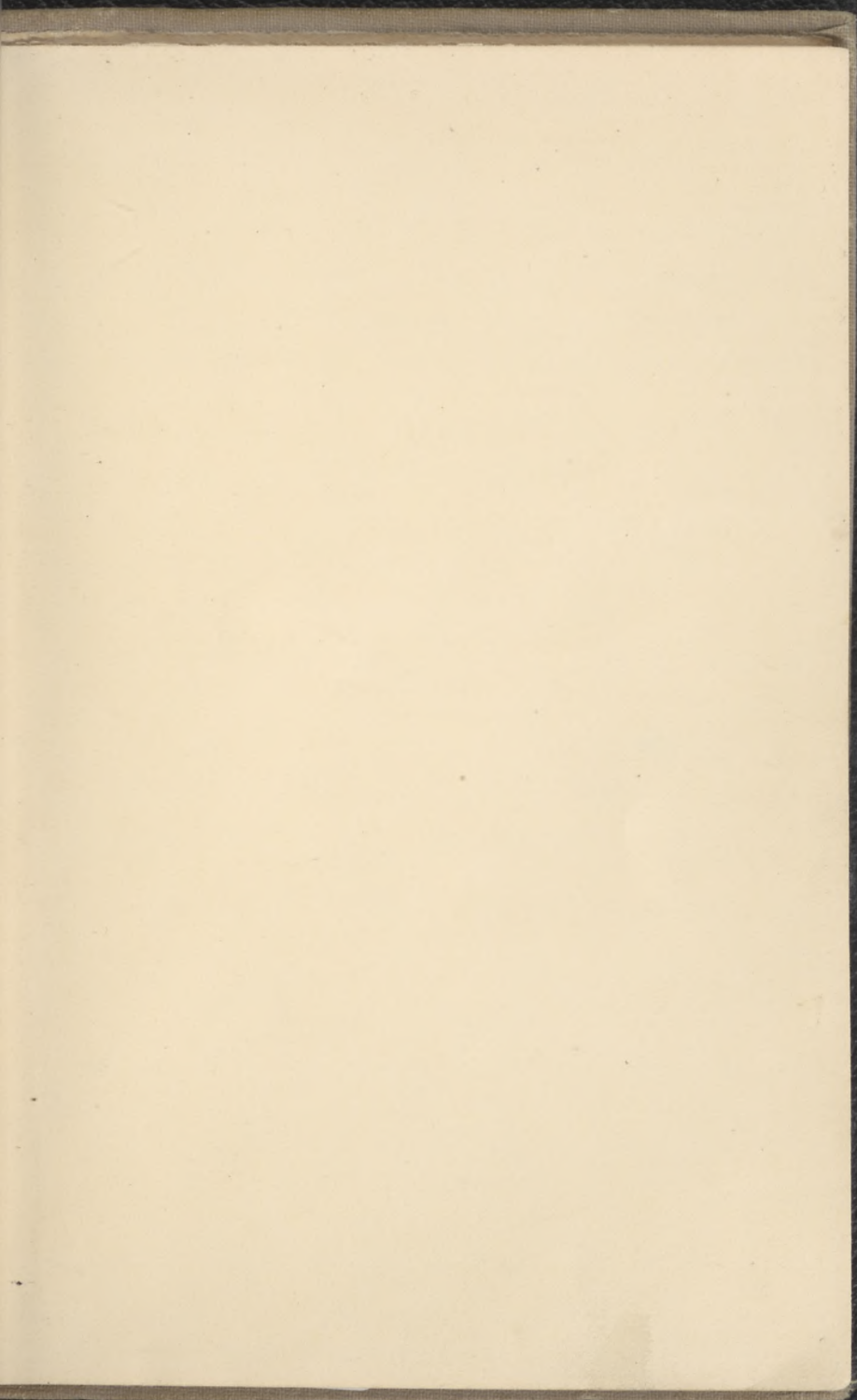
KONIEC.

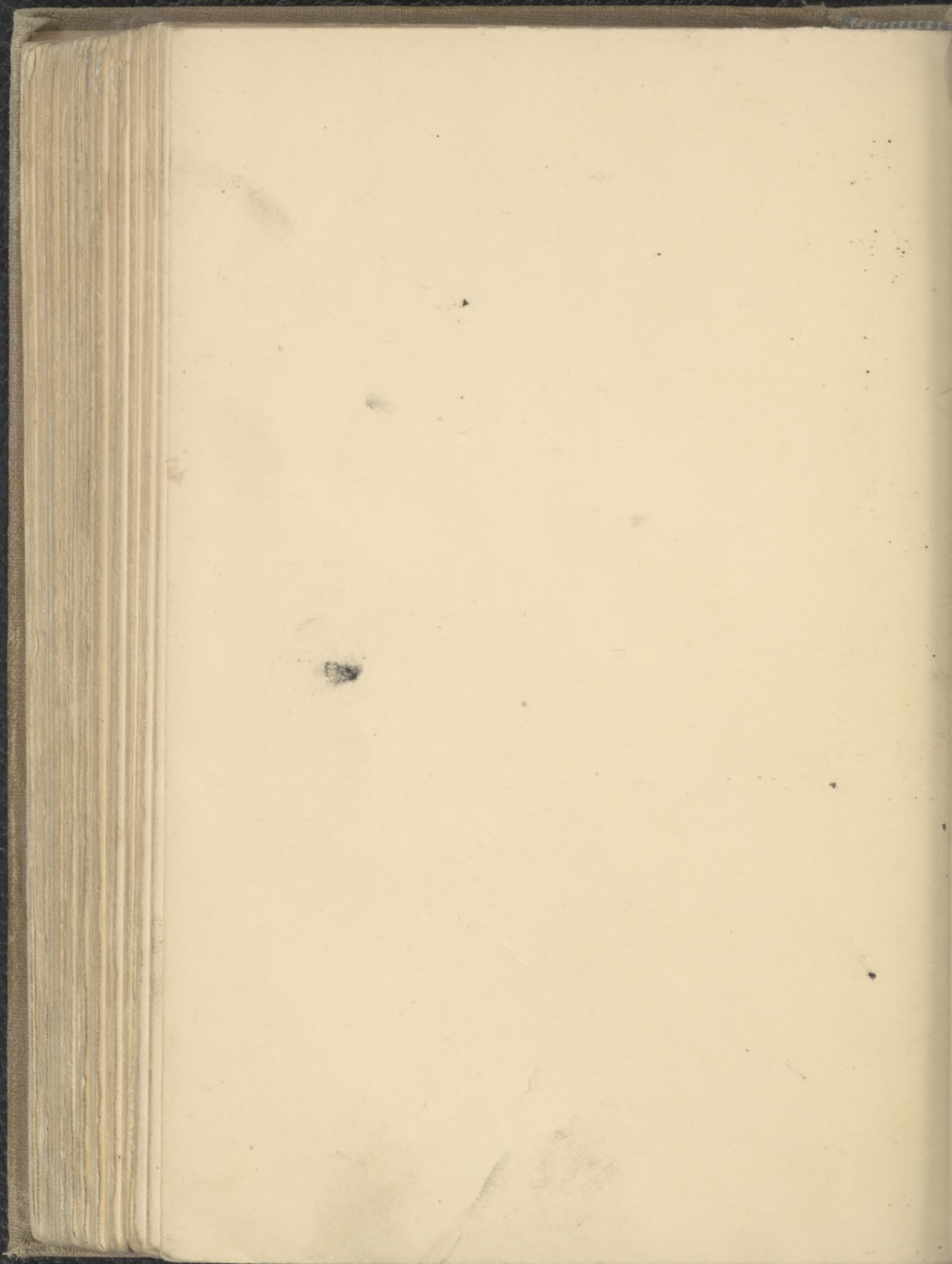
SPIS ROZDZIAŁÓW

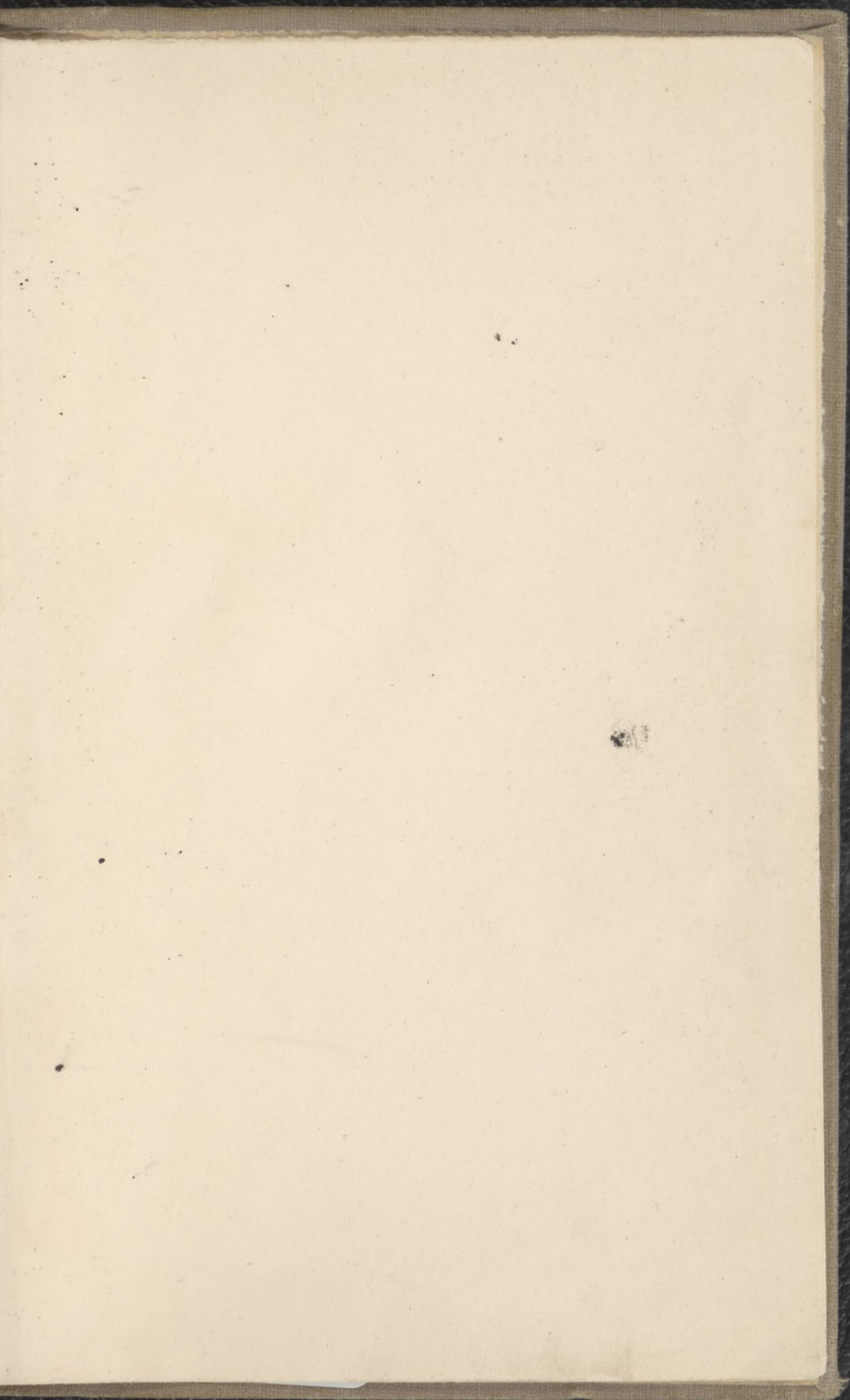
	Str.
1. Reforma	1
2. Romantyczna przygoda Cuthberta St. Johna .	28
3. Strajk Wergilego.....	56
4. Trzeci pan od końca	86
5. Miodowy miesiąc Flanningan'ów	103
6. Srebrne klamerki	129
7. „Wuj Bobby“	157
8. Związek stowarzyszonych syren	172
9. Przemiana Kid Mc Coy	196
10. Cebula i orchideje	210
11. Wytrych i placek cytrynowy.....	232
12. Na cygańskim szlaku.....	263

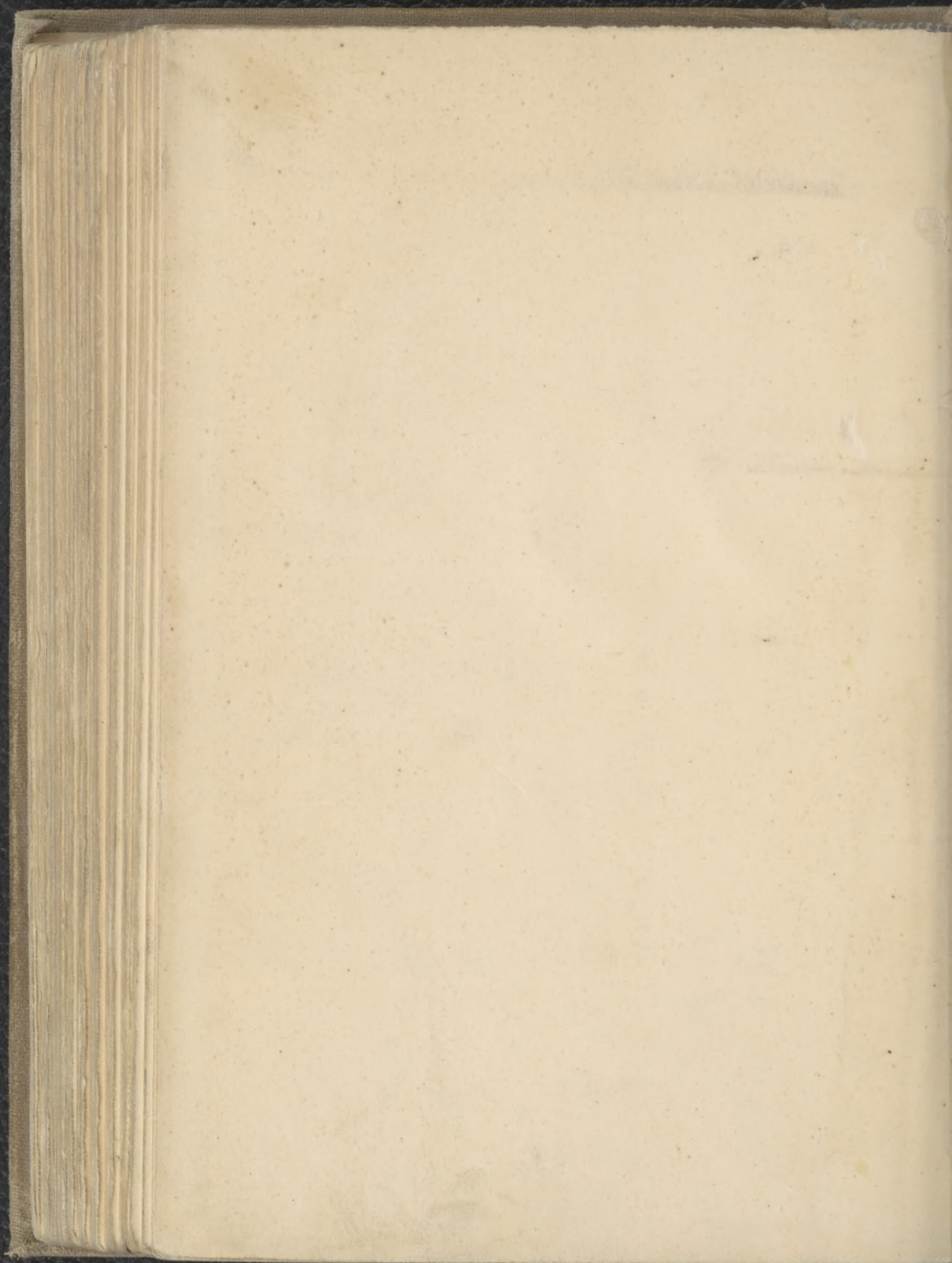












Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021677944

Ant. Nauk
Kielce 3.04.88.
-10000-



1467455
